

**JANECKI:
MASZYNA
DO HEJTOWANIA
W PO**

**MACIEJEWSKI:
„BAGNO”, CZYLI DLACZEGO
MEDIA ODWRACAJĄ OCZY
OD PEDOFILII W ŚWIECIE ELIT**

**RYBINSKA:
UPADLI CELEBRYCI.
HOLLYWOOD
ZNUDZIŁ SIĘ
HARRYM I MEGHAN**

**BUDZISZ: ZASKAKUJĄCE
WOJSKOWE LEKCJE
Z WOJNY NA UKRAINIE**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 29 (555) 2023
17-23 lipca 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

POLITYCZNE TAJEMNICE KONFEDERACJI

**KONFLIKTY, UKŁAD SIĘ,
WIZJA WŁADZY. CZY JEDNAK
SAMI WIEDZĄ, CZEGO CHCĄ?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

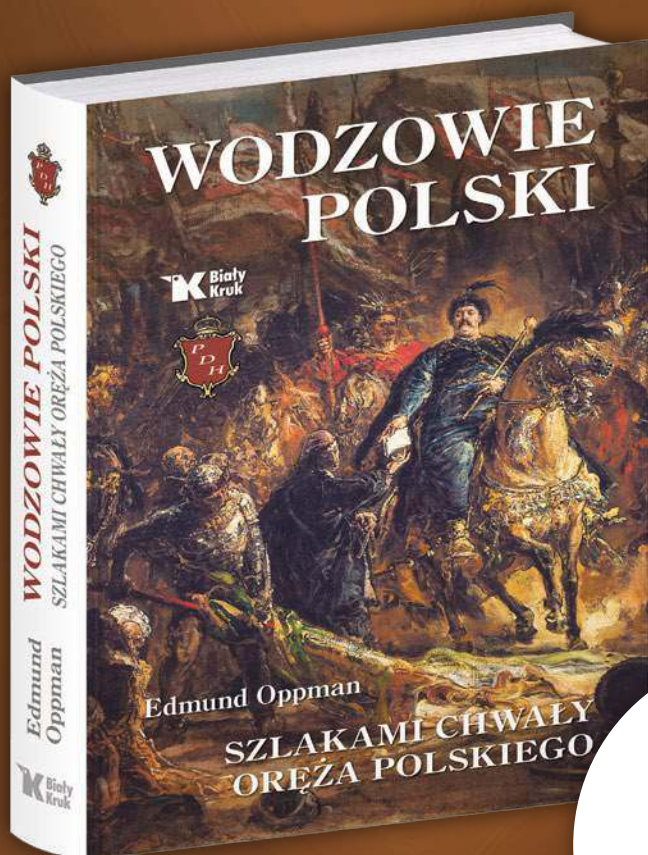


9 772544 269304

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Edmund Oppman przedstawia historię Polski poprzez dokonania wielkich wodzów, bohaterów, patriotów.

Pasjonujące opowieści o wielkich Polakach spletają się z historiami orężnych zwycięstw Rzeczypospolitej i dniami chwały Ojczyzny.

PATRIOTYCZNY BESTSELLER | 360 STR. | TWARDA OPRAWA | PIĘKNE ILUSTRACJE I MAPY

75
książek
w prezencie

Książkę „Wodzowie Polski. Szlakami chwały oręza polskiego” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.



Fot. Shutterstock

Kolejny rozbiór?

Jeśli ktoś sądził, że instytucje Unii Europejskiej mają chrapkę tylko na polskie prawodawstwo, suwerenność w dziedzinie migracji czy kwestie klimatyczne, to jest w błędzie. Instytucje UE mają chrapkę na polskie terytorium: na nasze grunty, lasy, wody. Chcą nimi po prostu dysponować, polskie władze właściwie ubezwłasnowolniając.

12 lipca 2023 r. Parlament Europejski przyjął stanowisko w sprawie odbudowy zasobów przyrodniczych UE. Projekt Komisji Europejskiej zakłada, że państwa UE muszą wdrożyć tzw. środki rekultywacyjne na powierzchni co najmniej 20 proc. swoich obszarów lądowych i morskich. I muszą to zrobić do 2030 r. Ponoć celem jest odbudowa ekosystemu, a ten jest kluczem do walki ze zmianami klimatu i utratą różnorodności biologicznej. Ponadto ma to zmniejszać ryzyko dla bezpieczeństwa żywnościowego.

W pracach nad reformą traktatów, które toczą się w komisji konstytucyjnej Parlamentu Europejskiego, chodzi o to, żeby w ponad 60 obszarach znieść zasadę jednomyślności, ogólnej zgody albo weta. Jak mówił 13 lipca 2023 r. w Polskim Radiu 24 Paweł Salek, doradca prezydenta RP, miałyby to objąć m.in. bioróżnorodność, leśnictwo, politykę klimatyczną, politykę energetyczną. Wspólna polityka UE ma także objąć zarządzanie wodami i gruntami na terytorium państw członkowskich. Cel jest prosty: państwo członkowskie ma stracić wpływ na to, co się dzieje na jego terytorium. Unia tworzy coraz więcej przepisów, które zarządzanie poszczególnymi państwami przenosi z rządów krajowych na instytucje UE. I można właściwie w ciemno obstawiać, że Polska zostanie potraktowana gorzej niż inne państwa.

Jeśli Unia zabiera się za decydowanie o gruntach, lasach i wodach, to oznacza ingerencję w to, co jest warunkiem istnienia narodów i społeczeństw. To oznacza, że bez zgody instytucji UE – przede wszystkim Komisji Europejskiej – Polska nie mogłaby nic zrobić, co dotyczy gruntów, wód i lasów. A to oznacza ogólne ubezwłasnowolnienie naszego państwa.

Instytucje UE podnoszą rękę na polskie grunty, lasy i wody, bo u nas wciąż są duże obszary dzikiej przyrody, panuje wyjątkowa bioróżnorodność, a w wielu państwach na zachód od nas pozostały tylko marne resztki. Polska przyroda ma służyć tym, którzy u siebie wiele zdewastowali,

dzięki czemu szybko się jednak rozwijali, wiele państw stało się przemysłowymi potęgami. A teraz Polska ma być dla nich skansenem przyrodniczym i rekompensatą.

W Polsce na dużą skalę niczego nie trzeba odtwarzać i rekultywować, a skoro instytucje UE zamierzają jednak to robić, oznacza to zamiar zawładnięcia polskim terytorium. Polska byłaby wtedy państwem bez ziemi, gdyż suwerennie nie mogłaby podejmować żadnych decyzji. A w Polsce jest wyjątkowo wiele cennych obszarów, żeby na nich położyć łapę.

Polska zobowiązała się do uczestnictwa w programie Natura 2000, podpisując w 2003 r. traktat ateński będący podstawą członkostwa i zmieniając w 2004 r. ustawę o ochronie przyrody. W ten sposób 20 proc. terytorium lądowego RP (999 obszarów) stało się częścią programu Natura 2000. Ma to nie tylko swoje dobre strony, lecz także utrudnia rozwój kraju, bo gdy tylko jakieś inwestycje zahaczają o obszary Natura 2000, natychmiast rozpętuje się piekło, że u nas chce się niszczyć przyrodę.

Suwerenne decyzje Polski, podjęte w oparciu o ceniony na świecie oryginalny model gospodarki leśnej, wywołały w instytucjach UE furję, do czego przyczynili się też rodzimi ekoterrorysty występujący jako ekolodzy. Z wycinki w Puszczy Białowieskiej drzew zajętych przez kornika drukarza uczyniono zbrodnię, zaszczeret fachołka światowej klasy, którym był minister prof. Jan Szyszko. A w kwietniu 2018 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej uznał, że Polska złamała prawo, prowadząc w Puszczy Białowieskiej wycinkę uzasadnioną walką z kornikiem drukarzem.

Jeśli instytucje UE położą łapę na gruntach, wodach i lasach w Polsce, jacyś ignoranci albo otwarci wrogowie Polski będą nam dyktować, co nam wolno na polskim terytorium, jak ma wyglądać przyroda w Polsce, to utracimy suwerenność. Do tego nie wolno absolutnie dopuścić.

Minister Paweł Salek uważa, że Polska powinna skarżyć wszystkie decyzje instytucji UE dotyczące gruntów, lasów i wód, a także te wiążące się z Europejskim Zielonym Ładem i Fit for 55. Tylko jakie wyroki może w tej sprawie wydać TSUE, jeśli jest elementem nagonki na Polskę i chętnie przyłoży rękę do rozgrabienia bądź pełnej kontroli nad polskim terytorium? Nasze władze z całą mocą powinny się temu przeciwstawić, bo byłby to kolejny rozbiór Polski.

Stanisław Janecki



26

Ze Stanisławem Karczewskim rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy



46

O bezsilności słabych
Jan Rokita



78

Nie drażnij żmii!
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 SKINHEADZI Z PLATFORMY**
Krzysztof Feusette
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziej
- 12 SILNI RAZEM**
Wiktor Świetlik
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 RÓWNE I RÓWNIJSZE**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA PROF. ANDRZEJA NIEDZIELSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 CHOPIN ZILUSTROWANY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 JAK BARDZO DEMOKRACJA PRZESZKADZA „OBROŃCOM WOLNOŚCI”**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 KONFEDERACJA: CZYJA NADZIEJA?**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 26 ZE STANISŁAWEM KARCZEWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 32 MASZYNA DO HEJTOWANIA**
Stanisław Janecki
- 34 ODDECH BALCEROWICZA**
Konrad Kołodziej
- 38 NOWY PURPURAT PRZED WYZWANIEM NOWEJ EWANGELIZACJI**
Grzegorz Górny
- 40 SAMOTNA KRUCJATA W „BAGNIE”**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 42 KILKASET LAT ZNIKNEŁO W JEDNĄ NOC**
Michał Karnowski

ŚWIAT

- 46 O BEZSILNOŚCI SŁABYCH**
Jan Rokita
- 50 PIERWSZE LEKCJE Z WOJNY NA UKRAINIE**
Marek Budzisz
- 54 NICZYM WYCIŚNIĘTA CYTRYNA**
Aleksandra Rybińska

SIECI KULTURY

- 57 PAN SAMOCHODZIK POWRACA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 59 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 60 MILAN KUNDERA (1929–2023)**
Wojciech Stanisławski
- 62 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 64 ANIOŁ I MAŁPA**
Robert Tekieli

OPINIE

- 66 PANIOM JUŻ DZIĘKUJEMY**
Dariusz Matuszak

SPORT

- 68 WIMBLEDON MITYCZNY**
Stanisław Janecki

GOSPODARKA

- 74 CYFROWA POLSKA TO JUŻ NIE JAKIEŚ MRZONKI, ALE CODZIENNOŚĆ**
Debata Forum wGospodarcze.pl

NATURA DLA LUDZI

- 78 NIE DRAŻNIJ ŻMII!**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

- 84 MOJE SMAKI: MONIKA MOLECKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 86 WEŻ URLOP OD KŁAMSTWA**
Alina Czerniakowska
- 87 ASERTYWNOŚĆ**
Lech Makowiecki
- 87 NOHANT BLIŻEJ ŻELAZOWEJ WOLI**
Aleksander Nalaskowski
- 88 KONDOM NA ROZUMIE**
Piotr Cywiński
- 89 W PEŁNI SEZONU, CZYLI GONIMY!**
Leszek Długosz
- 90 SZCZĘŚLIWI „PRACOWNICY”**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



ORLEN

WAKACYJNA PROMOCJA WRACA DO GRY

-40 gr/l
z Kartą Dużej
Rodziny

-30 gr/l



**Miesięcznie aż 4 promocyjne
tankowania z Programem VITAY.
Każde do 50 litrów taniej!**



SPONSOR GENERALNY REPREZENTACJI



Promocja dla Zarejestrowanych Uczestników ORLEN VITAY. Ważna karta VITAY lub Wirtualna Karta VITAY wraz z aktywowanym kuponem promocyjnym uprawnia do uzyskania rabatu na 50 l benzyny lub oleju napędowego w wysokości 30 gr/l lub 40 gr/l w przypadku posiadaczy Karty Dużej Rodziny. Każdy dodatkowy litr powyżej 50 l rozliczany jest według ceny ofertowej podanej na dystrybutorze w trakcie tankowania. Promocja nie obejmuje LPG, nie łączy się z innymi programami rabatowymi oraz promocyjnymi i jest ograniczona czasowo. Regulamin promocji i lista stacji uczestniczących w promocji na vitay.pl/rabaty

Sygnalista nadaaje

Donald Tusk konsekwentnie maluje czarny obraz Polski. I konsekwentnie robi to, mijając się z prawdą. W czasie jednego z przemówień przekonywał, że „mniej niż połowa rodzin zdecyduje się na jakąkolwiek formę wyjazdowych wakacji”. Powołał się na statystyki, ale nie wskazał jakie. Z tych dostępnych wynika co innego. I tak np. raport Polskiego Instytutu Ekonomicznego wskazuje, że na wakacje wybierało się od 55 proc. do 65 proc. badanych Polaków. Za Tuska rzeczywiście było mniej niż 50 proc. Tygodnik „Sieci” właściwie co tydzień mógłby wychodzić z okładką: „Tusk znów złapany na kłamstwie”. Albo i nawet każdego dnia.

Tusk nie szczędzi mocnych słów. Przekonuje np., że „w Polsce rządzi kilka, czy kilkanaście mafijnych rodzin, bo tak naprawdę wygląda dzisiaj PiS-owska władza – do tego sprowadza się istota tej władzy”. I dalej: „Każdej mafii politycznej, gospodarczej, kryminalnej potrzebne jest jako narzędzie sprawowania władzy kłamstwo, umiejętność przerzucanie winy na tych, którzy chcą pilnować prawa, niepoohamowane złodziejstwo i pazerność. Jesteśmy tego wszyscy każdego dnia świadkami”. Zgrabny opis, do Platformy pasuje jak ulał.

Prawdy nie da się zakrzyczeć. Na ujawnionym kilka dni temu nagraniu z 2003 r. zobaczyliśmy prawdziwą twarz Donalda Tuska. W czasie spotkania z Eriką Steinbach, wówczas szefową Związku Wypędzonych, lider PO deklarował: „Powieś szczerze, nie nie zmieniłem swojego wyobrażenia [o relacjach z Niemcami], a trudno zna-

leć bardziej pozytywnie uwrażliwionego na problem niemiecki w Polsce posła. Możemy razem pojechać do Rumi, razem poszukamy domu i będę pierwszym, który powie w obu językach, że witamy panią w domu”. Rzeczywiście, trudno znaleźć kogoś, kto w tej dyscyplinie przebiłby Tuska.

Słowa Tuska skomentował **Zbigniew Ziobro**. „Dziadka do Wermachtu – jeśli wierzyć Donaldowi Tuskowi – wcielili siłą, babcia była Niemką, ale wnuczek całkowicie z własnej woli stał się niemieckim kolaborantem w polskiej polityce” – napisał lider Suwerennej Polski. Nie ma jednego Tuska, jest człowiek, który swobodnie żongluje tożsamościami, wartościami, identyfikacjami. Zależnie od potrzeb, od koniunktury, od mody. I nigdy – przynajmniej po 1989 r. – wbrew silnej fali.

Marszałek Senatu **Tomasz Grodzki** wybrał się w podróż do Niemiec. Podróż przeszłaby pewnie bez echa, gdyby nie znaczący szczegół: na zdjęciach zamieszczonych przez Kancelarię Senatu ze spotkania z szefową Bundestagu Bärbel Bas w Berlinie próżno szukać polskiej flagi. „Gdzie jest flaga Polski? To jest wizyta w Niemczech urzędnika unijnego czy marszałka Senatu RP? Dla porównania analogiczna wizyta przewodniczącej Bundestagu w Senacie – zadbane wtedy o flagę niemiecką” – podkreślił wicemarszałek Senatu Marek Pęk. To logiczne. Niemieckie państwo narodowe ma trwać, inne państwa – w tym Polska – mają się roztopić w unijnej magmie.

„Od dwóch lat blokowali prace leśne i zanieczyszczali las. Po decyzji inspektora nadzoru budowlanego policja usunęła koczowisko pseudoekologów z Inicjatywy Dzikie Karpaty w Makowej na Pogórzu Przemyskim. Znalazła tam narkotyki i zatrzymała cztery osoby” – napisał w mediach społecznościowych Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych. „To nie wszystko. Okazuje się, że pseudoekolodzy zaśmiecali też teren. Ich śmieci musieliśmy wywieźć pięcioma ciężarówkami” – dodał Guzowski. Boże, chroń nasze lasy przed takimi obrońcami. Pewnie okoliczna zwierzyna też odetchnęła.

Andrzej Morozowski zapytał **Radosława Sikorskiego** o politykę wobec Chin. Przy okazji wspomniął reset z Rosją. „Polska chce prowadzić taką samą politykę wobec Chin jak Amerykanie. Czy to jest dobry pomysł? Było już tak kiedyś, że Amerykanie robili resety z Rosją i my też uważaliśmy, że trzeba robić tak jak Amerykanie. A jak to się wszystko skończyło, to wiemy” – podsumował dziennikarz. Te słowa wywołały delikatne podenerwowanie u Sikorskiego, który odparł: „Nie... proszę za dużo prawicowych pisemek nie czytać!”. W reakcji na słowa byłego szefa MSZ Morozowski zadeklarował: „Nie czytam ich w ogóle! Szkoda mi oczu”. Co z oczu, to z serca, ale kompromitacji ekipy Tuska i Sikorskiego w polityce wschodniej nie zatrze żadna sztuczka.

Nie pomoże także wyparcie. **Rafał Trzaskowski**, prezydent Warszawy, wice-szef PO, zapewniał w RMF, że Platforma zawsze ostrzegała przed polityką pobłażliwości wobec Kremla. „W Europie była polityka resetu dlatego, że niektórzy doszli do takiego wniosku, że trzeba próbować cywilizować Putina i myśmy zawsze mówili, że to jest zły pomysł, że to się źle skończy” – stwierdził. Skoro można tak kłamać i właściwie nikt nie reaguje, to znaczy, że dochodzimy do jakiejś granicy, za którą jest już tylko nicość.

Przewodniczący klubu Lewicy Krzysztof Gawkowski bardzo ostro zaatakował w radiowej Trójce szefa MON Mariusza Błaszczaka. „Rosyjska rakietą przeleciała 400 km i cztery miesiące jej nikt nie znalazł. Błaszczaka broniliście, szkodnika polskiej armii” – grzmiał wbrew faktom, polityk opozycji. „Niech pan przeprosi za te słowa. Pan Mariusz Błaszczak jest wielkim polskim patriotą i buduje polską armię. Proszę za to przeprosić, panie Krzysztofie” – zaapelował poseł ZP Janusz Kowalski. W odpowiedzi Gawkowski poszedł jeszcze dalej: „Opluń polski mundur, tfu na takich ministrów”. Prowadząca audycję redaktor Beata Michniewicz interweniowała: „Co pan robi, panie przewodniczący?! Proszę tu nie pluć”. Jeszcze cztery lata w opozycji i zaczną pluć już nie tylko metaforycznie.

Dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Czuchnowski wziął ślub z Magdaleną Fitas, niegdyś Dukaczewską, tłumaczką słynnej rozmowy Donalda Tuska z Władimirem Putinem po katastrofie smoleńskiej. Okazuje się, że nienawisć młodej pary do rządu jest tak wielka, że nawet w takim dniu nie mogła sobie darować politycznych wywodów i hejtu wymierzonego w PiS. Na foto-

grafii, którą opatrzone podziękowania za życzenia, widać wyraźnie „ozdoby” z hasłami znanymi z antyrządowych demonstracji – plakaty z napisem „Konstytucja”, tęczowe flagi oraz plakaty z wulgarnym hasłem ukrytym pod ośmioma gwiazdkami. Nie ma już co ukrywać: to są barbarzyńcy, którzy niszczą każdą normę kulturową. Bo żeby tak ubrać własne wesele, to trzeba mieć siano w głowie.

W mediach społecznościowych pojawiło się zdjęcie posła PO Aleksandra Miszałskiego, który uśmiechnięty pozował do fotki z narysowanymi na czole ośmioma gwiazdkami – wulgarnym hasłem, którym posługują się zwolennicy opozycji, atakując rząd. O sprawę polityka zapytał Maciej Zemła z telewizji wPolsce.pl. „Nie opublikowałem tego zdjęcia sam. Moi asystenci to niechęć wrzucili, bo nie zauważyli tego napisu. Tyle mam do powiedzenia. Jeśli kogoś to uraziło, to bardzo mi przykro, bo sam bym takiego zdjęcia nie wrzucił. Uważam, że gdzieś są granice. To było zrobione dla żartów przez nich, ktoś zrobił zdjęcie”. W sumie spore, pozytywne zaskoczenie. Może nie wszyscy tam zdziczeli? Ale prywatnie takich gestów też nie wypada czynić.

Kończący misję w Polsce ambasador Niemiec Thomas Bagger udzielił pożegnalnego wywiadu „Gazecie Wyborczej”. W rozmowie zmierzył się z dominującym na prawicy postrzeganiem polityki RFN wobec Polski. „W Polsce popularna jest narracja, że Niemcy chcieliby, by Polska była mała i słaba. To kompletny nonsens. Jest wręcz przeciwnie. Niemcy potrzebują silnej i dobrze prosperującej Polski, bo takiej Polski potrzebuje Europa. A Europa dla nas jest najważniejszym punktem odniesienia” – przekonywał przyszły wiceszef MSZ w Berlinie. Trzeba przyznać, że żart na prawdę śmieszny.

Ambasador Bagger odniósł się także do kwestii reparacji. „Pan minister Mularczyk stosuje dyskurs, który uzasadnia sens jego pracy. Niemieckie stanowisko w sprawie reparacji jest jasne i zostało przekazane na piśmie stronie polskiej. Ta kwestia jest prawnie zamknięta”. Zastrzegł przy tym, że historia w relacjach obu krajów zawsze będzie istotna. „I dobrze bym moim rodakom radził, by brać zupełnie na poważnie ciągle żywy w Polsce ból po straszliwych krzywdach, które Niemcy wyrządzili Polakom. Ale to powinno się odbywać w innych ramach, podczas spotkań polityków i obywateli”. Te spotkania przyniosą znacznie lepsze owoce, jeśli poprzedzi je wypłata reparacji.



Skinheadzi z Platformy



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Witam kolegów. Zebraliśmy się w trybie pilnym, by zrewidować...

Neumann: Oj, to ja muszę wyjść.

Tusk: Gdzie?

Neumann: Za potrzebą. Potrzebuję sprawdzić kieszenie... Ja wiem, że do wyborów sędziowie nic nie robią, ale strzeżonego pan Tusk strzeże, prawda?

Tusk: Nie lubię komplementów po polsku. Zresztą nie chcę o niczym wiedzieć. A zrewidować musimy poglądy.

Kierwiński: Uff.

Tusk: Czemu „uff”?

Kierwiński: Bo to żeśmy już przerabiali. Nie raz ani nie dwa.

Tusk: Przerabiali, nie przerabiali, sprawa jest trudniejsza, niż się wydaje. Chodzi mianowicie o to, że być może komuś się wydaje, że myśmy byli za przyjmowaniem imigrantów muzułmańskich, jak leci.

Schetyna: A nie byliśmy?

Tusk: Proszę bardzo! Uderz w stół, Schetyna się odezwie. Ty, Grzesiu, może byłeś, ale my jako partia, osobiście, absolutnie. Coś tam może chlapnęła Korpaczowa, ale – po pierwsze – na pewno nie pamięta, a po drugie – powie się, że była jak na niemieckim lotnisku. Albo w ruskim prosektorium. No i jest jeszcze tragiczna wypowiedź kolegi Tomczyka, że możemy przyjąć nieskończoną liczbę. Czy jest z nami kolega Tomczyk?

Tomczyk: Nie ma! Nie mógł przyjść...

Tusk: A kto mówi?

Tomczyk: Ja jestem z mediów. Radomir Wit, cała prawda całą dobę...

Tusk: Spocznij. A jak spotkacie Tomczyka, to mu przekazcie, żeby coś wymyślił. Że był wcześniej z Nitrasem albo nie rozumiał pytania.

Tomczyk: Oczywiście. Wydaje mi się, że mógłbym także... To znaczy pan poseł Tomczyk, ten nasz ciągle niewykorzystany talent, właśnie, czy słyszał pan przewodniczący, jak on pięknie hymn wykonywał?

Tusk: Panie redaktorze, osobiście wykonywałem „Hej, Jude” Bitelsów za 7 mln zł, a to jest o bańkę więcej, niż nas kosztował koncert Madonny z okazji rocznicy powstania warszawskiego, więc Tomczyk mi może. Robić za cymbalki. Teraz do rzeczy: jak wspomniałem, musimy zrewidować nasz pogląd na przyjmowanie imigrantów.

Kierwiński: Co to znaczy?

Tusk: Że nie chcemy przyjmować. To znaczy, konkretnie, jedni są OK, inni nie. Nie OK są ci, którzy przyjechali do PiS-owskiej Polski na czas określony, żeby pracować. OK są ci, którzy idą albo płyną z Białorusi. Bo i tak nie wejdą. A my do Sejmu musimy. Chcą nas zniszczyć referendum? Nie damy się. Osobiście przełożyłem wajchę i od teraz ciapatę won! Powtórzcie!

Kierwiński: Ale jak „won”, jak u mnie żona już pokój dla 30 osób szykuje? Przecież Unia Europejska rekomenduje przymusową relokację...

Leszczyna: Co to jest relokacja? Co tam się podaje?

Sikorski: To jest... to jest, jak się komuś postawi, a potem ten ktoś nam... Borys, przytrzymaj mnie, bo muszę coś pokazać...

Budka: Lepiej nie. Ale nawiązując do słów przewodniczącego, pragnę nadmienić, iż pojęcie przymusowej relokacji wypacza sens naszych zobowiązań względem Unii Europejskiej. Nie chodzi tu bowiem o przymus, lecz tzw. obowiązkową solidarność.

Kierwiński: To my się teraz do Solidarności zapiszemy? Jak oni nam strzelanie do górników wypominają? Przecież myśmy do Brukseli starych komunistów wysłali, no, panowie, co innego plakat Solidarności na marszu wykorzystać, a co innego z esbeckimi emeryturami walczyć...

Tusk: Zobacz, Marcinku, czy cię w sztabie nie ma, bo to nie jest na twoje nerwy. My musimy w tej sprawie pokazać, że jesteśmy bardziej łysi niż łyse pały, a glany mamy po kolana.

Schetyna: Pan przewodniczący się ogoli?

Tusk: Grzesiu, a ty już wiesz, gdzie będziesz startował? A może do Słupska na prezydenta?

Nowacka: Świetne. Zarąbiste. Genialne. Ale go szef zgasił. Ile w tym humoru, błysku, nie, no to jest poziom nie do osiągnięcia przez nas, śmiertelników polityki, których spotkał zaszczyt...

Tusk: Do brzegu, koleżanko...

Nowacka: Do brzegu, koleżanko, dokładnie. Już milczę.

Tusk: A zatem powtórzmy: czy przyjmować imigrantów?

Kierwiński: Tak, ale nie do pracy, gdyż... gdyż... No, nie wiem...

Tusk: Bo PiS ich przyjął! A PiS chce nas zabić referendum, gdyż wie, że Polacy nie chcą relokacji, a myśmy chcieli. Ogaraniacie nareszcie?

Siemoniak: A nie można powiedzieć, że oni mieszkają w barakach?

Tusk: A gdzie mieszkali, jak budowali autostrady?

Siemoniak: Zanim splajtowali? Skąd mam wiedzieć? Ja miałem armię zwijać.

Tusk: Przykra sprawa, nie lekceważę jej. Ale teraz wystarczy, żebyś zapamiętał, że nigdy nikogo nie chcieliśmy przyjmować. Jak się ładnie sprawisz, to może cię w przyszłym roku do redaktora Mazurka puszczyć. Już nie pamiętacie, jak Dulkiewicz witała burmistrza Londynu z hinduskimi korzeniami: „Mamy dzisiaj egzotycznego gościa”? Albo jak nasz mędrak Wojewódzki ciemnoskórych „buszmenami” nazywał? Jak „swoją” Ukrainkę chciał gwałcić? Trzeba to tylko przypomniać. No, dobra, zdradzę wam: idziemy teraz po elektorat Konfederacji. Tylko nikomu ani słowa!

Kidawa: Wiedziałam... Przeczuwałam... I znowu będę musiała się sama zbojkotować.

DZIAŁAMY WSPÓLNIE NA RZECZ ZRÓWNOWAŻONEJ PRZYSZŁOŚCI



**W 2022 r. wygenerowaliśmy 335 mld zł
wsparcia dla polskiej gospodarki**

Przelamanie zapory ogniowej

Liczący 23 tys. mieszkańców Sonnenberg w Turynii niczym się dotąd nie wyróżniał. To się zmieniło 25 czerwca, gdy kandydat Alternatywy dla Niemiec (AfD) Robert Sesselmann wygrał tu wybory na starostę powiatu. Jak napisał z tej okazji niemiecki „Die Welt”, to pierwszy raz w historii, kiedy prawicowi populiści zdobyli najwyższy urząd miejski. Stało się tak mimo poparcia mediów oraz wszystkich partii – włącznie z postkomunistyczną Die Linke – dla rywala Sesselmana, polityka CDU Jürgena Köppera.

3 lipca „zapa ogniowa” przeciwko AfD została ponownie przelamana: polityk AfD Hannes Loth został burmistrzem liczącego nieco ponad 10 tys. mieszkańców miasteczka Raguhn-Jeßnitz w Saksonii-Anhalt. Miejscowi Zieloni nazwali jego wyborcze zwycięstwo katastrofą. Tymczasem jak wynika z sondażu RTL/ntv-Trendbarometer, AfD jest już drugą pod względem popularności partią w Niemczech – może liczyć na głos 19 proc. wyborców. To o 1 pp. więcej niż

rządząca SPD (18 proc.) i 8 pkt mniej niż pierwsza w zestawieniu CDU (27 proc. poparcia). Zieloni spadli na czwarte miejsce (14 proc.) – to najgorszy wynik partii od 2018 r., dalej jest FDP (7 proc.), a Die Linke oscyluje na granicy prognozy wyborczego (5 proc.). W innych badaniach AfD ma nawet 21 proc. poparcia. A na wschodzie Niemiec, szczególnie w Turynii i Saksonii, może liczyć na głos co trzeciego wyborcy. Prowadzi także w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, jak dotąd bastionie SPD.

Rozpoczęło się szukanie winnych: zdaniem lewicy odpowiedzialna jest CDU, bo przesuwa debatę w prawo, inni wskazują na niewystarczające potępienie AfD w mediach. Rzeczywiste powody leżą oczywiście gdzie indziej: pandemia oraz wybuch wojny na Ukrainie wywołały kryzys. Część społeczeństwa, nawet jeśli niewielka, mocno zubożała i panuje poczucie, że dobrobyt jest zagrożony. Agresywna polityka klimatyczna koalicji rządzącej doprowadziła do nowych podziałów klasowych: na tych, których stać na transformację energetyczną, i całą resztę. Aż 70 proc. Niemców jest niezadowolonych z pracy rządu i kanclerza Scholza. Do tego dochodzi napływ migrantów, których kraje związkowe



Niemcy

nie mają już gdzie upchnąć. Chadejca nie odgrywa przy tym roli opozycji, bo dawno przesunęła się na lewo. A ponieważ niemiecki system polityczny jest w zasadzie zamknięty, pozostaje tylko AfD, by wyrazić sprzeciw.

Pomysłów, jak przeciwdziałać AfD, jest wiele, ale nie ma wśród nich zmiany polityki na mniej zieloną. Dlatego AfD dalej będzie rosnąć w sondażach. A koalicja rządząca w Berlinie ma powody obawiać się zaplanowanych na 2024 r. elekcji do landtagów Brandenburgii, Saksonii i Turynii.

Aleksandra Rybińska

Ostatnie posunięcia prezydenta Turcji Recep Tayyipa Erdoğan'a mogą świadczyć o zmianie linii politycznej Ankary wobec Federacji Rosyjskiej. Mowa nie tylko o zaprzestaniu blokowania akcesji Szwecji do NATO, lecz także o gestach poczynionych przez Turcję podczas niedawnej wizyty Wołodzimierza Zełenskiego w Ankarze. Zdaniem Mychajły Podoliaka – doradcy szefa kancelarii prezydenta Ukrainy – turecki prezydent wyciągnął wniosek z puczu Prigożina i uznał, że władza Putina słabnie.

Po spotkaniu z Zełenskim Erdoğan oświadczył, że Turcja opowiada się za szybkim przyjęciem Ukrainy do NATO. Poinformowano także o rozpoczęciu budowy fabryki dronów Bayraktar na Ukrainie. Jednak Rosję chyba najbardziej zabolalo przekazanie stronie ukraińskiej, nawet bez poinformowania o tym Moskwy, dowódców obrony Azowstalu, którzy zostali uwolnieni w wyniku mediacji prezydenta Erdoğan'a. Ażerskie media zaś podały niepotwierdzoną informację, że Turcja będzie gwarantować funkcjonowanie „korytarza zbożowego”, nawet jeśli Moskwa wycofa się z obowiązującej do



Zwrot Erdoğan'a

połowy lipca umowy. W tym celu turecka marynarka wojenna ma ochraniać konwoje statków przewożących ukraińskie zboże.

Polityczny zwrot daje Erdoğanowi wiele korzyści zarówno w NATO oraz w Unii Europejskiej, jak i w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. W zamian za zaprzestanie blokowania członkostwa Szwecji w NATO Sztokholm zgodził się na rewizję swojej dotychczasowej życiowej polityki wobec formacji kurdyjskich, które Turcja uznaje za organizacje

terrorystyczne. Jednocześnie Unia Europejska poinformowała o gotowości do wprowadzenia ułatwień dla obywateli Turcji chcących wjechać na obszar wspólnoty. Mówi się również o złagodzeniu amerykańskich sankcji nałożonych na Turcję po tym, jak ta zakupiła w 2017 r. rosyjskie systemy antyrakietowe S-400.

Blokując kandydaturę Szwecji przez 12 miesięcy, Erdoğan osiągnął bardzo dużo. Podkreślił swoją osobistą pozycję i rolę Turcji jako samodzielnego i niezależnego gracza, który realizuje przede wszystkim własne interesy, nawet jeśli musi w tym celu odwołać się do środków budzących irytację sojuszników.

Marek Budzisz



 **Norwegia**

Wróg nie zagłodzi już Europy

Bogata Skandynawia może liczyć na kolejne łaski fortuny. Po tym jak niedawno odkryto w Szwecji największe w Europie złoża metali ziem rzadkich, władze Norwegii oficjalnie ogłosiły, że na południowym zachodzie tego kraju znaleziono najbogatsze na całym świecie pokłady fosforytów.

Fosfor jest wykorzystywany przy produkcji paneli słonecznych i akumulatorów do samochodów elektrycznych, a także półprzewodników i cipów komputerowych. Jednak przede wszystkim fosforyty są kluczowym surowcem do produkcji nawozów sztucznych. Do tej pory Europa była skazana na import fosforytów, a to – w obecnej sytuacji geopolitycznej i przy ryzyku blokady dostaw – mogło zagrozić rozwojowi rolnictwa i bezpieczeństwu żywnościowemu kontynentu.

Fosforyty występują głównie w Maroku, gdzie na terytorium Sahary Zachodniej znajdowały się najbogatsze dotąd złoża tego surowca (50 mld ton), a także – mniejsze – m.in. w USA, Chinach, Egipcie, Algierii, Rosji i Brazylii. Uzależnienie Europy od zewnętrznych dostawców wiązało się jednak ze sporym ryzykiem. Przykładowo w 2008 r. Chiny wprowadziły taryfę eksportową na fosforyty, co mocno wywindowało ceny tego surowca. Stało się jasne, że dostawy fosforytów, które zostały wpisane przez Komisję Europejską na listę surowców krytycznych, mogą w każdej chwili zostać wykorzystane jako narzędzie politycznej presji.

Norweskie złoża przywracają Europie poczucie bezpieczeństwa, tym bardziej że według wstępnych szacunków ich zasobność oblicza się na minimum 70 mld ton, co odpowiada 50-letniemu zapotrzebowaniu na ten surowiec. Niewykluczone zresztą, że fosforytów jest jeszcze więcej, ponieważ prace geologiczne prowadzono tylko do głębokości 1500 m pod ziemią, podczas gdy pokłady zmineralizowanego surowca sięgają aż 4500 m. Co więcej, złożom fosforytów towarzyszą pokłady wadanu i tytanu – minerałów szeroko wykorzystywanych w przemyśle lotniczym i obronnym.

Norwegia przymierza się do budowy kopalni i wydobywania surowców. Chce również uruchomić nowoczesne zakłady rafinacji fosforytów, które będą spełniać surowe normy ochrony środowiska. W tej chwili bowiem nie ma w Europie tego rodzaju produkcji, zlikwidowano ją z właśnie z powodów ekologicznych. Oczyszczony surowiec kupuje się więc w Chinach, Wietnamie lub Kazachstanie, co jeszcze bardziej pogłębia zależność Europy od zewnętrznych dostawców.

Wojna na Ukrainie i napięta sytuacja międzynarodowa bardzo brutalnie przypomniały o tym, że bezpieczeństwo surowcowe oraz skracanie łańcucha dostaw mają fundamentalne znaczenie dla przyszłości Zachodu. Dzięki skandynawskim złożom Europa może czuć się trochę spokojniejsza.

Konrad Kołodziejwski



 **Korea Północna**

Twoja mowa cię zdradziła

W ostatnich latach w globalnej kulturze masowej zawrotną karierę robi zjawisko zwane „hallyu”, czyli „koreańska fala”. Chodzi o niezwykłą popularność, którą cieszą się filmy fabularne, zwłaszcza seriale (k-dramas), czy muzyka rozrywkowa (k-pop) z Korei Południowej. Okazuje się, że wschodnioazjatycki tygrys ma do zaproponowania światu nie tylko produkty Samsunga, Hyundaia czy LG, lecz także kulturę, która potrafi fascynować i uwodzić.

To, co jest przedmiotem dumy w Seulu, staje się powodem do niepokoju w Pjongjangu. Komunistyczne władze Korei Północnej z coraz większą irytacją patrzą bowiem na wpływ „hallyu” zwłaszcza na pokolenie Jangmadang, czyli generację urodzoną w latach 90. Obawiają się, że przekaz zza południowej granicy może zniszczyć monopol ideologiczny dynastii Kimów. Dlatego w 2020 r., by ograniczyć oddziaływanie materiałów sprowadzanych nielegalnie z zagranicy, przyjęto „ustawę o myśli antyreakcyjnej”. Na tej podstawie w 2022 r. dokonano publicznej egzekucji 16- i 17-latków, których zatrzymano na bazarze, gdy sprzedawali pendrive’y z południowokoreańskimi filmami.

Restrykcyjne prawo okazało się jednak niewystarczające, dlatego w tym roku władze KRL-D uchwały „ustawę o ochronie języków kulturowych w Pjongjangu”. Mimo że mieszkańcy podzielonego półwyspu posługują się tą samą mową, to jednak po 1953 r. rozwijała się ona w dwóch odseparowanych od siebie państwach, w związku z czym na północy i na południu wykształciły się odmienne zwroty, idiomy, pojęcia i terminy językowe. Ale choć granica wzdłuż 38. równoleżnika jest najpilniej strzeżoną na świecie, nie jest jednak w stanie zatrzymać wypowiedzianych słów.

Kim Dzong Un wie o tym doskonale, dlatego chce temu przeciwdziałać. Zapewne nie czytał prac McLuhana i nie zna jego tezy, iż środek jest przekazem („medium is the message”), ale rozumie rolę języka jako nosiciela wartości. Dlatego nowe prawo przewiduje surowe kary dla każdego, kto zostanie przyłapany na używaniu słów charakterystycznych dla mieszkańców Południa.

Grzegorz Górny

PRZEZ ŚWIETLIK

Silni razem

Za sprawą Parlamentu Europejskiego znowu poczułem się bezpiecznie. Wybory w Polsce nie zostaną sfałszowane. Przypilnuje ich na wniosek wspomnianego szanownego ciała ciało jeszcze bardziej szanowne, bo OBWE. Będą pilnować m.in. kraje znane jako oazy demokracji i porządku konstytucyjnego, ba, rzekłbym – demokracji w wersji hard.

Nie dziwi mnie, że wsparciu tej cennej inicjatywy z polskiej strony dali twarz m.in. europosłowie Cimoszewicz i Biedroń. Pierwszy zapewne doskonale rozumie, że wypuszczenie światłych obserwatorów z krajów nietkniętych przeklętym łapskiem dekomunizacji może przywrócić naszej demokracji choć trochę pięknego blasku przymiotnika „ludowa”. Drugi zapewne nie rozumie z tego nic jak zwykle, po raz kolejny zresztą dowodząc, że nie matura, lecz chęć szczera... Dlatego w ramach zacnej akcji OBWE – ze wsparciem europosła Biedronia – będzie legalność polskich wyborów badał obserwator z Tadżykistanu. Przy okazji może



**Wiktor
Świetlik**

z tego kraju zapożyczymy także wzorce ochrony mniejszości seksualnych? Dla przypomnienia, w ramach akcji „Czystość” i „Moralność” sporządzono tam niedawno rejestr aktywnych homoseksualistów, by skuteczniej walczyć z HIV i narkomanią.

Europosłowi Cimoszewiczowi bardziej zapewne odpowiadałby obserwator z Tadżykistanu, którego prezydent Emomali Rahmon konsekwentnie buduje demokratyczny wzorzec tak bliski politycznej kolebce pana Włodzimierza, a także innego Włodzimierza. Zamordyzm łączy z uwielbieniem dla Putina, czegoż chcieć więcej? Łza się w oku kręci,

tylko ciemnych okularów brakuje.

Nasze wybory będą obserwowane także przez Kazachów, których stabilny system polityczny i 40-letnia prezydentura Nursułtana Nazarbajewa gwarantowały więzienie opozycjonistów i strzelanie do demonstrantów.

Mówiąc krótko, wzorce naszej opozycji pełną gębą. Silni razem w wersji globalnej.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Hitler i jego goebbelsik

Jaruzelski nie był Hitlerem. Czasy były inne, jak powiedział Lech Wałęsa (cytuję z pamięci), „kiedyś nas bardziej mordowali, teraz mordują mniej”. No więc Wojciech mordował Polaków znacznie mniej niż Adolf. Od Hitlera różnił się także tym, że Führer dokonał ludobójstwa kierowany osobistymi obsesjami, a Jaruzelski pacyfikował swój naród na obce zlecenie. Każdy musi sam ocenić co – niezależnie od skali – jest bardziej obrzydliwe.

Jaruzela Moskwa osadziła na tronie, Moskwa mu kazała bronić socjalizmu, a na koniec Moskwa nakazała mu oddać władzę, komu należy. To Moskwa nie chciała, by bardziej mordował, więc mordował mniej. Generalnie generał nie był żadnym generałem, ale zaledwie kapralem na usługach kremlofskich sierżantów, od początków kolaboracji w ZSRS do mordów w Wujku i oddania władzy nowym kolegom w Magdalence. Wedle PRL-owskiego prawa jako zdrajca powinien dostać czapę, wedle nowych polskich przepisów czekałoby go najwyżej dożywocie. Jego szczęście, że zmarł, do dni ostatnich kryty przez wpływowe klikki.

Niezależnie od tego, że Wojciech nie był Adolfem, ale tylko adiutantem Kremla, radziłbym, by nie relatywizować jego win. Szczególnie doradzałbym to historykom, którzy usiłują być współczesnymi goebbelsikami. Unikajcie, panowie, argumen-

tów obrażających intelekt czytelników. Choćby takich: „Jan Paweł II w trakcie wizyt w Polsce zawsze znajdował czas na osobiste spotkanie z Jaruzelskim albo napisanie do niego serdecznego listu. [...] Jarosława Kaczyńskiego papież tak nie wyróżniał” (to cytat z tekstu opublikowanego parę dni temu w pewnej niby-poważnej gazecie).

Jakież to bezdennie głupie. I ahistoryczne. JP2 w swoim rzymskim grobie się przewraca, a każdemu normalnemu Polakowi scyzoryk w kieszeni się otwiera. Nie wiem, co w tym cytacie jest bardziej oburzające: cynizm i głupota czy chęć gloryfikacji zaprzańca. A może to zwykła podłość?

Kaczyńskiego przez lata ostro recenzowałem. Prezes dość późno zdał sobie sprawę z tego, jak dla Polaków ważna jest wiara i wartości chrześcijańskie: kiedyś pielęgnowanie ich uznawał za drogę do dechrystianizacji Polski. Ale dziś demonstruje, że wie, co katolickie dziedzictwo i tradycje z nim związane znaczą dla narodu.

Moskiewski kapral Jaruzelski żył i umarł jako sługus Kremla. I jego czynów nie da się usprawiedliwić. Nawet wycierając sobie gębę Janem Pawłem II.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Równe i równiejsze

We Francji już trzeci tydzień strajkuje redakcja tygodnika „Journal du Dimanche”. Reakcja protestuje przeciw mianowaniu na stanowisko naczelnego „ultraprawicowego” dziennikarza Geoffroya Lejeune’a. Stygmat ten uzyskał on za poparcie w wyborach prezydenckich pisarza i publicysty Érica Zemmoura. Gdyby nowy naczelny rekomendował urzędującego prezydenta czy kogokolwiek z lewicy, nawet komunizującego Jeana-Luca Mélenchona, nie miałyby to znaczenia. Ponieważ zasygnalizował aprobatę dla poglądów Zemmoura, zespół redakcyjny odrzuca propozycje rozmowy z jego strony i zwraca się w liście otwartym do obecnego prezydenta, by ten „zajął się sprawą”. Wezwanie prezydenta do interwencji z powodu nominacji zwolennika jego konkurenta jest specyficznym rozumieniem wolności prasy. Ale we Francji nikt się nie dziwi. Znani publicyści przypominają, że przed dojściem Hitlera do władzy naziści zaczęli przejmować niemiecką prasę.

Formacja, którą reprezentuje Zemmour (Hitler?), a więc i Lejeune, ma być ksenofobiczna, islamofobiczna, tożsamościowa i antysemicka. Ten ostatni zarzut jest szczególnie nonsensowny, gdyż Zemmour jest z pochodzenia Żydem. Grzech tożsamości ma charakter wybiórczy i odnosi się wyłącznie do jej francuskiej oraz chrześcijańskiej wersji. Potępienie na siebie ściągnąłby ten, który ośmieliłby się krytykować eksponowanie tożsamości arabskiej czy islamskiej. Islamofobia to próba analizy tej religii i kultury.

Zbrodnią Zemmoura jest wskazanie na narastający we Francji konflikt z nieasymilującymi się przybyszami z krajów muzułmańskich i wezwanie do obrony cywilizacji francuskiej. A nad Sekwaną nie wolno zbyt dokładnie przyglądać się islamowi. Nie chodzi nawet o krytykę – pod groźbą anatemy i sądowej odpowiedzialności nie wolno wskazywać zasad, które fundują jego odmienność oraz demonstrują, jak trudna dla Europejczyków może być koegzystencja z wyznającą go społecznością.

Ideologia emancypacji głosi, że wszystkie kultury i religie są sobie równe, a więc nie należy przywoływać faktów i danych, które by temu przeczyły. Wszystkie są równe, ale według dominującej ortodoksji Zachód, a zwłaszcza chrześcijaństwo są odpowiedzialne za właściwie wszystkie zbrodnie w historii ludzkości, za co powinny pokutować do końca dni swoich. Inne cywilizacje i religie są więc od nich równiejsze.

To podejście uniemożliwia zrozumienie, a więc i przeciwdziałanie cywilizacyjnemu konfliktowi, który obserwujemy dziś w skali globalnej. Niestety, ma w tym również udział współczesny Kościół katolicki. Zwłaszcza w dokumentach II Soboru Watykańskiego i wynikających z nich deklaracjach. Są tam

akcentowane podobieństwa islamu do chrześcijaństwa jako religii odwołującej się do tej samej księgi (Biblii), czczącej te same święte postacie, a zwłaszcza tego samego Boga.

W rzeczywistości to, co miałyby zbliżać islam i chrześcijaństwo, a także judaizm, zasadniczo je różnicuje i prowadzi do radykalnego antagonizmu. Pisał o tym m.in. Alain Besançon we „Współczesnych problemach religijnych”.

Według Mahometa święta księga ludzkości to Koran, który został dany przez Boga wszystkim ludziom, ale Żydzi sfalszowali go i przekształcili w Torę, a chrześcijanie również wbrew prawdzie przerobili na Ewangelię. Koran odwołuje się do Abrahama, ale występuje on w nim jako prawowierny muzułmanin tak jak i inni bohaterowie Biblii, na Jezusie i Jego Matce kończąc, a Żydzi i chrześcijanie nie mają prawa się na nich powoływać. Dogmat Trójcy, którą według Mahometa stanowić mają Bóg Ojciec, Chrystus i Jego Matka, to świadectwo stoczenia się chrześcijaństwa w politeizm. Jezus nie umarł na krzyżu, „tylko się im tak zdawało”. Idea Boga, w islamie radykalnie oddalonego w transcendencję, różni się od Jego wyobrażenia jako Ojca w Biblii, a samo to ujęcie jest dla muzułmanów świętokradcze tak jak idea przymierza między Bogiem a człowiekiem.

O tych zasadniczych różnicach, których wyliczanie można kontynuować, piszę, by wskazać, jak pozorne podobieństwa stają się źródłem fundamentalnej wrogości, którą dużo trudniej przezwyciężyć niż w przypadku zupełnie odległych wierzeń.

W dominującej narracji zachodniej albo nie dostrzega się tych problemów, albo próbuje je unieważniać, głosząc, że są związane z tradycyjnym pojmowaniem islamu, z którym jego mieszkańcy na Zachodzie wyznawcy mają coraz mniej wspólnego. Sęk w tym, że podstawowym dogmatem tej religii jest uznanie Koranu za podyktowane Mahometowi słowa Boga i wierni mają obowiązek przyjmować je literalnie. Dlatego wszystkie próby „europeizacji” islamu okazały się dotąd porażką, co musiał przyznać nawet ich najbardziej znany rzecznik Bassam Tibi.

W felietonie „Mięsożerni wegetarianie” pisałem, do jakich fatalnych paradoksów prowadzi wyznanie naturalnej dobroci człowieka. Odmowa dostrzegania fundamentalnych różnic między kulturami ma równie katastrofalne konsekwencje.



Walizka prof. Andrzeja Niedzielskiego

astronoma, odkrywca egzoplanet

Z moimi podróżami jest tak, że najczęściej są służbowe i w odległe rejony Ziemi. Ich głównym celem jest udział w konferencjach naukowych organizowanych w ośrodkach zlokalizowanych w ciekawych okolicznościach przyrody (i pogody). Jestem też zapraszany do obserwatoriów astronomicznych, do których osoby postronne nie mają wstępu. Ostatnio prowadziłem dość intensywne obserwacje w Teksasie, w Obserwatorium McDonalda znajdującym się na półpustyni, w miejscu mało ciekawym turystycznie, ale dla mnie interesującym ze względu na teleskop o ponad dziewięćmetrowej średnicy zwierciadła. To, co wszystkich kolegów denerwuje, to moje wyjazdy na wyspę La Palma na Kanarach, gdzie na wygasłym wulkanie (2400 m n.p.m.) znajduje się największe europejskie obserwatorium astronomiczne. Jest fantastyczne, gdyż znajduje się powyżej chmur. Dzięki takim wyjazdom miałem okazję zwiedzić kawał świata – od Meksyku i Afryki Południowej po Chiny, gdzie znajduje się m.in. teleskop radiowy o średnicy 500 m!



APARAT

Bez niego nigdy nie wyjeżdżam. Robię bardzo dużo zdjęć, przeważnie po 10 razy tego samego motywu... Fotografuję mieszkańców tej planety, ich ubiory, architekturę, obchody świąt, np. Święto Zmarłych w Meksyku.



BUTY I KIJKI

Prywatnie często jeżdżę w Karkonosze na czeską stronę. Lubię się poszwendać po schroniskach. W każdym z nich mają inny gatunek piwa i można coś dobrego zjeść.



KOMPLET SZTUĆCÓW

Symbol korzystania z lokalnego jedzenia. O ile w Czechach to nie jest wielkie wyzwanie, to już w Meksyku, Chinach czy Afryce Południowej kulinarna poprzeczka jest zawieszona znacznie wyżej...





PRZELĄCZKA

Pozwala podłączyć się do prądu w różnych częściach świata.



KAPELUSZ

Jestem ciepłolubny, gdy jadę prywatnie, wybieram miejsca, gdzie jest słońce.



OKULARKI DO PEYWANIA

Staram się zawsze popływać, a w szczególności oglądać to, co jest pod wodą. Zawsze mi to sprawia frajdę, gdy jest przejrzysta woda.



KOMBOLOI

Pamiątka z Grecji. Obracając go w dłoni, masuje jej wewnętrzne struny,

poprawia samopoczucie i zmniejsza stres. Dla Greków jest to też forma zabijania czasu. Czasami go sam używam.

KAFELKI

Kolekcjonuję różnego rodzaju kafelki – ten akurat jest z Sewilli.

Wyraźnie widać wpływ arabskiej kultury podczas wizyty Maurów w Hiszpanii.



KOMPAS

Na rękę do nurkowania, ale całkiem nieźle działa też na twardym lądzie. W dobie komórek to już jest archaiczny artefakt.



NERKA

Zamiast wypychania kieszeni w krótkich spodenkach, do trzymania dokumentów i innych kłopotów.



SŁUCHAWKI

Muzyka non stop. Słucham wszystkiego: jazzu, popu, klasyki. Podczas obserwacji nieba czas się dłuży.



LATARKA

Z korbką, dzięki czemu baterie nie są potrzebne. Ponieważ obserwacje astronomiczne kończą się o dziwnych późnych porach, wtedy – np. szukając drogi do samochodu – taki wynalazek się przydaje. Przy obserwatoriach nie ma latarni i jest zakaz używania w pojazdach długich świateł, żeby nie zanieczyszczać nim nieba.



KINDLE

100 książek w środku. Oczywiście wśród nich są też pozycje SF, bo to w końcu na tym gatunku wyrosłem, a dzięki marzeniom o odkrywaniu innych planet zostałem astronomem. No i kilka odkryłem!



MAGAZYNY

Piszę artykuły do fachowych astronomicznych periodyków. Potem przepytuję z nich swoich studentów.



LORNETKA

Gdy jest trochę czasu, żeby pooglądać niebo poza pracą, to albo gołym okiem, albo lornetką.



NÓŻ SZWAJCARSKI

Służy do ważnych czynności. Można nim np. przygotować cały obiad, a do posiłku także otworzyć coś do picia.



MUSZELKI

Moje zdobycze ze snurkowania.



*Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun*

OGNIEM NA WPROST

Tiktokowa armia



Polski Sejm jednogłośnie przyjął uchwałę w sprawie 80. rocznicy rzezi wołyńskiej, wzywającą Ukrainę do zajęcia stanowiska w tej kwestii, czyli przyznania się do winy i długo oczekiwanych przeprosin. Decyzja naszego parlamentu *de facto* zamyka twarz rosyjskim szczekaczkom propagandowym, które chętnie podczas wyborów grałyby Wołyniem. Ale Ukraińcy dalej poswojemu. Znow zaczęli gadkę o „pominięciu kontekstu historycznego” i „o niewygodnych dla Polski faktach i przesłankach, które doprowadziły do tych wydarzeń”. Można tak długo i namiętnie, ale i tak nie usprawiedliwia to rozpruwania brzuchów ciężarnych Polek przez oszalałe z nienawiści zgraje chłopów i paramilitarnych oddziałów OUN-UPA. Według informacji napływających z brytyjskich źródeł ukraińska dyplomacja chciała rozgrywać szefa brytyjskiego Ministerstwa Obrony Bena Wallace’a, próbując wekslować Polskę na boczny tor w reakcji na nasze stanowisko w kwestii Wołynia. Ale Angole zachowali się lojalnie. Przypomnieli Ukraińcom podstawowe zasady higieny: „Jak się przychodzi po prośbie, to się warunków nie stawia. Bo NATO poradzi sobie z Rosją bez Ukrainy, ale Ukraina bez NATO nie. Polska pozostaje głównym adwokatem Ukrainy w pakcie i omijanie jej niczego dobrego Ukrainie nie przyniesie”. Kijów przesłanie „poniał” i wrócił do *status quo ante*. W każdym razie, panie i panowie spod znaku tryzuba, przeprosić trzeba, bo inaczej nic większego z naszych dobrych relacji nie wyniknie.

Złą paszę mają ostatnio na wojence czeczeńscy kadrowcy. Wągnrowski kanał Grey Zone potwierdził duże straty tiktokowej armii pod Bachmutem oraz to, że dali nogę z pola

bitwy. Lukę po Czeczenach wypełnili strzelcy zmotoryzowani z regularnej armii Federacji Moskiewskiej. Jakby tego było mało, w trakcie pisania tych słów pojawiła się informacja o kolejnym skutecznym trafieniu ukraińskich rakiet. Tym razem w zniszczonym Mariupolu. Pociski spadły na kwaterę kadyrowców, znajdującą się na terenie tamtejszych zakładów metalurgicznych. Ranni w ataku mieli zostać potajemnie przewiezieni do szpitala w Doniecku – poinformował na Telegramie Petro Andriuszczenko, doradca mera Mariupola. We wpisie porównał skalę zniszczeń tego ataku rakietowego do uderzenia na rosyjską kwaterę w Jurjiwce z 29 maja br., gdzie miało zginąć ok. 100 Rosjan, a kolejnych 400 miało odnieść rany. Wbrew buńczucznym zapowiedziom Kadyrowa jego tiktokowa ekipa zwana wojskiem nadaje się tylko do jednego. Terroryzowania uciekających z frontu mobików i pastwienia się nad ludnością cywilną. Niech wracają więc do tego, co najlepiej potrafią.

Minał już 500. dzień wojny. Wypada przy tej okazji pokazać, jak zmienił się i wygląda obecnie stosunek ciężkiego sprzętu obu walczących armii. Bazowałem na m.in. holenderskim portalu oryxspioenkop.com, który podaje tylko udokumentowane zdjęciami straty. I tak jeśli chodzi o ciężkie działa to Ruski z 2,3 tys. sztuk na początku inwazji zszedł na 1,9 tys. W tym samym czasie Ukraińcy mając 773 ciężkich armat na starcie, powiększyli swój stan posiadania do 1,1 tys. mimo ponoszonych strat. Porównując Multiple Launch Rocket System, w skrócie MLRS, czyli opancerzone, gąsienicowe, wieloprowadnicowe wyrzutnie rakietowe (m.in. HIMARS) Kacap dysponował 24 lutego 2022 r. 1,1 tys. sztuk, a Siły

Zbrojne Ukrainy posługiwały się wówczas tylko 354 podobnymi systemami. Po 500 dniach działań przeciwnikom zostało 841, a Tryzubę mają już 427 sztuk. Najciekawsza sytuacja powstała w przypadku czołgów. Na początku pełnoskalowej agresji 987 tanków ukraińskich stało na przeciwko 3,4 tys. ruskich. Dziś stosunek ten odwrócił się i SZU dysponują 1,5 tys., a Moska 1,4 tys. Stopniowo też jakość sprzętu Kijowa wypiera ilościową przewagę Kremla. Oby tak dalej, a zwycięstwo będzie nasze!

Kremłowska propaganda skutecznie zryła mózgownice obywatelom Federacji Moskiewskiej. Nawet dzieci zostały już nauczone (niczym pies Pawłowa) powielania jej kluczowych narracji o tzw. kolektywnym Zachodzie. Śledząc sieci społecznościowe, można dojść do wniosku, że młodzi rosyjscy „analitycy” są przekonani, że agresja reżimu kremłowskiego na inne kraje, w szczególności na Ukrainę, jest podyktowana rzekomą walką z „antychrystem”. „Konieczne jest pokonanie cywilizacji antychrysta. Musimy zburzyć ten kolektywny Zachód. [...] Musimy pokonać to wszystko, wszystkich satanistów, liberałów, tam, masonów... [...] Nie wiadomo, kto tam jest normalny... No jasne, że są normalni i nienormalni. Nienormalni masoni. Kogo jeszcze trzeba pokonać? Lewaków? Ale nie w sensie komunistów czy nowych bolszewików. NIE. Mam na myśli lewicowców” – wyjaśnił jeden z takich „analitików”, nijaki Mamchyn. Biedak zdaje się zapominać, że zachodnie lewactwo swoje korzenie wywodzi z obu rewolucji: francuskiej i październikowej. Ale o tym sza. Nie pasuje do tezy.

Andrzej Rafał Potocki

Chopin zilustrowany

„Chopinowi – Duda-Gracz” w Muzeum Śląskim w Katowicach to wystawa składająca się z 100 obrazów Jerzego Dudy-Gracza z oprawą w postaci interpretacji fortepianowej Wojciecha Olejniczaka. Dzieła zostały poświęcone utworom najpopularniejszego polskiego kompozytora i najbardziej cenionego przez artystę, który malując, zdawał się widzieć skomponowane z dźwięków typowo polskie oniryczne pejzaże, sceny rodzajowe, subtelne postacie zapisane w mazurkach, walcach, rondach, nokturnach, etiudach i pozostałych utworach Chopina. Malarz stworzył wizualizację nawiązując także do zaginionych kompozycji, wykonanych techniką eksperymentalną m.in. na bawelnie, lnem czy batyście.

Do pracy nad cyklem poświęconym swojemu ukochanemu kompozytorowi Jerzy Duda-Gracz przygotowywał się przez dwa lata. Przeczytał wiele książek opowiadających o szczegółach biografii i twórczości Chopina, podróżował do odwiedzanych przez niego miejsc, studiował jego korespondencję, szczególną uwagę poświęcając zwierzeniom twórcy na temat jego utworów. Chciał, by cykl był wiernym obrazem twórczości kompozytora. Monumentalna seria dedykowana Fryderykowi Chopinowi powstała w latach 1999–2003. Zawiera w sumie aż 313 obrazów do 296 utworów i jest jedynym na świecie zbiorem dzieł jednego artysty przedstawiającym utwory jednego kompozytora. Zilustrowane zostały 4 ballady, 29 etiud, 4 impromptu, 58 mazurków, 21 nokturnów, 16 polonezów, 39 preludiów, 4 ronda i 4 scherza, 3 sonaty i tyle samo wariacji, 19 walców, 17 utworów pojedynczych, 34 utworów pozostałych oraz 41 utworów zaginionych – w postaci całunów. Tytuł każdego obrazu pokrywa się z tytułami poszczególnych utworów Chopina, a ponadto zawiera wskazanie miejsca, w którym powstał.

Duda-Gracz miał rzadko spotykaną zdolność synestezji, czyli umiejętność jednoczesnego postrzegania za pomocą różnych zmysłów. Synestetycy, słysząc dźwięki, potrafią wyobrazić sobie ich kolory, poczuć ich smaki, zapachy albo dotyk. Czując zapach, są w stanie poczuć jego smak albo dotyk lub skojarzyć go z kolorem. Każda osoba obdarzona tą zdolnością ma swoje indywidualne, charakterystyczne połączenia wielozmysłowe, wrodzone i niezmiennie – niezależne od nabywanych biegiem lat doświadczeń. U synestetyków każdy dźwięk może mieć odpowiadający mu kolor, zapach, smak lub dotyk. Duda-Gracz mówił, że sceneria obrazów, ich kompozycja są jego pomysłami, ale barwy, których użył do ich namalowania, stanowią dla niego wyłączne odzwierciedlenie kolorów dźwięków muzyki Chopina. W pełnych melancholii i tajemniczości wizjach chopinowskich utworów na tle niezmiennie zachmurzonego nieba zasadniczo dominują przytłumione pastele: odcienie szarości, błękity, brązy, żółcie, khaki, zielenie.

Jerzy Duda-Gracz – twórca sentymentalny, wybitny indywidualista, tworząc swój niespotykany, baśniowy cykl, chciał we właściwy sobie sposób zinterpretować genialną muzykę Chopina, sportretować niezindustrializowaną Polskę. Swoją ojczyznę cenił



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

i uwielbiał. Typowo polskie, jakby wycięte z krajobrazu Żuław, rozległe pola z hulającym wiatrem i szumiącymi wierzbami, stogi siana, zamglone lasy, sielskie, kwieciste łąki przecinane wąskimi ścieżkami, dłużący się przełom zimy i wiosny widziany w powolnych roztopach, pełne symboliki pomniki cmentarne, drewniane chaty kryte strzechą, typowe staropolskie dwory (Żelazowa Wola, dwór w Poturzynie) – zatopione w pełnej różnorodności flory przestrzenie życiowe różnych warstw społecznych, ubranych w charakterystyczne dla siebie stroje z epoki, mierzących się z nieubłaganimi prawami przyrody, przemijaniem. Mijających się jak we śnie z nimfami, świętżankami, zjawami i stworzeniami wywodzącymi się z dawnych, pogańskich wierzeń. Nostalgiczny obraz Polski jest stworzony ze świetnym warsztatem malarskim, z delikatnością i specyficzną rozpoznawalną manierą Dudy-Gracza. Sam artysta miał powiedzieć: „Mnie zawsze inspirowała wyłącznie Polska. Jestem nieuleczalnie chory na Polskę. Cykl chopinowski to nie ilustracje, lecz inspiracje. Podjęcie próby przełożenia dźwięków na barwę to także złożenie hołdu ukochanemu kompozytorowi”.

REKLAMA

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 22.00

55/0623/F

Jak bardzo demokracja przeszkadza „obrońcom wolności”

Jeśli jest coś stałego w politycznej przyrodzie, to to, że Bruksela i pracujący tam antypolscy politycy będą regularnie przyjmować rezolucje przeciwko Polsce. Przebijające z nich fałszywe nuty powodują już coraz częściej jedynie wzruszenie ramion, ale warto zatrzymać się nad treścią tej ostatniej z zeszłego tygodnia.

Jedną jej część dotyczyła obrony Donalda Tuska, bo to na jego nazwisku zbudowano medialną nazwę dla komisji ds. badania wpływów rosyjskich w Polsce i jest to dość zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że większość rządząca w Parlamencie Europejskim nie kryje się ze swoją słabością do byłego premiera i robią wszystko, żeby ten polityk wrócił do władzy.

Najbardziej wymowna jest jednak druga część rezolucji. Potępia ona zmiany w Kodeksie wyborczym, które polegają przede wszystkim na tym, że więcej Polaków będzie mogło wziąć udział w głosowaniu. Chodzi o ułatwienia dla ludzi starszych, z niepełnosprawnościami i zwiększenie liczby lokali



Samuel Pereira

wyborczych, czyli koszmar tych, co się przedstawiają jako demokraci, ale dla których demokracja jest tylko wtedy, gdy wygrywają oni, a gdy władzę zdobywają „nie ci, co trzeba”, to podnoszą raban o końcu demokracji.

Podobnie rzecz się ma w Parlamencie Europejskim, z tą różnicą, że tam większość jeszcze jest lewicowo-liberalna i broni się przed konserwatywnym kursem, który obrała Europa. A dlaczego im ten kurs przeszkadza? Nie chodzi tylko o światopogląd i nowe ideologie, ale o strach przed utratą wpływów, bo dziś lewa strona robi wszystko, by głos zwykłych obywateli Europy się nie liczył, lecz rządzili „mędrcy z Olimpu” unijnego, a to prawa strona – tak wyklonana jako antydemokratyczna – broni głosu ludzi i znaczenia suwerenności jako wolności samostanowienia się narodów. I o tym będą nie tylko najbliższe wybory w Polsce, lecz także wybory europejskie w 2024 r.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Strony, które znam

Z aktorem *Szymonem Kołodziejem* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Bywa pan zaczepiany na ulicy?

Szymon Kołodziej: Zdarza się od emisji pierwszej części „Korony królów”.

Kogo pan w niej grał?

Jana z Kleparza, jednego z nieślubnych synów króla Kazimierza.

Jak pan wspomina tego bohatera?

Dla aktora to była wymarzona postać. Nie tylko dlatego, że kostiumowa. Losy historycznego pierwowzoru nie są do końca znane, więc scenarzyści mogli sobie pozwolić na więcej własnej inwencji i tak powstała historia w stylu „od zera do bohatera”. Na początku nie marzyły mi się żadne sceny walki, miecze i strojne szaty, a okazało się, że i tego na planie doświadczyłem. Jan został pasowany na rycerza, brał udział w zbrojnych wyprawach. Dzięki niemu mogłem spełnić swoje dziecięce marzenia.

A co się teraz u pana aktorsko dzieje?

Za mną premiera filmu, którego akcja dzieje się w latach 90. ub.w. w Trójmieście, a przede

mną parę projektów, o których jeszcze nie mogę mówić.

Na planie „Radiostory” znów przenieść się pan w czasie?

Jestem z rocznika 1988, więc tamte lata znam przede wszystkim z opowieści rodziców, a jeszcze bardziej babci. A pochodzę z Braniewa, z którego do Gdańska można dojechać w godzinę.

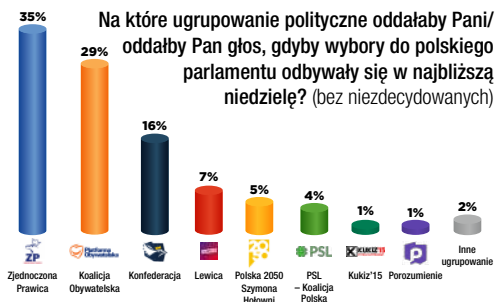
Wraca pan wakacyjnie w rodzinne strony?

Mam do Braniewa ogromny sentyment. To niewielkie miasteczko, w którym znakomicie odpoczywam. Zresztą cała Warmia jest przepiękna i pełna turystycznych atrakcji. Choćby Frombork – od Braniewa dzieli go raptem 10 km. Ale są i inne miejsca. Urokliwe i warte odkrycia. 

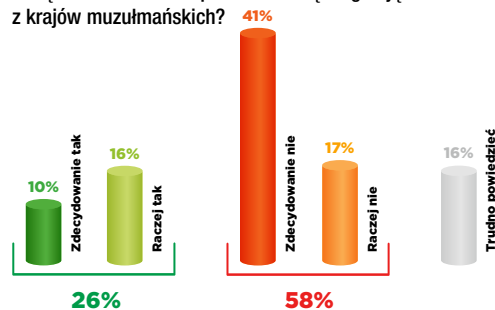




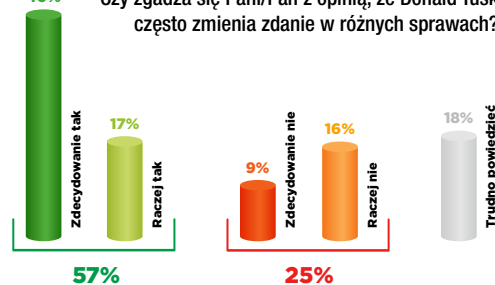
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl



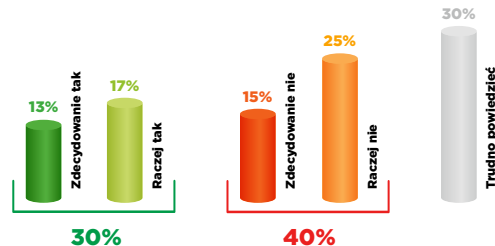
Czy wierzy Pani/Pan w zapewnienie Donalda Tuska, że będzie bronił Polski przed masową imigracją z krajów muzułmańskich?



Czy zgadza się Pani/Pan z opinią, że Donald Tusk często zmienia zdanie w różnych sprawach?



Jak się Pani/Panu wydaje, czy Komisja Europejska zwolni Polskę z obowiązku przyjmowania imigrantów z krajów Azji i Afryki w ramach tzw. przymusowej relokacji?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1076.

Zakres czasowy badania 7-10 lipca 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA LABĘCKA, ANIA.LABĘCKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.
DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TUJACZNIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRAÇA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, K. PAPIRADEK, PIETRUSZKA, MICHAŁ ZEBROWSKI, EAST NEWS,
SHUTTERSTOCK, NEW AFRICA, VAN KARA, FONG, MSLJONK, SCHOMPOONGAM, VIOREL SIMA,
LEV RADIN, ABAEAE NEWS

Sławomir Mentzen
na jednym ze swoich
piwnych wieców

Kilkanaście procent poparcia, 50–70 posłów w Sejmie i odrzucenie wszelkich propozycji koalicyjnych – to ambitny, może nawet nieco bezczelny plan na jesień. W przyspieszonych wyborach – to planu ciąg dalszy – wynik ma być jeszcze lepszy. Sławomir Mentzen gra o wysoką stawkę. Dziś może nosić głowę wysoko w chmurach, bo sondażowa fala niesie jego formację ku gwiazdom. Czym kosztem? I ile jest prawdy w dywagacjach, że w tej astralnej podróży Konfederacja pod rękę z PO spróbuje zniszczyć PiS?

Czyja nadzieja?



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Dla wielu to wciąż nie do wyobrażenia, ale czas przyzwyczaić się do tego stanu rzeczy: trzecią siłą w polskiej polityce jest Konfederacja. Ten zlepek środowisk często

znacznie od siebie oddalonych nie tylko przetrwał, lecz także okrzepł i usadowił się jako główny rozgrywający między dwoma największymi blokami. I choć konfliktów tam co niemiara, struktury rachityczne i chwiejne, a dostęp do wielkich mediów niewielki, to właśnie formacja libertariańsko-konserwatywna (sic!) może decydować o tym, kto od jesieni będzie rządził Polską.

WYWRÓCIĆ STOLIK

Na Konrada Berkowicza, wiceprezesa Nowej Nadziei, czekamy przed salą,

w której ma się zebrać sejmowa komisja sprawiedliwości. Parlamentarzysta zasiada w niej od początku kadencji. Przychodzi dwie minuty przed rozpoczęciem obrad. Przez nas może się trochę spóźnić, ale nie mamy wyrzutów sumienia, bo poseł nie jest w komisji aktywny. W ciągu minionego roku na 54 posiedzeniach nie odezwał się ani razu (wcześniejszych już nie sprawdzaliśmy). Doceniamy więc, że dla nas otwiera usta. Choć spogląda z rezerwą.

– Wybaczenie, ale nie będę o tym mówił, jestem skrytym człowiekiem, a to są skomplikowane sprawy – odpowiada na

pytanie o podziały wewnątrz Konfederacji. – O tym, że u nas trzeszczy, mówi się od początku. A jakoś się trzymamy.

Berkowicz jak mało kto wie o tarciach w tym środowisku. Przy Januszu Korwin-Mikkem jest od 2005 r. Liczył na przejście formacji po nim, ale po wejściu do gry Sławomira Mentzena musiał zagryźć zęby i zadowolić się funkcją drugiego po liderze.

Dużo chętniej powtarza więc to, co z ust korwinowców można usłyszeć od lat: – Nie zamierzamy przedłużać rządów PiS ani reaktywować rządów PO. Jest możliwy rząd mniejszościowy, są możliwe wcześniejsze wybory. Nie my będziemy o tym decydować, bo spodziewamy się 50–70 posłów. W przyspieszonej elekcji zapewne mielibyśmy jeszcze więcej, bo potwierdzilibyśmy, że nie chcemy przedłużyć rządów PiS.

Kilka dni wcześniej Mentzen pisze w internecie: „Sondaże Konfederacji zbliżają się do 15 proc. Wiem, że jeszcze w to nie wierzycie, ale my naprawdę zamierzamy wyrzucić wam ten stolik!”.

Dzwonimy do Sławomira Mentzena, by dopytać, na czym ma polegać to wywracanie. Nie odbiera, brzmienie telefonicznego sygnału wskazuje, że jest za granicą. Wysyłamy SMS-a. Nie odpowiada. Rano rozumiemy więcej. Prezes może mieć wszystko gdzieś, jest na urlopie na Morzu Śródziemnym. Wstawia swoje zdjęcie na tle łódki i trawestuje pplk. Kilgore’a z „Czasu apokalipsy”: „Czujesz to? To Malta, synu. Nic na świecie tak nie pachnie. Uwielbiam zapach niezapłaconych podatków o poranku. Raz nasi zakładali tu jedną spółkę przez 12 godzin. Kiedy było po wszystkim, nie zapłaciliśmy ani jednego euro podatku. Ten zapach: jak zapach pieniędzy. Całe sprawozdanie finansowe pachniało zwycięstwem”.

W trzy godziny wpis jest wyświetlony ponad 300 tys. razy i zbiera ponad 2 tys. polubień. Inni politycy mogą pomarzyć o takich zasięgach.

A konfederaci przecież dopiero się rozkręcają, z każdym kolejnym sondażem coraz bardziej. Według Ogólnopolskiej Grupy Badawczej w grupie młodych wyborców (18–39 lat) mają już 24 proc. poparcia wśród kobiet i aż 50 proc. wśród mężczyzn. Z tak perspektywicznymi wynikami można

śmiało patrzeć w przyszłość i ignorować rzeczywistość po jesiennych wyborach.

Takiej postawy wydaje się też oczekiwać opinia publiczna. Pracownia Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl zadała Polakom pytanie: z którym ugrupowaniem Konfederacja utworzy koalicję, jeśli to od niej będzie zależało, kto uzyska większość w Sejmie po najbliższych wyborach parlamentarnych? 13 proc. wskazało na PO, 40 proc. na PiS, lecz najwięcej – 47 proc. ankietowanych – stwierdziło, że Konfederacja nie wejdzie w koalicję i pozostanie niezależna.

– Żadne rozmowy koalicyjne z nikim się nie toczą, ani z PO, ani z PiS – zapewnia nas ważna postać w Konfederacji, która prosi o anonimowość. I dodaje: – Wchodząc z kimkolwiek do rządu, utoniemy w bagnie. PSL może sobie zostawać dawcą organów dla PiS, ale nie my. Z badań wynika, że nasi wyborcy najbardziej obawiają się koalicji z partią Kaczyńskiego. Mniejsza grupa lęka się sojuszu z PO, ale tylko dlatego, że mniej się o tym mówi.

Dopytujemy, co musiałoby się stać, by plan się zmienił. W odpowiedzi słyszymy: – Jeśli szybko skonsumujemy sukces i teraz zrobimy wynik w okolicach 20 proc., to nie będziemy czekać na dalsze wzrosty. Dogadamy się z tym, kto da nam więcej. Zaczniemy od naszego kandydata na marszałka Sejmu, jeśli przejdzie, będziemy dalej negocjować.

CZY RYZYKO SIĘ OPŁACI?

– Konfederacja idzie w tej chwili na te twarde 15 proc. i jeżeli rzeczywiście postawią się okoniem, jak zapowiadają, to czeka nas scenariusz belgijski sprzed kilku lat, gdzie przez półtora roku nie potrafiąco stworzyć konstytucyjnego rządu – słyszymy od Artura Dziambora, prezesa partii Wolnościowcy, która w lutym br. odłączyła się od Konfederacji. Wcześniej ich środowisko opuściło partię KORWiN, gdy po wybuchu wojny na Ukrainie Janusz Korwin-Mikke sięgnął po prorocyską retorykę. Dziambor zna korwinistów jak własną kieszeń, przez ponad dekadę był w ich trzech partiach, ale po 24 lutego 2022 r. powiedział „dość”.

Nowego prezesa opisuje jako człowieka niezwykle ambitnego i skutecznego: – Jednym ze scenariuszy Sławka jest prezydentura w 2025 r., zaplanował to już dawno temu, ale dopiero teraz pozwoli mu na to metryka [w 2021 r. Mentzen skończył 35 lat – przyp. red.]. Może nie wygrać z Trzaskowskim, ale ma duże szanse na drugą turę, jeśli będzie na takiej fali jak dziś. Gdyby tak się stało, to zostałby liderem ruchu wolnościowego w Polsce z poparciem 40 proc. Ruchu niezatapialnego przez następne 20–30 lat jak teraz PiS czy PO. I wtedy to on stawiałby warunki i wskazywał, z kim chce, a z kim nie chce, dokładnie jak dziś Kaczyński czy Tusk.

To nie tylko kusząca wizja, lecz także niebezpieczna – zaznacza w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Paweł Kukiz, który wie, jak trudno utrzymać na wysokim poziomie poparcia ekipę antysystemową. – Moim zdaniem tę kampanię trzeba wręcz traktować jako przygotowanie do wiosennych wyborów. Konfederacja nie wejdzie w koalicję z PiS w tej chwili, bo będzie liczyć na kolejne parę punktów, a na wiosnę przyspieszone wybory i wtedy pewnie koalicja. Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wystarczy odpowiednia kampania medialna i to oni staną się odpowiedzialnymi za chaos w państwie. Toczą więc ryzykowną grę i muszą się z tym liczyć – dodaje lider Kukiz’15.

Łyżkę dziegciu do miodowej konfederacyjnej beczki dorzuca też Marek Jakubiak z Federacji dla Rzeczypospolitej, który w poprzedniej kadencji był przez chwilę nawet przewodniczącym koła Konfederacji: – Sondaże nic nie znaczą, te dobre dla Konfederacji liczby to efekt buntu emocjonalnego. To nie jest przekonanie, lecz desperacja, jak zrobić PiS i Platformie Obywatelskiej na złość. Dziś mają więc sporo, ale do wyborów dojadą w okolicach 7 proc. Opowiadają niestworzone rzeczy o kilkudziesięciu posłach albo nawet setce. Gdyby byli tego pewni, to poszliby jako koalicja i na luzie przekroczyli wymagane 8 proc., wtedy finansowanie dostałyby wszystkie trzy ugrupowania tworzące Konfederację, a nie tylko Nowa Nadzieja.



Sławomir Mentzen, Konrad Berkowicz, Witold Tumanowicz i Grzegorz Braun

DO KOGO MNIEJ DALEKO?

Wątpliwy sens ma rozważanie jakichkolwiek postulatów Konfederacji. Jej wyborców mniej interesuje, co dokładnie Mentzen planuje przegłosować w ustawach. Wystarczają im takie zapowiedzi z mediów społecznościowych: „Jaki mam plan na przyszłość? Zerowanie piwa, podatków, socjału, inflacji i lewaków. Tak trzeba żyć!”. To kolejny maltański wpis prezesa, okraszony zdjęciem ze szklanką złocistego trunku. Tym razem w trzy godziny zebrał 213 tys. wyświetleń i 3,7 tys. polubień.

Problemem przy opisywaniu politycznej rzeczywistości wokół Konfederacji jest to, że nic tu nie jest na 100 proc. pewne. – To jest miszmasz różnych środowisk, w którym ludzie się ani nie lubią, ani nie rozumieją. Przecież myśmy mieli wojny ideowe na wszystkich możliwych polach – słyszymy.

Rozplączmy więc nieco ten węzeł. Konfederacja to dziś „korwiniści”, czyli Nowa Nadzieja Sławomira Mentzena, „narodowcy”, czyli Ruch Narodowy

– Nikt z nas nie wie, co będzie po wyborach, ale ewentualne koalicje bardziej postrzegamy jako zagrożenia niż szanse

Krzysztofa Bosaka i „braunowcy”, czyli członkowie partii Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Kolejność nie jest przypadkowa, tak rozkładają się siły poszczególnych frakcji.

Bosak w tej grupie jest niewątpliwie jednym z najbardziej obytych w dorosłej polityce. Mówi stanowczo, że w żadne układy w przyszłym Sejmie nie wejdą. – Nikt z nas nie wie, co będzie po wyborach, ale ewentualne koalicje bardziej postrzegamy jako zagrożenia niż szanse – zaznacza.

Prosimy Konrada Berkowicza o wskazanie, co przeszkadza w ewentualnej koalicji z PiS, a co z KO. – Jestem radykałem, z mojego punktu widzenia różnice między nimi są nie-

wielkie – analizuje spokojnie. – PiS niby macha szabelką wobec UE, ale tak naprawdę zgadza się na wszystko. Platforma zaś robi to w zasadzie jawnie, nawet nie udaje – rozkłada ręce. A do których poglądów mu bliżej? – PiS, mimo że praktycznie niewiele w tej kwestii robi, to jednak światopoglądowo jest prawoskrętne.

Gdyby rządziła KO, to można się spodziewać, że do socjalizmu zostanie dołożona całkowicie lewacka agenda kulturowa czy antykulturowa. Jednak jeśli KO ma elektorat mniej uwieszony na państwowym garnuszku, to można byłoby się spodziewać po nich nieco mniejszego pędu socjalistycznego. Ale Donald Tusk dla powrotu do władzy jest zdolny zrobić wszystko, włącznie z podnoszeniem 500+ – kończy Berkowicz.

Rozmawiamy z Przemysławem Wiplerem, o którym mówi się, że to on stoi za sukcesem Mentzena. – Konfederacja na pewno nie wejdzie do rządu, w którym będzie Lewica. I nikt nie wejdzie do rządu z Tuskiem jako premierem, jest nieakceptowalny personalnie

– mówi stanowczo. A więc koalicja z PiS? – Tu też same przeszkody. Jak mówił Krzysztof Bosak, Morawiecki symbolizuje podnoszenie podatków, Niedzielski – opresję covidową, Kamiński – inwigilację, a Ziobro – rozwalenie sądów. Z kim tu współpracować? – pyta z uśmiechem.

Jest jednak teoria, którą powtarza zbyt wiele osób, by przejść obok niej obojętnie, że to właśnie Wipler ma być czynnikiem, który umożliwi koalicję z PiS. On sam zaprzecza, czy szczerze? Z Wiplerem spotykamy się w jego biurze w centrum Warszawy, swobodnie dywagujemy sobie o możliwych i niemożliwych koalicjach, o podchodach ze strony PiS i KO, o bliskości i oddaleniu od Tuska i Kaczyńskiego. Niespełna pół godziny po naszym wyjściu na koncie Sławomira Mentzena na Twitterze pojawia się kategoriyczny wpis: „Koalicji z PiS nie chcą wyborcy Konfederacji, działacze Konfederacji ani władze Konfederacji. [...] A dziennikarze cały czas piszą bzdury o naszej koalicji z PiS. Mam wam to narysować, żebyście zrozumieli?”. To na pewno przypadek, ale należy zwrócić uwagę, że odcinając się od powiązań z największymi partiami, Konfederacja bardziej dba o to, by trzymać dystans do PiS niż do KO.

UKŁADANKA-WYCINANKA

– Mentzen jest przedstawicielem świata wartości, nie wstydzi się katolicyzmu, głośno mówi o sprzeciwie wobec aborcji. Na tle nihilistów, z którymi się sprzymierzył, jest zacny – słyszymy od polityka PiS, który ma niezłe relacje z konfederatami. Czy widzi ich we wspólnej Radzie Ministrów? Na dzisiaj nie, ale... – Może i nie wejdą do rządu, ale podejrzewam, że o społeczkach państwowych to już będą chcieli rozmawiać.

Pytamy więc o to tych, którzy na pokusy będą narażeni przez zwycięzców. Z jednej strony mówią przecież, że pójdą z tymi, którzy dadzą im więcej, z drugiej zapewniają, że są nie do kupienia. Chyba że wejdzie tyłu nowych posłów, że wśród ideowców pojawiają się

elementy niepewne. To byłąby prawdziwa klęska urodzaju. W kategoriach zagrożenia konfederaci mówią o sytuacji, gdyby zdobyli już teraz 20 proc. poparcia. Bo wtedy biorące będą też dalsze miejsca na listach, a w efekcie posłów będzie 90, może 100. Nasi rozmówcy twierdzą, że tylko pierwsze 50–60 osób to pewni i sprawdzeni żołnierze. – To osoby, które będą do zgongnie wdzięczne Mentzenowi, że dał im szansę, jakiej wcześniej w życiu nie dostali. To w większości ludzie, którzy prowadzą jednoosobowe firmy, raz mieli trochę pieniędzy, raz byli blisko plajty. A tutaj jest prezent w postaci małej stabilizacji.

Sondaże nic nie znaczą, te dobre dla Konfederacji liczby to efekt buntu emocjonalnego. To nie jest przekonanie, lecz desperacja, jak zrobić PiS i PO na złość. Dziś mają więc sporo, ale do wyborów dojadą w okolicach 7 proc. – ocenia Marek Jakubiak

Ważny polityk PiS mówi nam, że dziś Konfederacja nie jest dla jego ugrupowania szansą. Co więcej – może być pułapką, i to na wielu płaszczyznach. – Wielu naszych posłów zapisuje ich od razu do PiS, jest przekonanych, że będziemy rządzić razem i nie dopuszczają innej konfiguracji, a to ich rozleniwia. A przecież Konfederacja może połaścić się na obietnice Tuska i razem z nim zagrać na odsunięcie nas od władzy. Nie wiadomo, co dalej z tego wyjdzie, ale mogą zakończyć dobrą zmianę, a potem np. grać na kolejne przyspieszone wybory, co dla kraju byłoby katastrofą – mówi nam polityk z jądra partii rządzącej.

Potencjalna koalicja to więc dziś opowieść z gatunku political fiction z naciskiem na „fiction”. Wybory od-

będą się najprawdopodobniej 15 października, choć prezydent tej daty jeszcze nie podał oficjalnie, więc nie ma jeszcze kampanii. Jej ostatnia prosta może wywrócić dzisiejszą dynamikę. Czy wydarzy się coś zaskakującego, kto zyska, kto straci, kto popelni mniej błędów? I czy młoda partia wytrzyma mimo pokus? Paweł Kukiz: – Spiski tam były, są i będą, to oczywiste. Ale nauczani moim doświadczeniem (a część przeszła do Sejmu z moich list) wiedzą, że ich podstawowym celem jest trwanie w jedności.

Marek Jakubiak w to akurat wątpi. Na jednym wdechu kreśli mało optymistyczny dla Konfederacji rozwój wydarzeń – wielkie wycinanie niepotrzebnych elementów: – Nie ma już wolnościowców, czyli Kuleszy, Dziambora i Sośnierz, wódz usuwa pod tym czy innym pretekstem Winnickiego, nie ma Kai Godek ani Justyny Sochy. Zostają Mentzen z Bosakiem i Braunem, bo ich ułamkowe poparcie jest dziś niezbędne. Dostaną więc niespełna 7 proc., bo tyle wynosił betonowy elektorat złożony z wyznawców Mentzena i spółki. I co dzieje się dalej? Konfederacja po wejściu do Sejmu dostaje finansowanie, które przejmie Nowa Nadzieja, czyli Mentzen. Wtedy pogonią Brauna. Zostaje Bosak, ale on nie wie jeszcze, że dla niego miejsca w tej partii też już nie ma. A w następnych wyborach Nowa Nadzieja będzie startowała już sama, bez żadnych obciążeń.

BULDOGI POD DYWANEM

– Korwina trzeba było się pozbyć, bo bywało, że przez sześć godzin Winnicki z Bosakiem przekonywali go, czego nie wolno pisać na Twitterze. Bezskutecznie. Przyszedł więc Mentzen i wziął to wszystko za ryj. Nowa partia, zamknięcie epoki, dziadek odstawiony, może sobie chodzić pół nago do sklepu meblowego – w ten barwny sposób opisuje nam zmianę na szczytach partii KORWiN i przemalowanie jej na Nową Nadzieję przyszły (jak głęboko w to wierzy) poseł Konfederacji. Gdy

większość naszych rozmów schodzi na temat lidera, często słyszymy: „Ale to mówię na offie”.

Dlaczego politycy proszą o anonimowość? Wyjaśnia to kolejny cytat z człowieka, który mimo że jest już poza Konfederacją, to doskonale zna jej realia: – Mentzen to dyktator, totalny dyktator. Poczulem to na własnej skórze. Mówiliśmy mu, że się podporządkujemy, ale to nie znaczy, że będziemy całować pierścień, tylko chcemy być w jednym zespole, możemy być partnerami, ale nie wykonawcami woli pana Mentzena. Nie wystarczyło.

Osoba, który dobrze zna Mentzena i go lubi: – Sławek nie jest mistrzem relacji interpersonalnych. Wchodzi i mówi: „Tego zabić, tego pod łód! Wyp...ę każdego, kto nie będzie się słuchał. Czy ktoś nie zrozumiał?”.

Nasz rozmówca tak porównuje dwóch obecnych liderów Konfederacji: – Bosak jest deliberatywnym intelektualistą, a nie robocopem-killerem nastawionym na wynik. Mentzen zaś klaruje: wy mówicie, że coś robicie, a ja to robię. Bosak jest Facebookiem, a Mentzen TikTokiem. Jest wielkim fanem Muska. Na swoim Evereście miał świetny speech. Mówił w nim, że aby iść do polityki, trzeba być wariatem. Bo jest mała szansa, że się uda, a operacja wymaga wielu wyrzeczeń.

Choć w tym przypadku idzie wyjątkowo gładko, niekiedy wystarczają proste triki. – On się przecież wykreował jako gość, który mówił w filmiku, że najpierw wrzucamy płatki, a potem wlewamy mleko, nigdy odwrotnie. Film osiągnął ponad 1 mln wyświetleń. W ten sposób opanowuje się segment wyborców w wieku 18–30 lat – wciąż nie może się temu nadziwić poseł jednego z sejmowych kół.

Piąty głos, też z wewnątrz Konfederacji: – Od zniknięcia Roberta Winnickiego Sławek jest samodzielnym dyktatorem i wszyscy się go boją. Ale kluczowe znaczenie ma stojący za jego plecami oficer prowadzący Przemysław Wipler. To on rozdaje karty. Widać to choćby po tym, kogo się już z Konfederacji pozbyli – osób, z którymi Wiplerowi nigdy nie było po

drodze mimo wieloletniej znajomości. Dodatkowo jego obecność będzie miała znaczenie przy ewentualnym sojuszu z PiS.

Powiedzieć, że wewnątrz Konfederacji konflikt goni konflikt, to nic nie powiedzieć. Niech więc mówią cytaty. Nasz ulubiony to: „Wolnościowcy byli agenturą narodowców w korwinistach”. A jak to wygląda dziś? Oto kilka zasłyszanych relacji dotyczących układu sił w federacyjnej organizacji.

– Ruch Narodowy boi się wyautowania. Korwin z Kuleszą sp...li negocjacje cztery lata temu, dzięki czemu narodowcy wprowadzili tylu posłów co korwiniści. Po odpadnięciu Winnickiego można by ich o połowę schyścić. Ale Mentzen tego nie robi, bo dotrzy-

Należy zwrócić uwagę, że odcinając się od powiązań z największymi partiami, Konfederacja bardziej dba o to, by trzymać dystans do PiS niż do KO

muje słowa. Dopóki go nie oszukasz (a wszyscy boją się go oszukać), to dojedziemy z tematem.

– Braun jest chyba na wylocie. Jeśli jeszcze trochę ich podkurzy, to trzeba będzie podjąć tę decyzję. Na konwencji miał mówić pięć minut. Zapomniał, że nawet jeśli gra na największej trąbie, to jest członkiem orkiestry i jego część występu jest zaplanowana w odpowiednim momencie, gdy wchodzi sekcja dęta. A on nie dość, że mówił dużo za długo, to jeszcze nie o tym, na co się umawialiśmy. Dotarł aż do wywodów na temat zboczeńców, czyli LGBT+. W efekcie półtora tygodnia później wywalili mu dwóch kandydatów z listy i przedstawiciela w sztabie, w którym lider Korony nie ma już teraz nikogo. A teraz najzabawniejsze: aktyw całej Konfederacji jest bardziej „braunowy” niż „mentzenowy”.

Gdy Konfederację opuszczał mający dość Korwina Piotr Liroy-Marzec, partyjna narada poetyką przypominała teksty hiphopowych piosenek. Takim też językiem Liroy opowiadał o tym w Kanale Sportowym: „Janusz powiedział, że bardzo sympatyzuje z Rosją i jakby był konflikt Polska–Rosja, to raczej opowiedziałby się za Rosją, więc, k...a, chciałem nacharchać mu na ryj, bo to jest, k...a, przegięcie ze względu na moich pradziadków, k...a, i wielu ludzi, którzy przychodzili na te spotkania. I stwierdziłem, że, k...a, w takim miejscu nie mogę nawet przebywać i siedzieć, gdzie, k...a, taki z...b jest”.

DOBRY TEAM I PARU KOSMITÓW

To wydarzenia jeszcze z poprzedniej kadencji. Dziś Korwin się nie zmienił, lecz zmieniła się jego pozycja. W przyszłym roku ma wrócić do Brukseli. Znienawidzonej, ale dobrze płaćcej, więc europoselska pensja (plus liczne dodatki na asystentów, których Korwin zatrudnia hurtowo) będzie dobrym dodatkiem do krajowej emerytury. Ten sam kierunek ma też zresztą obrać Konrad Berkowicz.

A jak będą się prezentować sejmowe listy Konfederacji? – Jedynek w stolicy ma Mentzen.

Dwójka jest na razie pusta, ma być dla jakiejś gwiazdy. Może na koniec okaże się, że to Wipler? Wiadomo, że ostatnie miejsce ma mieć Marcin Rola, a Korwin będzie startował z okręgu podwarszawskiego, gdzie z kolei na dwójce ma być żona Bosaka, Karina – zdradza nam kulisowy jeden z posłów.

Pół roku temu Konfederacja wstrząsnął potężny kryzys. Media rozpisywały się o kłótni, którą miał wywołać Mentzen ogłoszeniem pr Wybórów dla potencjalnych lokomotyw list. Ostatecznie ugrupowanie podobno wróciło do ustaleń jeszcze z 2019 r., gdy poszczególnym frakcjom zagwarantowano proporcjonalny udział w „biorących miejscach”. – Jest suwak: jedynka od Korwina, dwójka z Ruchu Narodowego, trójka od Brauna, potem jedynka od RN, dwójka Braun, trójka Korwin itd.

Braun ma sześć jedynek, czyli w najgorszym przypadku przy 10 proc. poparcia ma sześciu posłów, 15 wprowadzą narodowcy, a Nowa Nadzieja 20 – słyszymy od osoby uczestniczącej w tych układankach.

Do zamknięcia tego numeru „Sieci” ogłoszono liderów (z trzech pierwszych miejsc) w pięciu okręgach. Znane nazwiska znajdujemy na jedynce w Chełmie (wiceszef narodowców i szef sztabu Konfederacji Witold Tumanowicz), czy w Lublinie (Bartłomiej Pejo, zięć Korwina, w 2018 r. uzyskał mandat radnego z list PiS) i pod Warszawą, gdzie obok Korwina i żony Bosaka pojawia się Jacek Wilk, poseł w latach 2015–2019.

Jeden z rozgrywających w Nowej Nadziei podsumowuje: – Będzie dobry team i paru kosmitów, głównie od Brauna. A na marginesie, wiecie, że on zgłasza samych przedsiębiorców, którym się nieźle wiedzie?

Nie udało nam się dopytać lidera Konfederacji Korony Polskiej o jego kandydatów. Nie odbierał telefonu, nie odpisał też na wysłane wiadomości. Mógł być zajęty kolejną interwencją poselską.

PRASA NACISKA

Media III RP mają wobec Konfederacji mieszane uczucia. Cieszy je wybijająca co jakiś czas antypisowskość tej formacji, pojawiają się rachuby, że zabiorą głosy Kaczyńskiemu. Stąd tuż przed dniem głosowania w 2019 r. dostali laurkę w TVN. Ale już kilka miesięcy temu, gdy okazało się, iż więcej zabierają Tuszkowi i Hołowni, pismo Michnika wypuściło serię tekstów o związkach z branżą hazardową brata Sławomira Mentzena – prokuratura postawiła mu zarzuty kierowania zorganizowaną grupą przestępczą i prania brudnych pieniędzy.

W TVN24 ma już nie być niedomówień, otwierająca grafika przedstawia twarze Bosaka, Korwina, Mentzena i Brauna w stylistyce znanej ze starych sowieckich plakatów. Niczym Marks, Engels, Lenin i Stalin. Światopoglądowo to antypody, ale widzom pewnie się podoba. Podobnie jak materiał, pełen błysków, grzmotów, innych groźnych dźwięków i troskliwych pytań jak to ot-

wierające: „Czy rzeczywiście ich poglądy i wizja Polski to nowa nadzieja na niskie podatki, czy może mroczne widmo kraju rządzonego przez nacjonalistów i fanatyków?”. O Konfederacji opowiada głównie Marcin Kącki, dziennikarz, autor książki, o której za chwilę. „Są chłopaki wygłodniałe władzy. Koalicja PiS z Konfederacją to jest możliwy scenariusz” – to ten przekaz ma się widzowi wryć w pamięć. Jest powtórzony ze trzy razy. Kącki, pisząc książkę „Chłopcy. Idą po Polskę”, spędził w tym towarzystwie sporo czasu i odbył mnóstwo rozmów, głównie z Korwinem. Autor ma ambicję pokazania Konfederacji jako ludzi niestabilnych psychicznie (w programie TVN24 pokazuje palcem na czoło i mówi, że „coś tam nie pykło”), ale co innego jest tu ważne, ba najważ-

– Bosak jest deliberatywnym intelektualistą, a nie robocpem-killerem nastawionym na wynik. Mentzen zaś klaruje: wy mówicie, że coś robicie, a ja to robię

niejsze: „Naszym konfederatom rośnie w sondażach, a nawet tak bardzo rośnie, że może się to wszystko, co opisałem powyżej, koalicyjnie połączyć z Prawem i Sprawiedliwością”. To największy lęk redaktora, który tymi słowami puentuje swoje dzieło.

„Konfederacji poparcie rośnie, Trzeciej Drodze spada tak, że może nie wejść do Sejmu. Kaczyński tylko na to czeka i szykuje się do rządów w koalicji z Bosakiem, Mentzenem i Braunem” – czytamy na okładce „Newsweeka” sprzed kilku tygodni. Krzysztof Bosak mówi nam, że ustawiczne łączenie Konfederacji z PiS w mediach liberalnych ma być swego rodzaju obelgą. Chyba dla jednych i drugich. A o „Newsweeku”: – Byliśmy przedstawiani jako przyszli koalicjanci PiS, a z tekstu wynikało coś dokładnie odwrotnego. Widać, że

w tej gazecie kto inny odpowiada za pisanie artykułu, a kto inny za kreowanie okładki, która ma osiągnąć efekt marketingowy.

Wszystkie chwytły są dozwolone, bo stawka dla tych mediów jest najwyższa – odsunięcie od władzy PiS i zastąpienie go Platformą. Pracują na to od ośmiu lat.

Może więc jednak rację mają ci, którzy wieszczą, że partia Tuska przekona Konfederację (a przynajmniej jej główną składową, czyli Mentzena), by powołać jakiś rząd „techniczny” do przyspieszonych wyborów i przejrzeć w tym czasie stan państwa? Taki harmonogram narysowała w ubiegłym tygodniu „Polityka”. Tego samego dnia w „Rzeczpospolitej” ukazał się tekst ze znaną frazą: „Przyspieszone wybory parlamentarne pokazałyby PiS jako polityczne zgniłe jajo, którego nikt nie chce i które trochę już trąci. A zapach zbuka dla każdego jest nieznośny. Gdy po jednej stronie będzie wciąż rosnąca w siłę Konfederacja, współpracujące partie opozycyjne, to PiS stanie się partią, której nikt nie chce”.

Zbieżność planów mediów PO i Konfederacji nie musi oznaczać sojuszu. Ale entuzjazm, z którym te pierwsze wspierają strategię trzeciej siły politycznej, każe przypomnieć sobie o słowach Sławomira Nitrasa, ujawnionych przez posłankę Lewicy Annę Marię Żukowską: „Kiedy będziemy rządili z Konfederacją, to my będziemy rządili, a Konfederacja zajmie się wami”, oraz Sławomira Neumanna zapytanego o taką koalicję: „Myślę, że można sobie wyobrazić zbudowanie rządu ratunku narodowego, który by przeprowadził Polskę przez najbliższe miesiące”.

Wszystko wskazuje na to, że każdy z graczy na polskiej scenie politycznej ma nadzieję na coś innego. Czy sama Konfederacja wie, co zrobi? Czy też zacznie się nad tym poważnie zastanawiać w październikowy wieczór, gdy poznamy wyniki wyborów, a jej przywódców dopadnie prawda, że realne uprawianie polityki to coś trochę trudniejszego niż nagrywanie filmów na TikToka?

A close-up portrait of Stanisław Karczewski, an older man with grey hair and glasses, wearing a dark suit and tie. He is looking slightly to the side with a thoughtful expression, his right hand touching his glasses.

Naszą przewagą jest to, że mamy pomysł na Polskę

Stawka tych wyborów jest większa niż w 1989 r. Wówczas decydowaliśmy o zmianie politycznej, która ma to do siebie, że może nastąpić albo w danym momencie, albo później. Teraz zdecydujemy o naszej suwerenności, o sprawach, które raz utracone są niebywale trudne do odzyskania

**Jacek i Michał
Karnowscy rozmawiają
ze *Stanisławem
Karczewskim*,
senatorem Prawa
i Sprawiedliwości,
byłym marszałkiem Senatu**

Jak idzie kampania? Jest dobrze czy źle?

Stanisław Karczewski: To wciąż tzw. prekampania, ale już mocno rozpędzona. Z mojej perspektywy ważna jest nie tylko kampania centralna, lecz także – a może przede wszystkim – aktywność w terenie. Cieszy mnie, że politycy i działacze

PiS podchodzą do tego poważnie i pracują w swoich okręgach bardzo intensywnie.

A jednak PiS wymieniło szefa sztabu. Tomasza Porębę zastąpił Joachim Brudziński. To był sygnał pewnego zachwiania, jakichś wątpliwości, prawda?

Fot. Andrzej Wiktor

W kampanii trzeba patrzeć zawsze do przodu. Mogą zdarzyć się potknięcia, niepowodzenia, ale ważne, by to nas nie zatrzymało. Musimy patrzeć w stronę celu, czyli zwycięstwa, pamiętając o wizji, strategii i intensywnym działaniu. Sztab został poszerzony o przedstawicieli naszych koalicjantów. Dołączyli m.in. Adam Bielan i Patryk Jaki – bardzo doświadczeni politycy. To nas wzmocniło.

Mówi pan o wadze tzw. terenu. Jak zwykli Polacy patrzą na tę kampanię? Czy dali sobie wzmocnić, że PiS to partia władzy, oderwana od realiów, skupiona na sobie? I jak na to odpowiedzieć?

Rządy Prawa i Sprawiedliwości w ciągu ośmiu lat naprawdę zmieniły Polskę. Najbardziej to widać w mniejszych miastach, miasteczkach, we wsiach. To jest skok cywilizacyjny. Wójtowie, burmistrzowie, starostowie – nie tylko nasi członkowie – mówią, że jeszcze nigdy nie było tak dobrej sytuacji do rozwoju Polski prowincjonalnej, Polski, którą ja osobiście bardzo podziwiam i kocham. Dzięki rządowemu dofinansowaniu jest możliwa realizacja tysięcy mniejszych i większych lokalnych inwestycji. Widzą to także mieszkańcy. Ale jedno nie ulega wątpliwości: nasz dorobek sam z siebie nie da nam zwycięstwa.

Wyborcy biorą i nie kwitują?

Wielu polityków z innych krajów, którzy przecież znają dane, też wiedzą, jak bardzo Polska poszła do przodu, mówi nam: „Przy takich osiągnięciach powinniście mieć poparcie powyżej 60 proc.”. My jednak rozumiemy, że społeczeństwo patrzy do przodu i zastanawia się, co przyniosą nasze dalsze rządy, a co mogą przynieść rządy opozycji. Na tym polu nie mamy powodu do obaw: mamy przywódcę, który wie, co trzeba zrobić, mamy jasną wizję przyszłości. Już niebawem, prezentując program wyborczy, powiemy Polakom, co jeszcze chcemy zrobić, jak sobie wyobrażamy Polskę za kolejne 4 lata, za 8, za 16. Przedstawimy naszą wizję rozwoju ojczyzny, powiemy, dokąd zmierzamy.

Zaskoczył was impet, który towarzyszy kampanii opozycji?

Tusk jest bardzo aktywny. Jak na niego pracuje bardzo dużo. Jako premier zaczął pracę w poniedziałek po południu, a skończył w czwartek. Teraz wiadać, że nauczył się od nas prowadzenia kampanii, wyciągnął wnioski. Na jego wiecach pojawiły się białe-czerwone flagi, a nie tylko unijne. Ale my wciąż mamy jedną, niepodrabialną przewagę: mamy pomysł na Polskę.

Pan wskazuje na spektakularny rozwój Polski, a miliony wyborców opozycji naprawdę wierzą, że kraj stacza się w czarną przepaść, gospodarka leży i kwiczy, młodzi wyjeżdżają, a lista afer liczy już tysiące pozycji. Co powiecie tym ludziom?

To wszystko nieprawda! To manipulacja, za pomocą której próbuje się wzniecić emocje i tymi emocjami wygrać wybory. Nie możemy też zapomnieć, że wielu wyborców podejmuje decyzje w ostatniej chwili. Końcówka kampanii jest bardzo ważna, ale szczególnie ważny jest projekt – plan na każdy tydzień, wręcz na każdy dzień – jest kluczowy. A jednocześnie cały czas obserwujemy sytuację i staramy się nie tracić refleksu.

A czy PiS nie jest już trochę zmęczony po ośmiu latach rządzenia? Trudno się zerwać do boju, do biegu?

Nie. Wybory to adrenalina. Jest w nas wola walki, jest duża mobilizacja i zaangażowanie. Stawką tych wyborów jest Polska.

Wróćmy jeszcze na chwilę do emocji. Donald Tusk mówi „seryjni mordercy kobiet”. Mówi o „pełnych gaciach”. Mówi językiem, którego do tej pory w Polsce jednak nie używano. Jak na to odpowiedzieć?

To są skandaliczne, niedopuszczalne słowa, które nigdy nie powinny paść, a zwłaszcza z ust osoby, która mianuje się liderem opozycji. Używanie takich słów pokazuje nerwowość i strach. Stawka tych wyborów jest większa niż w 1989 r. Wówczas decydowaliśmy o zmianie politycznej, która ma to do siebie, że może nastąpić albo w da-

nym momencie, albo później. Teraz zdecydujemy o naszej suwerenności, a jednocześnie dokonamy wyboru cywilizacyjnego. Zdecydujemy o sprawach, które raz utracone są niebywale trudne do odzyskania.

Jeśli PiS przegra, droga do budowy zdominowanego przez Niemcy centralistycznego superpaństwa będzie otwarta. Te wybory zdecydują o losach Europy.

Tak. Dlatego będą to jedne z najważniejszych wyborów w naszej historii.

Ale czy ta ciężka praca mediów III RP, które konsekwentnie dehumanizują polityków PiS, nie odłoży się w umysłach części wyborców? Nie jesteście ludźmi, jesteście potworami z limuzyn, do tego bez serca. Są ludzie, którzy naprawdę w to wierzą.

Jest tylko jedna recepta: być blisko ludzi, rozmawiać, wyjaśniać, walczyć z dezinformacją prowadzoną przez niektóre media. I to robimy. Jako polityk i jako praktykujący lekarz spotykam się z wieloma mieszkańcami mojego regionu. Każdy, kto mnie zna, kto zna moje koleżanki i moich kolegów z PiS, wie, że ten obraz rysowany przez opozycję i niektóre media jest całkowicie fałszywy. To nie jest fake news, ale wręcz fake story, fałszywa historia. I o ludziach, i o Polsce. Nasz prezes jest bardzo skromnym człowiekiem, ogromna większość z nas ciężko pracuje, nie chce dla siebie żadnych przywilejów. Jasne, że są jakieś wyjątki, zdarzają się błędy, ale nie ma partii złożonej z samych aniołów. Ważne, że reagujemy, nie odpuszczamy, wymagamy dużo od siebie i od naszych ludzi, staramy się działać porządnie i uczciwie.

Czy PiS zdołał wypracować kanały komunikacji, które pozwalają ominąć media opowiadające tę zakłamaną historię?

Zasada jest prosta: sięgamy po wszelkie możliwe kanały komunikacyjne. Wszelkie. Jesteśmy w mediach lokalnych, w mediach małych, niszowych, w internecie. Aktywnie działamy w social mediach. A przede wszystkim odbywamy tysiące spotkań otwartych.

Cieszę się, że z ostatnich danych wynika, że w internecie łapiemy dobry wiatr. To jest właściwy kierunek.

Czy Zjednoczona Prawica jest dziś jednością, monolitem? Publiczne spory zniechęcają do wysiłku.

Wiec w Bogatyni, w którym wzięli udział liderzy Zjednoczonej Prawicy, był jasnym sygnałem jedności. To był przełom. Ale jeszcze ważniejsze było wejście Jarosława Kaczyńskiego do rządu. Bardzo szybko opanował sytuację, wygasił spory. Wszystkie ręce są na pokładzie. Wszystkie pracują.

Tusk nie tylko kopiuje dawne kampanie PiS, lecz także stara się zacierać różnice programowe. Poparł wprowadzeni 800+, a teraz przybiera maskę obrońcy Polski przed masową imigracją. Czy ten numer może się udać?

Tego naśladownictwa jest więcej. Gdy my zaproponowaliśmy program tanich kredytów mieszkaniowych dla młodych ludzi, on zaproponował kredyty jeszcze tańsze, tak tanie, że nierealne. To trochę postawa przedszkolaka, który naśladuje innych. Te plagiaty, które prezentuje, są też złej jakości – to parodia naszej polityki. Często nieodpowiedzialna, skrajnie populistyczna.

Ale czy działając w ten sposób, nie zbija echa waszych propozycji, choćby w sprawie 800+?

Jednak nie. Jest oczywiście, że reakcja na podwyżkę 500+ nie mogła być tak spektakularna jak na wprowadzenie programu. Dla nas ten program to nie jest rozdawnictwo, to nie są jakieś dary, które mają przekupić wyborców. To waloryzacja świadczenia, które traktujemy jak jedną z najważniejszych inwestycji – inwestycję w dzieci.

**Aleksander Kwaśniewski nie ma wnuka ani wnuczki, a gdy opowie-
dział o swoim marzeniu, to dziennikarz TVN mocno go zrugał. Wielu dziadków nie ma wnucząt, dieta-
ność wciąż spada – mimo pomocy dla rodzin w skali, której nie było nigdy.**

Bez programu 500+ dieta-
ność mogłaby być jeszcze niższa. Ale bądźmy cierpliwi, to są procesy długofalowe. Czechom w końcu udało się podnieść dieta-
ność, wierzę, że i nam się uda. Młodzi ludzie mają dziś pracę, wiele wspierających rządowych programów, będą mieli realną pomoc w sprawie pierwszego mieszkania. Nie muszą już wyjeżdżać. W dłuższej perspektywie czasowej stabilizacja rodzinna przełoży się na dieta-
ność.

Rządy Prawa i Sprawiedliwości w ciągu ośmiu lat naprawdę zmieniły Polskę. Najbardziej to widać w mniejszych miastach, miasteczkach, we wsiach. To jest skok cywilizacyjny. Widzą to także mieszkańcy. Ale jedno nie ulega wątpliwości: nasz dorobek sam z siebie nie da nam zwycięstwa

Czy da się jednak odpowiedzieć na wielką falę antyrodzinną propagandy? Wmawia się ludziom, że będą najszczęśliwsi, jeśli skupią się na sobie i zrzecą się potomstwa.

To jest sprawa zasadnicza. W Czechach na pytanie, czy rodzina musi mieć dzieci, 60 proc. odpowiada tak, a u nas nieznacznie ponad 20 proc. Kulturowe przyczyny są kluczowe. Musimy szukać sposobów, by to przełamać.

Podsumujmy: czy „farbowany lis”, jak to nazwał Donald Tusk premier Mateusz Morawiecki, zdoła zwieść Polaków?

Nie zdoła. Nigdy lis, nawet farbowany, nie wygra z dobrym gospodarzem. I nie pomoże pogarda dla naszego państwa, dla demokracji, wielka buta i arogancja, bo tak trzeba nazwać fakt, że przedstawiciele Platformy nie przyszli na spotkanie w sprawie przymusowej relo-

kacji, zorganizowane przez premiera. Wyborcy to widzą, także wyborcy PO.

Pytanie, czy kampania nie doprowadzi do rozlewu krwi. Część wyborców opozycji wydaje się tak emocjonalnie rozwibrowana, że balansuje na granicy sięgania po przemoc.

Żyjemy w państwie demokratycznym i bezpiecznym, ale to, co mówi Tusk, rzeczywiście może przynieść bardzo złe, drastyczne zachowania. Nasze spotkania ciągle są zakłócone przez różnego rodzaju bojówki. Są to grupy zorganizowane. Szczególnie martwi mnie fakt, że nasi przeciwnicy nie odcinają się nawet od aktów oczywistej przemocy. Gdy zaatakowano mnie w sklepie, przewrócono i zwyzywano, ze strony opozycyjnej nie padło ani jedno słowo potępienia tej napaści. Po cichu sądziłem, że skoro granica mojego bezpieczeństwa została przekroczona, to jakaś reakcja będzie. Nie było nic. Zero. Ta cisza, to ciche przyzwolenie jest bardzo groźne. Dokąd nas to doprowadzi?

Co zrobi PiS, jeśli opozycja wezwie do bojkotu referendum w sprawie przymusowej relokacji imigrantów?

Będziemy cierpliwi i stanowczo namawiali Polaków, by jednak poszli zagłosować. To referendum będzie kolejną zaporą chroniącą nasze granice. Będzie tak ważne jak budowa bariery na granicy z Białorusią. Jeśli Polacy jasno w referendum sprzeciwią się planowi Brukseli i Berlina, to będzie to gwarancją naszego bezpieczeństwa. Każdy kolejny rząd będzie miał obo-
wiązek uwzględnienia woli narodu.

Swego rodzaju kotwica, gwarancja, że nie zjeździemy z kursu?

Tak. Gdyby do władzy doszedł Tusk, to już nie zburzy bariery na granicy z Białorusią, choć był jej przeciwny i przekonywał, że ona nigdy nie powstanie. Taką samą rolę odegra jednoznaczny wynik referendum.

Przed Grupą Wagnera ochroni nas zaporą, a przed „grupą Webera” referendum?



Żadna z tych grup nie ma wobec nas dobrych intencji. Zagrożenia ze Wschodu i z Zachodu mają różną naturę, ale są tak samo realne. Trzeba o tym mówić, budować świadomość społeczną. Kartka wyborcza ma wielką moc, może wzmocnić naszą suwerenność, dać nam mandat do dalszej, skutecznej walki.

Ile pytań powinno zostać zadane Polakom w referendum?

Jedno – o przymusową relokację. Nie ma co rozmywać sprawy, to jest obecnie najważniejszy dla Polski temat.

Opozycja przekonuje, że zagrożenie jest fikcyjne, bo unijna komisarz twierdzi, że mielibyśmy szansę uzyskać wyłączenie z mechanizmu przymusowej relokacji. Jeżeli oczywiście poprosimy.

Czyli mielibyśmy prosić i mieć nadzieję, że pójdą nam na rękę. A nawet jeśli tak zrobią w pierwszym roku, to już w kolejnych zmuszą nas do przyjęcia nielegalnych imigrantów, zwiększą kwoty do dziesiątek, setek tysięcy osób rocznie, zwiększą kary za odmowę. Nie

Obraz rysowany przez opozycję i niektóre media jest całkowicie fałszywy. To nie jest fake news, ale wręcz fake story, fałszywa historia. I o ludziach, i o Polsce

ufam pani komisarz tym bardziej, że prezentuje inne stanowisko w zależności od tego, z kim rozmawia. Musimy mieć jasną sytuację, musimy mieć twarde gwarancje w tej sprawie.

Czy PiS może wywalczyć w październiku większość w Senacie? Pakt senacki opozycji zadziałał w sytuacji, gdy PiS było na fali. Teraz ma niższe notowania niż w 2019 r., a partie III RP znów idą razem do Senatu.

Cztery lata temu przegraliśmy wybory do Senatu. Nieznacznie, ale jednak. Nie potwierdziła się teoria, że zwycięzca wyborów do Sejmu wygrywa także te do izby wyższej parlamentu. Teraz chcemy

naprawić ten błąd. Bardzo starannie dobieramy kandydatów. Przed nami ciężka praca w duchu pokory. W ostatnich wyborach było kilku kandydatów, którzy niezbyt starannie prowadzili kampanię wyborczą. Tym razem unikniemy tego błędu.

Czy Konfederacja może być koalicjantem PiS? Tak zakłada duża część wyborców tej partii, widząc w niej radykalniejszą wersję PiS. Mogą się jednak mocno pomylić.

Mam dużą wyobraźnię i mogę sobie wyobrazić bardzo różne konstelacje, ale dziś takiej możliwości nie widzę. Politycy Konfederacji zaklinają się, że nie zawiążą żadnej koalicji. Zrobimy wszystko, by samodzielnie rządzić i jest to możliwe.

Słychać, że Konfederacja może rzeczywiście nie wejść w żadną koalicję, ale da Tusкови klucze do władzy. Ten przejmie państwo i ogłosi nowe wybory z PiS w roli partii opozycyjnej. Realne?

Papier zniesie wszystko. Słyszałem o takim scenariuszu, ale powtarzam: PiS utrzyma władzę. Dla bezpieczeństwa

Polski, w szczególności w czasie wojny toczącej się za naszą wschodnią granicą, ważny jest stabilny, zjednoczony rząd.

Trwają obchody 80. rocznicy rzezi wołyńskiej. W piątek i w sobotę padły ważne słowa, premier odwiedził miejsce, gdzie trwają ekshumacje, Kościoły wydały ważny komunikat. Ale pytanie pozostaje: jak podejść do tej arcyważnej, ale i arcytrudnej sprawy? Czy wojna to dobry, czy też zły czas na podjęcie tej sprawy przez nasze państwo?

To jest trudny moment na działanie. Ale nie powinniśmy zaprzestać zabiegów, by Ukraina uznała rzeź wołyńską za ludobójstwo. Jestem zwolennikiem stanowczego podejścia. Gdyby Kijów zdobył się na zamknięcie tej kwestii, bardzo pomogłoby to naszym relacjom. Ważne, że ruszyły ekshumacje na Wołyniu, co prawda – jak dotąd w jednym miejscu, ale jednak. To cieszy. Mam też wrażenie, że symbole banderowskie są już wykorzystywane sporadycznie. Może pojawiła się świadomość, że z Banderą nie da się wejść Ukrainie do Unii Europejskiej.

Jak ułożą się relacje polsko-ukraińskie w przyszłości? To będzie jakiś wyjątkowo bliski sojusz? A może to złudzenie?

To jest kwestia bardzo ściśle, bardzo dobrej, obustronnie korzystnej współpracy. Dokonał się olbrzymiego wysiłku, niosąc pomoc, nie tylko militarną, lecz także humanitarną. Ale będą to dwa odrębne, różne państwa. I tak pozostanie.

Wciąż pracuje pan jako lekarz. Wczoraj przyjął pan kilkudziesięciu pacjentów w swojej przychodni. Czy w służbie zdrowia jest lepiej? Pieniędzy jest ponad dwa razy więcej, niż było za rządów Donalda Tuska, ale czy widać tego efekty?

Tak, oczywiście, że widać. Nie ma kolejek do endoprotez, do operacji zaćmy, do rezonansu magnetycznego, do komputerowej tomografii, do badań podstawowych i badań profilaktycznych 40+. Jest dużo pozytywnych zmian. Nie wyjeżdżają już młodzi lekarze, bo zarobki są dziś naprawdę

przyzwoite. Problem z brakiem pielęgniarek nie jest już tak dotkliwy. Dzięki podwyżkom pojawił się trend powrotu do zawodu. Liczba miejsc na kierunkach lekarskich za rządów PiS zwiększyła się z 7 tys. do 11 tys. Na odczuwalne efekty dotyczące kadry medycznej potrzeba trochę czasu.

Kiedy pojawi się społeczne przekonanie, że idzie ku lepszemu?

Myślę, że to jest proces, który musi potrwać, ale zauważalna poprawa już jest. Warto odnotować przypadki znanych dziennikarzy, bardzo opozycyjnie nastawionych, którzy docenili system

Referendum w sprawie relokacji nielegalnych imigrantów będzie tak ważne jak budowa bariery na granicy z Białorusią. Jeśli Polacy jasno w referendum sprzeciwią się planowi Brukseli i Berlina, to będzie to gwarancją naszego bezpieczeństwa. Każdy kolejny rząd będzie miał obowiązek uwzględnienia woli narodu

służby zdrowia i dziękowali pracownikom medycznym, nie kryjąc słów uznania. W wiejskim ośrodku zdrowia, w którym pracuję, kiedyś był jeden lekarz rodzinny i jeden pediatra. Dziś jest trzech lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej, do tego neurolog, chirurg, kardiolog, stomatolog, jest fizjoterapia, rehabilitacja. I takie zamiany nastąpiły i następują w bardzo wielu miejscach.

Problemem jest jakość obsługi, a także postawa wobec pacjenta.

Jakość obsługi to kwestia zarządzania daną placówką. Są dziś możliwości i można tak pracować, by ludzie nie musieli czekać w kolejkach.

Opozycja bardzo gra sprawą kobiet w ciąży, które umierają w szpitalach. Na podstawie jednostkowych zdarzeń próbuje wykreować wrażenie powszechnego zjawiska. Co pan odpowie tym, którzy twierdzą, że to wynik zmian w prawie, zwłaszcza werdyktu Trybunału Konstytucyjnego?

To całkowita nieprawda. To wzbudzanie emocji w sposób najbardziej obrzydliwy z możliwych – przypisywanie śmierci ludzi działaniom politycznym. To obłudne, kłamliwe, bardzo szkodliwe. Takie zgony występują na całym świecie, występowały, gdy rządziła Platforma Obywatelska.

W sferze prawnej sprawa jest i była jasna: w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia kobiety terminacja ciąży jest w pełni legalna.

Czy w sprawie pandemii należało działać inaczej? Popelniliśmy jako świat zachodni jakieś fundamentalne błędy? Czy można było obejść się bez lockdownów?

Moim zdaniem nie. 100 lat temu walczono nieskutecznie z grypą aspiryną i upustami krwi. Dziś jest to nie do zaakceptowania.

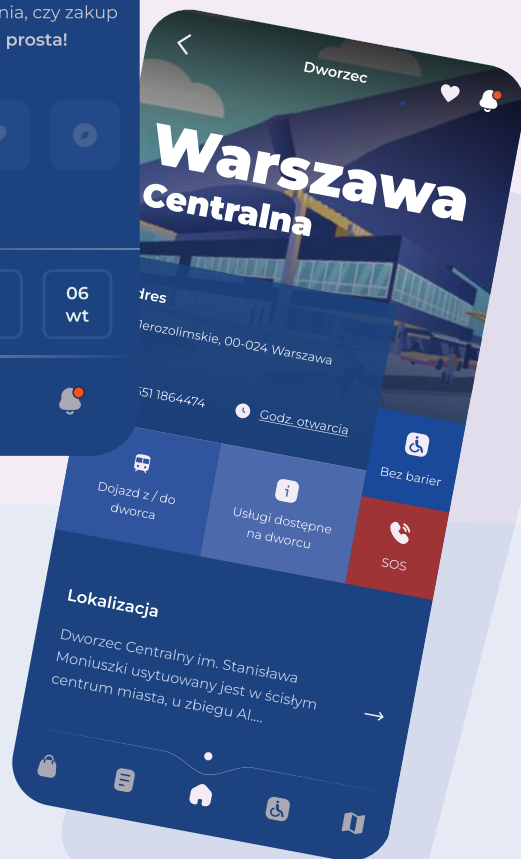
Czyli dr Wezół z serialu „Rancho” ma rację, wyrażając głęboki sceptycyzm wobec możliwości medycyny?

Dr Wezół idzie jednak zbyt daleko [śmiech]. Co do pandemii: chyba upłynęło jeszcze zbyt mało czasu, by rzetelnie, krytycznie ocenić całą

sytuację. Na pewno ci, którzy twierdzą, że zagrożenie było fikcyjne, mylą się fundamentalnie. To są po prostu groźne bzdury, zaprzeczające podstawowym faktom. W całym swoim życiu nie wypisałem tylu aktów zgonu co w czasie pandemii. Stan pacjentów pogarszał się błyskawicznie. Jedno trzeba podkreślić: w sferze gospodarczej nasz rząd zareagował doskonale, nawet genialnie. Nie straciliśmy ani jednego miejsca pracy, bezrobocie nie jest dziś problemem. Cieszę się, że ten kryzys mamy już za sobą. Inne także: węgla nie zabrakło, inflacja hamuje, a marzenie Tuska, że chleb będzie po 30 zł, jednak się nie spełniło.



PKP.
appka



PKP appka

Podróże bez granic

Przewodnik po dworcach, wygodny zakup biletu, rozkład jazdy pociągów. Od teraz wszystko w jednej aplikacji.

zaplanuj podróż od A do Z

sprawdź usługi na dworcu

kup bilet



Download on the
App Store



Get it on
Google Play

Maszynka do hejtowania

Listy wyborcze Platformy Obywatelskiej mają być układane według systemu punktowego. Ale to ściema. Dlaczego? Bo Tusk nie potrzebuje żadnych zbiektywizowanych podstaw swoich decyzji. I o tym wszyscy w PO wiedzą



STANISŁAW JANECKI

Akcja Platformy Obywatelskiej „Aleja milionerów PiS” to tylko jeden z elementów maszynki do hejtowania stworzonej w partii Donalda Tuska. Pokazuje, jak działa coś, co można nazwać hejterskim systemem, kto go zasila pomysłami i napędza. Akcja ta polega na ustawianiu na ulicy kartonowych postaci polityków i osób związanych z PiS z przyklejonymi tabliczkami, na których jest informacja, jakie sumy zarobili oni w spółkach z udziałem skarbu państwa. Komunikat jest prosty – nikt tu nie jest fachowcem, a wszyscy dorobili się dzięki swojej partii.

Taką tezę można obalić w prosty sposób. Wystarczy sprawdzić, ile zarobiły spółki zarządzane przez „milionerów”, jakie były ich wyniki za czasów rządów Platformy oraz ile wtedy zarabiali prezesi i członkowie zarządów. I okaże się, że dzięki „milionerom” zyski są kilkakrotnie, a często kilkunastokrotnie wyższe, a ich płace i bonusy sporo niższe od tych w czasach PO.

Nie chodzi jednak o fakty, tylko o przedstawienie każdego, kogo PO uzna za wroga, jako wydrwigrosza i ignoranta. Choćby na tym, co robią, znali się o niebo lepiej niż „menedżerowie” wskazywani i akceptowani przez Donalda Tuska, Ewę Kopacz i spółkę.

Jarosławowi Kaczyńskiemu żadnej tablicy z milionową sumą nie dało się przypiąć, nie narażając się na śmiesz-



ność, więc jego sylwetka tylko trzyma tabliczkę z napisem „Aleja milionerów” i znaczkiem partii. Akcja jest intelektualnie na poziomie dolnej gimnazji, ale w hejterskim systemie Platformy jest wręcz modelowa. I nawiązuje do dawnych upodobań Donalda Tuska.

SYSTEM PUNKTOWY

Akcja „Aleja milionerów PiS” jest jednym z produktów stworzonego przez Donalda Tuska systemu oceny własnych ludzi. Chyba nikt poza samym Tuskiem nie wie, na jakiej konkretnie podstawie wystawia on oceny, ale osoby z jego partii, także te blisko z nim współpracujące, uważają, że przewodniczący PO wykorzystuje system punktowy. Pytanie – do czego. Nikt z ocenianych nie zna danych siebie dotyczących, więc nie

będzie mógł się odwołać, a także udowodnić, że coś zostało mu błędnie czy niesprawiedliwie przypisane.

W systemie punktowym premiuje się aktywność i kreatywność w kampanii, a przede wszystkim najbardziej dotkliwe i wywołujące reakcję (według oceny Tuska) uderzenia w Jarosława Kaczyńskiego. Punkty mają być podstawą przyznawania kandydatom w wyborach parlamentarnych miejsc na listach Koalicji Obywatelskiej i niektórzy się ludzą, że może wtedy poznać dotyczącą ich klasyfikację. Ale to raczej mało prawdopodobne, bo Donald Tusk lubi coś na kogoś mieć, ale tego nie ujawniać.

System punktowy ma być zachętą dla tych, którzy nie są wysoko w partyjnej hierarchii, ale dzięki punktom mogą się znaleźć na czołowych pozy-

cjach list. Wprawdzie system jest nieczytelny i nie do skontrolowania, ale ma być podstawą obiektywną – Tusk może się odwołać do jakiejś punktacji i używać argumentu, że system jest powszechny, gdy chodzi o kandydatów Koalicji Obywatelskiej.

System punktowy miałby też być zaporą przeciwko tym, którzy chcieliby się buntować, a przecież wszystko jest czarno na białym, więc nie ma powodów. Punkty mają być przyznawane za aktywność w terenie, a przede wszystkim za pomysły mające w najbardziej widowiskowy i skuteczny sposób atakować polityków PiS oraz samego prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Punkty rozdysponowywałby sam Donald Tusk, ale ktoś musi rejestrować aktywność, żeby szef miał się na czym oprzeć. I takimi osobami mają być Monika Wielichowska, Aleksandra Gajewska, Bartosz Arłukowicz, Jan Grabiec, Arkadiusz Marchewka, Jakub Rutnicki czy Arkadiusz Myrcha.

ALEJA MILIONERÓW

Akcja „Aleja milionerów PiS” jest rezultatem tego, co w Wirtualnej Polsce opisała dziennikarka Bianka Mikołajewska. A oprawę akcji miał wymyślić sam Donald Tusk, który w czasie, gdy był premierem, lubił – tak przynajmniej twierdzą osoby kiedyś blisko z nim współpracujące, np. Paweł Piskorski czy Janusz Palikot – ustawiać w swoim gabinecie kartonowe sylwetki swoich przeciwników (także z własnej partii) i kopał w nie piłką. Czasem tak mocno, że odrywały się kartonowe głowy, a odbijająca się piłka przy okazji demolowała różne przedmioty i sprzęty.

Media i dziennikarze opowiadający się za PO na równi z politykami mają być źródłem pomysłów przekuwanych potem w akcje atakowania Jarosława Kaczyńskiego i innych liderów PiS. Najbardziej zasłużeni w podsuwaniu pomysłów dziennikarze czy twórcy mają być po ewentualnym zwycięstwie nagradzani stanowiskami lub grantami. Blanka Mikołajewska podała, że 152 osoby związane z Prawem i Sprawiedliwością zarobiły w spółkach z udziałem skarbu państwa 437 mln zł. 90 z tych osób miało zarobić ponad 1 mln zł.

To doradcy Tuska, Igorowi Ostachowiczowi, przypisuje się w PO pomysł, żeby akcja zaczęła się jeszcze w lipcu 2023 r. w nadmorskich miejscowościach, gdzie wielu Polaków spędza wakacje. W br. także wielu Czechów, mogą się więc zdziwić politycznymi obyczajami w naszym kraju.

Na pierwszy ogień poszły Międzyzdroje. Sylwetki będą ustawiane w miejscowościach, gdzie rządzi lub współrządzi PO, żeby nie było problemów z pozwoleniami na zajęcie przestrzeni publicznej. Ustawieniu sylwetek mają towarzyszyć rozmowy polityków Platformy z wczasowiczami i mieszkańcami (ciekawe, czy także z Czechami?). Poza Międzyzdrojami akcja „Aleja milionerów PiS” obejmie m.in. Kołobrzeg, Sopot, Ustkę, Łebę, Giżycko, Mikołajki, Augustów, Olsztyn, Szklarską Porębę, Karpacz, Wrocław i Kraków.

„Jedziecie na wakacje? Jedzie z wami inflacja. A z nimi jadą miliony z państwowych spółek” – zachwalał akcję poseł Arkadiusz Marchewka.

WIELKA ŚCIEMA

O liczby i dane pokazywane przy okazji atakowania PiS ma dbać ekonomistka Alicja Defratyka ze stajni Leszka Balcerowicza, która już od miesięcy dostarcza Tuskowi paliwa (w postaci tabel, wykresów i zestawień), wykorzystywanego potem przez niego w wystąpieniach. To ona miała stać za opowieścią Tuska o przeciętnej polskiej rodzinie (np. z Pułtusa, gdzie odbywał się piknik PiS) jadącej na wakacje. Tusk wygłosił tę opowieść na początku lipca 2023 r. podczas konwencji Nowoczesnej w Warszawie, gdzie był gościem. I jak zwykle wszystko skarykaturował i poprzekręcał, ale to jego klasyczny *modus operandi*, więc nikt nie oczekiwał, że tym razem będzie inaczej. Ale efekt był komiczny, bo z opowieści Tuska wynikało, że na spędzenie dwóch tygodni nad polskim morzem (rodzice z dwójkiem dzieci) stać właściwie tylko milionerów, skoro dwutygodniowy pobyt ma kosztować ok. 30 tys. zł. Z danych Polskiej Organizacji Turystycznej wynika, że nie mniejszość, jak twierdził Tusk, ale do 64 proc. Polaków planuje urlop w kraju, mimo że według przewodni-

czego PO taniej jest na greckich wyspach. I większości (nawet dwóch trzecich) nie było stać na wakacje za rządów Tuska, podczas gdy obecnie to nieco ponad jedna czwarta. Fakty się jednak nie liczą, ważne jest tylko manipulowanie emocjami, a liczby to tylko taka kolorowanka, żeby opowieści dziwnej treści budziły większe wzburzenie.

Najbardziej nośne propagandowo pomysły spływające do swego rodzaju banku ma wykorzystywać sam Donald Tusk zarówno podczas spotkań z ludźmi, jak i w mediach społecznościowych, głównie na TikToku. Za pomysły wykorzystane przez Tuska autorzy mają dostawać najwięcej punktów. Nie zakłada się żadnych ograniczeń w kwestiach powagi, tematyki czy poziomu pomysłów, byleby zapewniały emocje i nadawały się do podchwycenia przez media. A najbardziej pożądane są te, które da się kontynuować przynajmniej przez kilka dni, robiąc z nich swego rodzaju sagę.

Przygotowany i doskonalony przez Tuska system punktowy (podobno wprost importowany z chińskiego systemu zaufania społecznego) ma być podstawą awansowania jednych i degradowania innych, ale przede wszystkim ma być paliwem do maszynki do hejtowania służącej Donaldowi Tuskowi i Koalicji Obywatelskiej przez lata, a nie tylko w obecnej kampanii wyborczej.

Właściwie nikt poważny w Platformie nie wierzy, by Donald Tusk chciał stworzyć jakiś obiektywny system punktowy i żeby stał się on podstawą układania list wyborczych. To tylko zasłona dymna (ściema) i pałka jednocześnie. Tusk nie potrzebuje bowiem żadnych zobiektywizowanych podstaw swoich decyzji, bo prysłby mit, że może robić, co chce, i przed nikim nie musi się tłumaczyć. To przecież podstawa legend o jego sile i sprawczości. Ale nigdy nie zaszkodzi, gdy ma się środek, który można wcisnąć zainteresowanym jako obiektywne uzasadnienie decyzji, nawet gdy sam decydujący się z tego śmieje, a tak jest podobno w przypadku systemu punktowego. Kto by jednak go podważył, narazi się na gniew i nieprzyjemności, bo przecież król może wszystko, nawet robić idiotów ze swoich poddanych.

Oddech Balcerowicza

PiS stał się ofiarą swojego własnego sukcesu, bo wielu Polaków uznało brak bezrobocia za stan naturalny. Tymczasem jeszcze kilkanaście lat temu ludzie emigrowali w poszukiwaniu pracy. Dziś za uzdrowienie Polski chcą się brać ci, których polityka doprowadziła kiedyś do zapaści państwa i powszechnego ubóstwa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Spadki bezrobocia w Polsce od kilku miesięcy biją historyczne rekordy. I to mimo kryzysu wywołanego pandemią oraz wojną na Ukrainie. Równy rok temu liczba zarejestrowanych bezrobotnych wyniosła 811 tys. osób, po raz pierwszy spadając do poziomu z lipca 1990 r., a więc z początków terapii szokowej Balcerowicza, gdy w urzędach pracy zarejestrowano 700 tys. bezrobotnych. W ciągu ostatniego roku pojawiały się jeszcze drobne sezonowe wahania, ale nie zmieniło to trendu spadkowego.

Według najnowszych danych GUS (z maja) stopa bezrobocia w Polsce wynosi zaledwie 5,1 proc. i jest najniższa w Unii Europejskiej. Wśród krajów rozwiniętych niższe bezrobocie niż w Polsce występuje jedynie w Korei Południowej i Japonii.

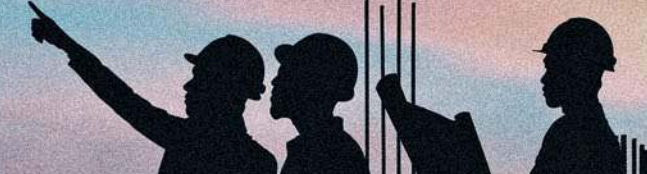
Jeszcze bardziej optymistyczne dane przedstawia Eurostat, według którego stopa bezrobocia w Polsce wynosi zaledwie 2,7 proc. Różnica w danych wynika z odmiennej metodologii liczenia bezrobocia przez Eurostat. Najkrócej rzecz ujmując, polega ona na tym, że Eurostat do bezrobotnych zalicza osoby w wieku produkcyjnym, które aktywnie szukają pracy, ale nie mogą jej znaleźć, podczas gdy GUS uzupełnia te dane statystyką osób zarejestrowanych w urzędach pracy.

Dla Polski szczególnie satysfakcjonujące jest porównanie z sąsiednimi Czechami, które od kilku miesięcy rywalizowały z naszym krajem o miano kraju

z najniższym bezrobociem w UE. W maju udało się Polsce minimalnie pokonać Czechy, co jest prawdopodobnie pierwszą taką sytuacją odnotowaną w historii obu państw. Sukces jest tym większy, bo Czechy startowały ze znacznie lepszej pozycji. Gdy oba nasze kraje wstępowały w 2004 r. do Unii, stopa bezrobocia w Czechach wynosiła – według Eurostatu – ponad 8 proc., a w Polsce wahała się wokół 20 proc.

FATALNY EKSPERYMENT

Wysokie bezrobocie było przez pierwsze dekady III RP jedną z najbardziej dotkliwych plag społecznych. W 1989 r. Polska wychodziła z komunizmu z mocno zdeprawowaną i nieefektywną gospodarką. Jej powrót na tory wymagał solidnych kompetencji i przede wszystkim czasu. Jednak zamiast tego – jak wielu zapewne pamięta – postanowiono pójść na skróty.



Twarzami transformacji, które przeszły do historii pod mianem terapii szokowej, byli świeżo nawrócony na neoliberalizm ekonomista z SGPiS Leszek Balcerowicz oraz jego główny doradca i ekspert Jeffrey Sachs z Harvardu. Sachs, który – o czym mało kto u nas wie – jest dziś gorliwym wyznawcą Władimira Putina, potraktował Polskę jako poligon doświadczalny dla swoich neoliberalnych teorii, a Polaków jako mimowolnych uczestników eksperymentu.

Głównym celem tandemu Balcerowicz-Sachs było ugaszenie szalejącej inflacji, posłużono się w tym celu m.in. radykalnym ograniczeniem płac (słynny popiwek), drakońskimi stopami procentowymi oraz sztywnym kursem dolara. W ten sposób odsysano nadmiar pieniądza z rynku. Był to proces bardzo bolesny, zwłaszcza dla uboższej części społeczeństwa, bo to właśnie jej portfele zostały najskuteczniej wydrenowane.

Jednocześnie – i to jest chyba klucz do zrozumienia katastrofy, która później nastąpiła – taki zupełnie wyjałowiony rynek został otwarty dla obcego kapitału. Pojawienie się w Polsce wielkich zachodnich firm, dysponujących ogromnymi zasobami finansowymi, było jak przejście tornada dla skrępowanych antyinflacyjnym planem Balcerowicza i porzuconych na pastwę losu polskich przedsiębiorstw. Większość z nich szybko upadła, a ich majątek został w ramach tzw. prywatyzacji *de facto* rozgrabiony przez zachodni kapitał i postkomunistyczną nomenklaturę.

W ten właśnie sposób zrodziło się wielkie bezrobocie, które w ciągu zaledwie pięciu lat skoczyło od zera do blisko 17 proc. W przeliczeniu na liczbę bezrobotnych oznaczało to wzrost z poziomu 55 tys. osób na początku 1990 r. aż do prawie 3 mln w 1994 r.

Warto przypomnieć, że bezrobocie, o którym mowa, nie objęło wyłącznie wyrzuconych na bruk i nikomu już niepotrzebnych pracowników miejskich zagłębi przemysłowych. W wielkim stopniu dotknęło ono także polską wieś, która nie poradziła sobie z wysokimi kredytami i zalewem taniej, dotowanej żywności z Zachodu. Padały nie tylko PGR-y, lecz także indywidualne gospodarstwa rolne.

Bieda oraz brutalne ścięcie inwestycji publicznych pogłębiły zapaść państwa, poczynając od bezpieczeństwa, przez służbę zdrowia, edukację, na transporcie publicznym i infrastrukturze kończąc. Ludzie, zwłaszcza poza dużymi miastami, wegetowali, nie mogąc znaleźć pracy, bo nawet jeśli gdzieś się pojawiła, to często nie było jak do niej dotrzeć – samochody były jeszcze dobrem luksusowym, a pociągi i autobusy nie kursowały. To wtedy też ruszyła gwałtowna migracja z małych miejscowości do wielkich miast, gdzie szanse na lepsze życie były większe.

Terapia szokowa zmieniła gospodarkę. Miejsc pracy zrobiło się mniej, pojawiły się nowe formy zatrudnienia, tzw. umowy śmieciowe. Bardzo też pilnowano, by płace nie były zbyt wysokie

SPADEK PO LATACH 90.

Skutki terapii szokowej odczuwamy do dziś. I nie chodzi tylko o wspomnianą migrację ludności do dużych miast i powiązaną z tym depopulację, a często i upadek mniejszych ośrodków oraz wsi. Wraz z biedą i wysokim bezrobociem nastąpił też gwałtowny spadek dzietności, z którego konsekwencjami zmagamy się do dzisiaj. Oczywiście w obu przypadkach mamy do czynienia ze zmianami cywilizacyjnymi, ale ich skala nie musiałaby być aż tak dotkliwa, żeby wypychać Polskę na sam szczyt listy krajów dotkniętych kryzysem demograficznym.

Zmienił się także krajobraz gospodarczy Polski. Po transformacji zniknęła większość dużych zakładów przemysłowych, a ich miejsce zajęły zachodnie montownie lub małe firmy, głównie usługowe. Miejsc pracy zrobiło się mniej, pojawiły się nowe formy zatrudnienia – tzw. umowy śmieciowe, ograniczono też – co nas mocno wyróżnia na tle Europy Za-

chodniej – ochronę pracy oraz rolę związków zawodowych. Bardzo też pilnowano, by płace nie były zbyt wysokie. Posługiwano się straszakiem inflacji, ale chodziło przede wszystkim o to, by przyciągnąć zachodni kapitał. Naszą specjalnością miała być bowiem tania siła robocza.

Likwidowano więc biura projektowe, zespoły badawcze, bo tym miały zajmować się zachodnie centrale. My mieliśmy jedynie poskładać wymyślony gdzie indziej produkt i odesłać go wraz z dużą częścią potencjalnego zysku z powrotem za granicę. Dochodziło przy tym do drenażu mózgów, bo taki model gospodarki nie oferował ambitnych wyzwań. Mieliśmy być niskokosztowym rezerwuarem wykwalifikowanych robotników. I byliśmy nim.

Wszystko to zresztą odbywało się przy aplauzie kompradorskich elit, które na takim obrocie spraw po prostu zyskiwały finansowo, albo – w przypadku aspirującego do elit liberalnego plebsu – powtarzały slogany podsuwane przez media. A trzeba pamiętać, że innej interpretacji niż liberalna w debacie publicznej i w głównym nurcie mediów wówczas nie było.

Nikt więc nie mógł zauważyć danych wskazujących, że Polska stała się ofiarą największej bodaj deindustrializacji w dziejach powojennej Europy. Według obliczeń liczba zatrudnionych w przemyśle spadła z najwyższego poziomu 5,2 mln osób w 1980 r. do zaledwie 2,8 mln w 2013 r.

Czy to wszystko było – jak nam się często wmawia – bolesnym, ale koniecznym środkiem do naprawy państwa? Niekoniecznie. Wyglądało to raczej na dobrze zaplanowany skok na majątek publiczny, w którym wzięły udział zarówno zachodni kapitał, jak i grupka miejscowych hochsztaplerów – tych postkomunistycznej proveniencji, jak i tych z nowego rozdania.

Dobrym wskaźnikiem jest tu inflacja, z którą miał walczyć Balcerowicz z Sachsem. Okazało się, że ich terapia szokowa wprawdzie zbiła w ciągu 1990 r. inflację z niebotycznego poziomu ponad 1000 proc. do dwucyfrowego, ale na spadek poniżej 10 proc. trzeba było czekać aż do października 1998 r. W tym czasie

duża część majątku państwowego została przetransferowana w nowe ręce.

Nie twierdzą oczywiście, że taki był główny cel Balcerowicza, choć oczywiście jest bardzo prawdopodobne, że Sachs działał w interesie zachodniego kapitału oraz – chcąc nie chcąc – chciwiej, PZPR-owskiej nomenklatury. Balcerowicz wydawał się zbyt fanatycznym i ślepym na rzeczywistość wyznawcą swoich teorii, by przejmować się społecznymi skutkami własnej polityki.

NIEDOCENIONY SUKCES

Jedną z najbardziej długofalowych konsekwencji polityki Balcerowicza-Sachs, a zarazem dowodem jej porażki, było gigantyczne bezrobocie, z którym Polska nie mogła sobie poradzić przez kolejne dekady. Trzeba bowiem przypomnieć, że najwyższe wskaźniki bezrobocia, przewyższające poziom 20 proc., przypadły dopiero na lata 2002–2004, a więc blisko 10 lat po terapii szokowej.

Późniejszy spadek bezrobocia wynikał przede wszystkim z wejścia Polski do Unii Europejskiej. I czasami także był bolesny – wtedy bowiem doszło do największej w ostatnich czasach emigracji Polaków za pracę, głównie do Wielkiej Brytanii i Niemiec. Według danych GUS w 2004 r. na emigracji przebywał 1 mln Polaków, ponad 10 lat później ta liczba przekroczyła 2,5 mln ludzi. Bezrobocie w tym czasie spadło z poziomu 20,6 proc. w styczniu 2004 r. do 11,9 proc. w styczniu 2015 r. Było to w dużej mierze skutkiem emigracji zarobkowej, choć oczywiście nie tylko, bo lepszą koniunkturę przyniosło też wejście Polski do Unii.

Jednak dopiero za rządów PiS bezrobocie spadło do niemal niezauważalnych rozmiarów i po raz pierwszy od 30 lat przestało być ważnym problemem społecznym, osiągając w maju br. poziom 5,1 proc. i to – jeszcze raz podkreślmy – mimo kryzysu wywołanego pandemią oraz wojną na Ukrainie.

Nic więc dziwnego, że rząd chwali się dzisiaj rekordowo niskimi wskaźnikami bezrobocia, bo świadczą one o dobrej kondycji gospodarczej Polski i mogą być pochytywane za duży sukces Zjednoczonej Prawicy. Okazuje się jednak – co pokazują

bieżące sondaże partii politycznych – że ten sukces wcale nie przekłada się bezpośrednio na wyższe notowania PiS.

Część opinii publicznej – zwłaszcza tej, która zamierza głosować na PO – kompletnie nie rozumie rzeczywistości, czego dowodem mogą być wyniki czerwcowego sondażu pracowni Social Changes dla naszego tygodnika. Z badań tych wynika bowiem, że aż 22 proc. ankietowanych uważa, że to właśnie teraz – za rządów PiS – mamy najwyższe bezrobocie (spośród innych odpowiedzi: 36 proc. sądzi, że najwyższe było za rządów PO-PSL, a 28 proc. w ogóle nie ma ten temat zdania). To zdumiewające odpowiedzi, które pokazują, w jak szczelnej barierce informacyjnej żyje duża część Polaków.

Wyniki te – zwłaszcza wspomniane 28 proc., które nie ma zdania, oraz 14 proc.,

Bieda i wysokie bezrobocie doprowadziły do upadku małych miejscowości oraz przyczyniły się do gwałtownego spadku dzietności w całej Polsce, z którego konsekwencjami zmagamy się do dzisiaj

które twierdzi, że w Polsce nigdy nie było wysokiego bezrobocia – świadczą również o tym, że wielu Polaków zapomniało o bezrobociu. Psychologicznie to zrozumiałe zjawisko. Kiedy udaje się wyeliminować jakiś nieprzyjemny problem, to często wyrzucamy go z pamięci, a nową, lepszą sytuację uznajemy za stan naturalny. Dlatego niskie bezrobocie jest dzisiaj traktowane przez wielu jako normalna sytuacja (przynajmniej do czasu, gdy znów się nie pojawi) i w związku z tym sukces PiS jest słabo dostrzegalny.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Bezrobocie budziło kiedyś obawy, ponieważ było realnym zagrożeniem, które

mogło dotknąć wielu Polaków i zdestabilizować ich życie. Dzisiaj za takie zagrożenie uchodzą drożyzna i inflacja. I choć w Polsce jest relatywnie taniej niż w większości państw Europy, to niespecjalnie przekonuje to ludzi, którzy codziennie muszą wydawać więcej pieniędzy, zwłaszcza że nasze zarobki, choć rosną, to ciągle daleko im do standardów zachodnich – co jest zresztą jedną z wielu długofalowych konsekwencji modelu gospodarczego opartego na taniej sile roboczej, który przyjęto w latach 90. Skutek polityki niskich płac jest również taki, że do wykonywania najsłabiej opłacanych prac trzeba dziś ściągać imigrantów. Niepokojąco wzrosły też w Polsce nierówności dochodowe, co pokazuje, że na kryzysach zawsze najlepiej wychodzą najbogatsi.

Mimo dobrych danych płynących z gospodarki wielu Polaków straciło więc poczucie bezpieczeństwa finansowego i to jest podstawowy problem, z którym musi się teraz zmierzyć PiS. Jest to do pewnego stopnia powrót do sytuacji z 2015 r., gdy duża – i jak się okazało w wyborach – decydująca część Polaków oczekiwała większej stabilizacji. Wówczas PiS był w stanie odpowiedzieć na to wyzwanie, zmieniając kierunek transferów finansowych, które popłynęły szerokim strumieniem w stronę tych najbardziej wykluczonych i dotkniętych niesprawiedliwą transformacją. Rządzącej prawicy pomogła też dobra koniunktura gospodarcza, która pojawiła się w końcu ubiegłej dekady. Dzięki temu wszyscy mogli odczuć poprawę swojej sytuacji ekonomicznej.

Jednak kryzys wywołany pandemią i wojną na Ukrainie gwałtownie przerwał tę złotą epokę. Dziś do przestrzeni publicznej ponownie zaczyna wdzierać się egoistyczny, neoliberalny ton z lat 90. Donald Tusk – który to już raz? – przekonuje, że grozi nam katastrofa, za walkę z inflacją znów chce się brać Leszek Balcerowicz, a wolnorynkowi fanatycy spod znaku Konfederacji domagają się cięcia wydatków publicznych. Na tego rodzaju terapii – tak jak 30 lat temu – zyskają tylko najbogatsi. Jeżeli więc naiwnych Polaków po raz kolejny uda się naciągnąć na neoliberalne bajdy, to zapewne bardzo szybko przypomną sobie o bezrobociu.

Polska Fundacja Narodowa partnerem programu Staż Prezydencki



Fot. Materiały Prasowe

26 maja w Pałacu Prezydenckim w Warszawie miała miejsce inauguracja czwartej edycji programu Staż Prezydencki, skierowanego do amerykańskich studentów mających polskie korzenie. Jest to zarazem pierwsza edycja projektu, w realizację której włączyła się Polska Fundacja Narodowa

Cieszmy się, że Polska Fundacja Narodowa w ramach Stażu Prezydenckiego może zaprezentować Polskę jako kraj nowoczesny, otwarty i rozwijający się, tworzący miejsce w przestrzeni międzynarodowej na swojej historii, kulturze i narodowym dziedzictwie. Takie spotkania są przyczyną do budowania pozytywnego wizerunku Polski i Polaków wśród obywateli amerykańskich, a przecież promocja naszego kraju na arenie międzynarodowej to misja i główny cel pracy Polskiej Fundacji Narodowej – tak o zaangażowaniu w projekt Staż Prezydencki mówił Michał Góras, wiceprezes Polskiej Fundacji Narodowej.

W ramach programu stażyści uczestniczyli w spotkaniach z przedstawicielami najwyższych władz państwowych, brali udział w wykładach i dyskusjach panelowych na uczelniach. Drugim, nie mniej ważnym aspektem realizowanego projektu była edukacja jego uczestników na temat Polski – państwa otwartego na turystów – jej gospodarki, historii i kultury, a tym samym promowanie pozytywnego wizerunku naszego kraju wśród mieszkańców USA. W tym celu młodzież zwiedzała wybrane miejsca, poznawała naocznie polską historię i obyczaje, a przy tym odkrywała rozwijające się dynamicznie oblicze naszej ojczyzny.

W trakcie swojego pobytu w Polsce amerykańscy studenci obok Warszawy

mieli okazję zwiedzić Lublin, Rzeszów, Chełm i Warzę, gdzie miały miejsce spotkania z przedstawicielami lokalnych władz samorządowych, wizyty na uczelniach i w centrach naukowych oraz spotkania z historią w ramach lekcji muzealnych. Jednym z punktów programu było także spotkanie ze stacjonującymi w Rzeszowie-Jasionce w ramach sił sprzymierzonych żołnierzami amerykańskimi. To ważny aspekt programu, podkreślający istotną rolę USA w utrzymaniu bezpieczeństwa Polski oraz innych państw wschodniej flanki NATO.

Tegorocznej edycji prezydenckiego programu towarzyszyła uroczysta inauguracja w Pałacu Prezydenckim z udziałem prezydenta RP Andrzeja Dudy oraz zaproszonych gości, wśród których nie zabrakło reprezentującego Polską Fundację Narodową wiceprezesa Cezarego Andrzeja Jurkiewicza, który podczas inauguracji programu powiedział: – Obecność Polskiej Fundacji Narodowej przy projekcie Staż Prezydencki to powód do radości i dumy. Dziękujemy za możliwość wsparcia tej cennej inicjatywy, która wpisuje się 100-proc. w nasze cele statutowe. Sześć lat działalności PFN to dziesiątki projektów, potwierdzających naszą pracę i miłość do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jestem wdzięczny, że mogę o nich opowiadać i przybliżyć każdemu naszą działalność w Polsce i poza jej granicami.

Pierwsza edycja projektu Staż Prezydencki miała miejsce w 2017 r. Od samego początku w jego realizację były zaangażowane Polsko-Słowiańska Federalna Unia Kredytowa w Nowym Jorku oraz General Electric Company. W br. do grona partnerów projektu dołączyły także Polska Fundacja Narodowa oraz samorządy województw lubelskiego i podkarpackiego. W dotychczasowych, trzech edycjach programu wzięło udział łącznie 60 stażystów, reprezentujących w znacznej mierze uczelnie o ekonomicznym i technicznym profilu kształcenia.

Nowy purpurat przed wyzwaniem nowej ewangelizacji

Po raz pierwszy w historii Kościoła w Polsce stolicą kardynalską stanie się Łódź



GRZEGORZ GÓRNY

Lipiec to w Watykanie miesiąc, w którym zazwyczaj nic się nie dzieje. Życie w kurii rzymskiej zamiera. Wszyscy udają się na wakacje, opuszczając pogrążone w spiekocie miasto. Także papież podczas największych upałów ograniczają swoją aktywność.

Tego lata jest jednak inaczej. Franciszek, zamiast udać się na urlop, zaskoczył wszystkich nowymi nominacjami. 1 lipca mianował nowym prefektem Dykasterii Nauki Wiary abp. Victora Manuela Fernándezę, 4 lipca powołał na stano-

wisko rektora Papieskiego Wyższego Seminarium Rzymskiego bp. Michele Di Tolve, 7 lipca ogłosił nazwiska osób, które powołał jako swoich delegatów na październikowy synod o synodalności w Watykanie, w końcu 10 lipca poinformował o wyniesieniu 21 duchownych do godności kardynalskiej i zwołaniu z tej okazji 30 września konsystorza w Rzymie.

CZERWONY BIRET W ŁODZI

Ostatnia decyzja stanowiła zaskoczenie nawet dla dobrze poinformowanych zazwyczaj watykanistów, którzy nie przywykli do ogłaszania takich nowin w letnim sezonie. Nic też nie wskazywało wcześniej, by Franciszek miał kreować nowych purpuratów jeszcze przed jesennym synodem. Poza tym – zgodnie z postanowieniami Pawła VI i Jana Pawła II – liczba kardynałów uprawnionych do

udziału w konklawe i do wyboru papieża (a więc tych, którzy nie przekroczyli 80. roku życia) nie może przekraczać 120. Po 30 września wzrośnie ona jednak do najwyższej w historii, bo aż 136.

W gronie nowych członków kolegium kardynalskiego znajdzie się także jeden Polak: 59-letni metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś. Wielu spodziewało się, że czerwony biret otrzyma abp Marek Jędraszewski, którego stolica biskupia, czyli Kraków, od wieków jest związana z kapeluszem kardynalskim. Tak się jednak nie stało. W trakcie tego pontyfikatu nie jest to jednak sytuacja wyjątkowa, ponieważ swoich purpuratów nie mają także inne diecezje, które tradycyjnie ich posiadały, jak np. Paryż, Mediolan, Wenecja, Turyn czy Los Angeles.

W sprawach personalnych Franciszek kieruje się znanym tylko sobie kluczem doboru kandydatów, odrzucając

praktykę wypracowaną przez Stolicę Apostolską w ostatnich stuleciach. Watykańscy twierdzą, że często sugeruje się opinią osób, do których ma zaufanie, a jednym z najbliższych jego współpracowników pozostaje jałmużnik papieski kard. Konrad Krajewski – prywatnie jeden z najserdeczniejszych przyjaciół Grzegorza Rysia.

TEREN MISYJNY

Chociaż nominacja kardynalska tym razem ominęła Kraków, to jednak 30 września czerwony biret znajdzie się na głowie hierarchy, który z grodem nad Wisłą jest związany jak mało który z katolickich dostojników. Urodził się bowiem w tym mieście, uczył, studiował, wykładał na uczelniach i posługiwał jako duszpasterz. Jego drogę duchową znaczyły wielkie postacie krakowskiego Kościoła, od ks. Ferdynanda Machaya, który go ochrzcił w bazylice mariackiej, do ks. Franciszka Macharskiego, który go wyświęcił na kapłana w katedrze wawelskiej. Brał udział we wszystkich spotkaniach z Janem Pawłem II w Krakowie. Był w tym mieście i dyrektorem archiwum metropolitalnego, i rektorem seminarium duchownego, i kierownikiem katedry na uczelni katolickiej, i biskupem pomocniczym. Związał się także z dwoma krakowskimi redakcjami: „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”. Po raz pierwszy na dłużej opuścił to miasto dopiero w 2017 r., gdy Franciszek mianował go metropolitą łódzkim.

Niektórzy sugerują, że po 2024 r., gdy abp Marek Jędraszewski osiągnie wiek emerytalny i przejdzie na emeryturę, kard. Ryś może zostać przeniesiony do Krakowa. Nie jest to jednak wcale przesądzone, zwłaszcza za pontyfikatu Franciszka, który kładzie duży akcent na obecność Kościoła na peryferiach, a archidiecezja łódzka z pewnością nie należy do miejsc uprzywilejowanych społecznie. Wskaźniki religijności są tam mniejsze niż w innych częściach kraju, więc nic dziwnego, że obecny ordynariusz traktuje ten region jak teren misyjny.

Z pewnością nie można mu odmówić ewangelizacyjnego zapału. Abp Ryś to jeden z tych hierarchów, którzy nie zadowalają się tym, co zastane, lecz mają odwagę szukania nowych sposobów docierania do ludzi znajdujących się z dala od Kościoła,

a zwłaszcza młodzieży. Sam jako młody kapłan posługiwał we wspólnotach Ruchu Światło-Życie i Drogi Neokatechumenalnej, więc ma doświadczenie tego, jak może przebiegać formacja duchowa osób świeckich oraz katechizacja dorosłych. Wkrótce po swoim przyjeździe do Łodzi otworzył tam Szkołę Katechistów, założył Międzynarodowe Diecezjalne Seminarium Misyjne dla Nowej Ewangelizacji „Redemptoris Mater” oraz przeniósł z Krakowa Ogólnopolskie Seminarium Duchowne dla Starszych Kandydatów do Święceń.

ZDARZENIE NA STADIONIE ORŁA

Zdarzało się, że jego zapał w eksperymentowaniu przekraczał jednak niekiedy dopuszczalne miary. Tak było, gdy we wrześniu 2021 r. na stadionie Orła Łódź przewodniczył spotkaniu ewangelizacyjnemu, które niespodziewanie zamieniło się w mszę, jednak bez zachowania związanych z nią norm i kanonów liturgicznych. Wydarzenie spotkało się z krytyką nie tylko części mediów katolickich, lecz także ze zdecydowaną reakcją Komisji Episkopatu ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, która przypomniwała łódzkiemu ordynariuszowi, jak powinna wyglądać Eucharystia. W odpowiedzi abp Ryś przeprosił wszystkich za swoje postępowanie, dodając, że miało ono charakter wyjątkowy i jednorazowy.

W oficjalnym oświadczeniu tak wyjaśniał swoje motywy: „Powodem mojego postępowania nie było wszakże ani lekceważenie czy kwestionowanie przepisów liturgicznych, lecz rozeznanie (poprzedzone także długą modlitwą i konsultacjami) zarówno co do charakteru samego wydarzenia, jak i co do duchowych potrzeb, wrażliwości i pobożności biorących w nim udział młodych ludzi”. Fakt, że wielu z nich przystąpiło do spowiedzi i komunii, dostojnik uznał za wystarczające usprawiedliwienie swojego postępowania.

Powyższa wypowiedź wskazuje na zasadnicze wyzwanie związane ze współczesnym duszpasterstwem. Chodzi o napięcie między wiernością tradycji a poszukiwaniem nowych form ewangelizacji. Dziś nikt w Kościele nie ma wątpliwości, że potrzebny jest nowy impuls misyjny, że konieczny jest taki sposób

przepowiadania Ewangelii, który dotarłby do ludzi dalekich od wiary, lecz pełnych dobrej woli. O tym mówią zarówno katolicycy tradycjonalisci, jak i modernisci – z tym, że obie strony inaczej rozumieją to zadanie. Najbardziej skrajnym przykładem jest niemiecka droga synodalna, która proponuje całkowity demontaż nauczania Kościoła w nadziei, że przekona w ten sposób świat do siebie.

ŁÓDŹ – MIASTO SZAFAREK

Abp Ryś na mapie polskiego katolicyzmu wybiera swoją własną oryginalną drogę. W maju br. jako pierwszy ordynariusz w naszym kraju ustanowił dziewięć nadzwyczajnych szafarek Eucharystii (w tym sześć zakonnic i trzy kobiety świeckie). Zarówno ta, jak i inne jego decyzje prowokują do zadawania pytań o celowość przenoszenia na grunt polski rozwiązań, które już wcześniej przyjęto na Zachodzie. Czy wspomniane pomysły zdały tam egzamin? Czy zapobiegły sekularyzacji, czy też może ją przyspieszyły? Na czym swoje nadzieje opiera sam hierarcha?

Oddziaływanie abp. Rysia niewątpliwie wykracza daleko poza granice archidiecezji łódzkiej głównie z powodu wpływu, który wywiera jego ogólnopolska działalność. Od lat jest bowiem cenionym kaznodzieją, zapraszany do wygłaszania rekolekcji w całym kraju. Szczególną popularnością cieszą się medytacje nad Pismem św., w których przybliży słuchaczom duchowość biblijną. Nagrania jego konferencji, wykładów i homilii są oglądane w internecie przez setki tysięcy osób.

Część katolików ma jednak problem, jak pogodzić głębię wiary, którą abp Ryś prezentuje w swoich wystąpieniach, z jego zaangażowaniem medialnym w „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku”. Oba krakowskie pisma, które w ostatnich latach przyzwyczyły swoich czytelników do kontestowania nauki Kościoła, przodowały niedawno w kampanii wymierzonej w dobre imię kard. Adama Sapiehy i Jana Pawła II. Swoją obecnością w tych środowiskach abp Ryś wydaje się więc autoryzować ich linię redakcyjną. Trzeba jednak dodać, że odciął się on publicznie od ataków na obu wspomnianych dostojników. Nic więc dziwnego, że dla niektórych katolików w Polsce pierwszy purpurat z Łodzi pozostaje zagadką.

Samotna krucjata w „Bagnie”



Przez ponad trzy lata Mariusz Zielke zbierał materiały dotyczące największej afery pedofilskiej w Polsce. Dziesiątki ofiar opowiedziały mu swoją historię, ale kolejne setki milczą i nie chcą do tego wracać. Choć w swoim reportażu „Bagno” ujawnił wstrząsające fakty, media liberalne milczą na ten temat. Dlaczego? Bo interesuje je wyłącznie wiązanie tematu pedofilii z Kościołem



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Mariusz Zielke od ponad 20 lat jest dziennikarzem śledczym, napisał też kilkanaście powieści sensacyjnych, w których można się dopatrzyć prawdziwych wątków i mechanizmów świata kryminalnego i świata polityki. Wiele widział i wiele zniósł. Gdy jednak w reportażu „Bagno”, którego sam jest producentem i reżyserem, mówi o Krzysztofie S. i jego nieletnich ofiarach, głos mu drży i się łamie. „Współżył z małymi dziewczynkami” – słyszymy w materiale. Muzyk, który jest negatywnym bohaterem dokumentu, był animatorem wielu przedsięwzięć z udziałem dzieci. Od 1990 r. organizował w telewizji „Tęczowy Music Box”, wcześniej inne zespoły dla dzieci, a podczas wyjazdów czy wizyt u niego w domu molestował je i gwałcił.

ZŁO WOBEC NIEWINNYCH

Zielke w swoim 38-min materiale podaje brutalne przykłady. Jak opowiadała jedna z ofiar: „Najpierw brał mnie na kolana i głaskał, potem zaprosił do nocowania u nich w domu (wtedy dzieci

często tam nocowały). Tam był taki mały pokój z widokiem na ogród, z jego keyboardem i tapczanem, pracował tam. Tam mnie położył spać, usiadł na łóżku, wkładał ręce pod koldrę i dotykał”.

Krzywdził też chłopców. „Pojechaliśmy w ustronne miejsce. Tam Krzysztof powiedział, że pokaże mi coś przyjemnego. Zaczął mnie dotykać w miejscach intymnych. Nie byłem dojrzały, więc nic się nie działo, on mi tłumaczył, że w przyszłości moje ciało będzie inaczej reagować, że on mnie nauczy, jak z tego korzystać”.

Zielke przyznaje, że zebrał ok. 100 godzin nagrań, że zgłosiło się do niego kilkadziesiąt ofiar. Jedna z molestowanych dziewcząt, dziś już dorosła kobieta, nie chciała pokazać twarzy, ale opowiadała inne obrzydliwe umizgi starszego faceta do małej dziewczynki. „Zawsze się zastanawiałam, dlaczego mi to robił, ale mi przez myśl nie przeszło, że może to robić innym dzieciom”.

PRYZYWALAJĄCE MILCZENIE

Sprawa Krzysztofa S. była opisywana w mediach kilka lat temu, gdy prokuratura wzięła się za przestępstwa muzyka. Szybko jednak media straciły dla niej zainteresowanie, a w listopadzie 2022 r. śledztwo zostało umorzone ze względu na przedawnienie umorzonych. Zielke nie odpuścił – używa nawet pełnego nazwiska Krzysztofa S., choć teoretycznie nie ma prawa tego robić, skoro muzyk nie został

skazany. Dziennikarz robi to celowo, bo chce doprowadzić do konfrontacji z pedofilem. Był nawet pod jego domem, próbował rozmawiać, nagrał tylko jego ucieczkę i gaszenie światła w kuchni.

„Będę stanowczo dążył do tego, by on nie uniknął odpowiedzialności” – mówił autor „Bagna” w programie telewizji wPolsce.pl. „Ten człowiek był przez 50 lat kryty przez swoje otoczenie”.

I tu się zaczyna drugi, złowieszczy wątek tej historii. Poczynania Krzysztofa S. miały być znane w jego otoczeniu. Zielke przytacza obleśny dowcip wśród celebrytów i muzyków warszawskiego salonu. „Chodź do dziadzi, dziadzia cię na konia wsadzi” – relacjonuje dziennikarz w „Bagnie”. I tak oto największe media, ciągle robiące wywiady z celebrytami i artystami, którzy o tym procederze wiedzieli, nie są zainteresowane zgłębieniem czy nagłośnieniem tragedii. Teoretycznie przecież w interesie portali i gazet jest publikować materiały o tak gorącym skandalu. Tutaj mamy jednak milczenie – i ten mur obojętności Zielke próbuje przebić.

NIE MA TEMATU

W materiale pokazuje również, jak rozmawiał z redakcjami różnych liberalnych mediów i jak cynicznie oraz pogardliwie był zbywany przez dziennikarskie autorytety.

Szczerze Mariuszowi Zielkemu wyjaśnił to Tomasz Krzyżak z „Rzeczpospolitej”. „Ja mam ogólnie takie wrażenie,



że po prostu tych kwestii, o których pan mówi, czyli pedofilii w innych środowiskach, w ogóle generalnie nie dotykamy i ich nie podejmujemy. Z różnych przyczyn. Jak sądzę, nie są atrakcyjne tak jak atrakcyjna jest pedofilia w Kościele”. Uczciwie zachował się też Bogusław Chrabota, który wystąpił w materiale i mówił o mechanizmie działania mediów wokół takich skandali.

Inni komentatorzy odprawiali Zielke arogancko: Michał Samul z „Faktów” TVN cynicznie zmienił temat, że trzeba by porozmawiać o mediach, a naczelny portalu Onet.pl Bartosz Węglarczyk opowiadał, że jest bardzo zapracowany i nie ma czasu na takie rzeczy. Podobnie Jarosław Kurski z „Gazety Wyborczej”, który w ogóle był oburzony, że ktoś do niego dzwoni w tej sprawie. Udziału w filmie mieli też odmówić Tomasz i Marek Sekielscy. Ten pierwszy jest redaktorem naczelnym tygodnika „Newsweek”, ale w tym kontekście ważniejsze jest to, że razem ze swoim bratem nakręcili materiał o pedofilii, tyle że dotyczący tylko Kościoła katolickiego i to często wprowadzający widzów w błąd.

PEDOFILIA TYLKO W KOŚCIOŁ

Dokument „Tylko nie mów nikomu” został opublikowany cztery lata temu i opowiada o pedofilskich zachowaniach kilku duchownych. Reżyserzy nie mówią tam jednak o tym, że trzech księży nie było typowymi przedstawicielami Kościoła, gdyż w czasach PRL zostali zarejestrowani jako tajni współpracownicy SB. Główny informator Sekielskich był później przez szczecińską prokuraturę oskarżony o oszustwo, a z jego ujawnionych listów sprzed lat wynika, że chciał od diecezji płockiej wyciągnąć

200 tys. zł za zaprzestanie oskarżania księży o przestępstwa seksualne.

I nie chodzi o to, żeby dowodzić, że wśród duchowieństwa wszystko jest w porządku, ale warto odnotować tę gigantyczną przepaść między postawami dziennikarzy wobec różnych środowisk. Starzy, zapomniani i emerytowani duchowni na głębokiej prowincji, dawniej

„Będę stanowczo dążył do tego, by on nie uniknął odpowiedzialności” – mówił autor „Bagna” w programie telewizji wPolsce.pl. „Ten człowiek był przez 50 lat kryty przez swoje otoczenie”

zarejestrowani przez komunistyczną bezpiekę, są motorem antykościelnej kampanii odpalanej we wszystkich liberalnych mediach: „Gazecie Wyborczej”, stacji TVN, na portalu Onet – wszędzie. Dużo większa afeta z dziesiątkami, jeśli nie setkami ofiar i pedofilem powiązanym z elitami muzycznymi Warszawy wywołuje jedynie pomniejsze notatki na dole stron internetowych, a później kpiny i milczenie.

SAMOTNA KRUCJATA

Po premierze „Bagna” bracia Sekielscy wydali oświadczenie, w którym dziennikarzowi grożą... sądem. Twierdzą, że Zielke godzi w ich wiarygodność oraz dobre imię. Autor „Bagna” w odpowie-

dzi zaproponował rozmowę na temat Krzysztofa S., ale dziennikarze mainstreamu nie chcieli podjąć tego tematu.

Mariusz Zielke wygląda na samotnego krzyżowca w walce z ludźmi, którzy seksualnie krzywdzili dzieci. Film realizował za swoje prywatne pieniądze, wziął na siebie wysłuchanie dramatycznych wyznań ofiar pedofila. Sam przyznał: „Przeżyłem bardzo duże załamanie w trakcie realizacji tego filmu. Ja po prostu nie mogłem sobie z tym poradzić, co było dla mnie zaskoczeniem, bo mam naprawdę twardy tyłek”. Nawet żona próbowała go odwieść od realizacji projektu, jednak autor „Bagna” dopiął sprawę do końca.

Ale jeszcze nie do końca, bo celem jest skazanie Krzysztofa S. i napiętnowanie milczenia wokół pedofilii, które przyzwoliło na molestowanie najmłodszych. Przemilczający pedofilię wśród celebrytów dziennikarze będą stosować jeszcze jedną taktykę – osobiste ataki na twórcę materiału „Bagno”. Zwłaszcza że dziennikarz zapowiedział walkę do końca – i medialnie, i w sądzie.

Tymczasem materiał Sekielskich „Tylko nie mów nikomu” był promowany i omawiany we wszystkich liberalnych tytułach, które często atakują i Kościół, i katolicyzm. Przez cztery lata w serwisie YouTube film obejrzano 24 mln razy, a do tego omawiano go w wywiadach i publicystycznych oraz blogerskich komentarzach.

„Bagno” Mariusza Zielkego w ciągu dwóch tygodni obejrzano 300 tys. razy, choć dziennikarz nie ma wsparcia potężnych koncernów medialnych. Może mieć tylko wsparcie wśród tych widzów, którym zależy na czymś więcej niż nagonce na któreś ze środowisk życia publicznego, a po prostu na prawdzie i na bezpieczeństwie dzieci.



Banda UPA z trzech stron uderzyła na wieś Puźniki. Nieliczni chłopcy i starsi mężczyźni, którzy pozostali we wsi, stanęli do nierównej walki

Kilkaset lat zniknęło w jedną noc



MICHAŁ KARNOWSKI

Po polskiej wsi Puźniki, położonej niemal 800 km od Warszawy, ok. 60 km od Buczacza na Podolu na Ukrainie, nie zostało niemal nic. Trochę drzew owocowych zasadzonych jeszcze przez dawnych mieszkańców, do dziś owocujących. Jabłka, czereśnie, wiśnie aż proszą, by je zerwać. Jest szlak dawnej drogi prowadzącej przez wtedy bogatą i zamożną wieś, kapliczka, krzyż upamiętniający

miejsce rzezi od 80 do 100 osób, głównie dzieci, kobiet i starców. Jest jeszcze stary cmentarz z kilkoma wzruszającymi nagrobkami.

Pod nagrobkiem z Matką Bożą z różańcem napis: „Tu spoczywa Rozalija Krowicka. Żyła 11 lat. Zmarła 12.10.1913”. Na powalonym na trawie równo ociosanym, kwadratowym kamieniu czytamy: „Dobrą matusię do grobu złożyli i zwłoki ziemią przykryli”. Daty brak. Obok leży piękny, bogato zdobiony nagrobek z napisem: „Z Bukowskich Józefa Poterałowicz. 1833–1907”. Musiało to być popularne tutaj nazwisko, bo jest i taki nagrobek: „Tu spoczywa Jan Poterałowicz, 1874–1928”. W sumie najwyżej kilkanaście ocalałych nagrobków – sądząc po nazwiskach – starych, szlacheckich rodzin.

POSZUKIWANIA METR PO METRZE

Cmentarz jest teraz szczególnie ważny, bo to dzięki temu punktowi orientacyjnemu możliwe jest wstępne określenie, gdzie znajduje się dół, w którym pochowano ofiary mordu dokonanego przez bandę UPA w nocy z 12 na 13 lutego 1945 r. Mówią o tym relacje świadków, ale czas zacierza pamięć. Czy dobrze wskazali miejsce pochówku? Czy przetrwał on do obecnych czasów? Dół był gotowym grobem, który wcześniej wykopali Niemcy. Chcieli w nim pochować zmarłych w szpitalu polowym, który założyli na plebani. Wymiary – 18 m długości, 2,5 m szerokości.

– Pracujemy etapami od 12 maja. Były już trzy tury badań, każda po tygodniu.



Teraz jesteśmy tu czwarty raz. Wykonaliśmy już za pomocą koparki 78 rowów sondażowych. Z kolei nasi ukraińscy koledzy wykonują odwierty archeologiczne, tam gdzie koparka nie może się dostać. Wykonali już ponad 500 takich odwiertów – mówi mi Monika Kalka z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Podkreśla, że najtrudniejszy etap za nimi: teren jest przygotowany do właściwych poszukiwań. Stoimy w gęstym, gliniastym błocie, które po kilku minutach wciąga nogi jak bagno. Co chwila przenosimy się zatem o kilkadziesiąt centymetrów.

Przez lata wszystko zarosło tu gęstym lasem, krzewami. Roślinność bujna, ziemia żyzna. Trzeba było solidnej wycinki, oczyszczenia terenu. Następnie zespół specjalistów złożony z ukraińskiej firmy archeologicznej i polskich archeologów oraz medyków sądowych rozpoczął poszukiwania. Od maja głośno warcząca koparka metr po metrze odkrywa ziemię. Archeologiczne sondy są wbijane co metr. Pracują tu też archeolodzy z Instytutu Pamięci Narodowej oraz wolontariusze Fundacji Wolność i Demokracja, od dekad zaangażowanej w pomoc Polakom na Wschodzie i dbanie o znaki polskości na dawnych Kresach.

Na kawałku betonu przykrytym folią oglądam znalezione artefakty: kawałek glinianej miski, zapalniczki na benzynę, kule pistoletowe i karabinowe różnego pochodzenia. Jest też sowiecka moneta, 10 kopiejek z wybitą datą „1943”. Każdy przedmiot w folii, opisany. Wszystko to z czasem pozwoli jeszcze lepiej zrozumieć tę tragiczną historię.

Wspólna praca ukraińskich i polskich ekspertów to wymóg ukraińskiego prawa. Obok zgód urzędów na wszystkich poziomach należy też znaleźć ukraińskiego partnera. W tym przypadku jest to ukraińska prywatna firma archeologiczna. – Mimo takiej konstrukcji prawnej

pracujemy wspólnie, tworzymy jedną ekipę poszukiwawczą, dzielimy się solidarnie zadaniami. Cel jest wspólny – znalezienie miejsca pochówku ofiar – mówi mi Oleksij Złotogorski z ukraińskiej firmy.

Maciej Dancewicz z Fundacji Wolność i Demokracja podkreśla, że zadanie poszukiwawcze nie jest łatwe. – Dawne drogi, punkty odniesienia, o których mówią świadkowie we wspomnieniach, już w większości nie istnieją. Próbuje się nakładać na plany, posilkuje się wszystkimi dostępnymi materiałami, jak niemieckie zdjęcie lotnicze wsi z 1944 r. Mamy pierwszy sukces. Udało nam się ustalić, gdzie się kończył dawny cmentarz – wiemy, że zbiorowa mogiła jest gdzieś za nim – mówi.

Złotogorski ma tę mapę przy sobie. Pokazuje drogę, wskazuje, jak były ustawione gospodarstwa, gdzie stał kościół, a gdzie plebania. Na czerwono zaznaczono cmentarz. Dopiero z tej perspektywy uświadamiamy sobie, jak duża i stara była to wieś. Kilkaset lat historii skończyło się jednej nocy.

SZARE WILKI W PUŻNIKACH

Maciej Dancewicz, wolontariusz, którego babcia cudem ocalała z masakry w Pużnikach, opowiada, że pierwszy napad miał miejsce w 1943 r. Spalono kilka domów na skraju wsi, ale atak został odparty. – Samoobrona

wsi była bardzo mocna, to długo odstraszało potencjalnych napastników. Aż do momentu, gdy Sowieci wyparli Niemców z tego terenu, a mężczyźni w większości zmobilizowali do woj-ski. Zostało kilkunastu nastolatków i starszych mężczyzn, tylko oni umieli się posługiwać bronią – opowiada. Gdy w lutym 1945 r. w okolicy pojawił się silny oddział UPA, znów zaczęły się napady. Spalono miasteczko Baryż oddalone o kilka kilometrów. Tam 5 lutego 1945 r. zamordowano 135 osób. Na-

stępnie 7 lutego zaatakowano sąsiednią wieś Zalesie Koropieckie. Zginęło tam też od 7 do 9 osób z Pużnik. Do wsi przewieziono saniami ich zwłoki. Jedną z kobiet rozpoznano tylko po węzle na chuście, wszystko inne było spalone. – W akcji w Zalesiu chodziło o zastraszenie także miejscowych Ukraińców, gospodarzy, którzy nie chcieli mordować swoich sąsiadów Polaków, byli wobec nich pokojowo nastawieni. Wszyscy ci, którzy się sprzeciwiali, też ginęli. Znamy ich z imienia i nazwiska – mówi Dancewicz.

Wedle przekazów banda UPA nazywała się Szare Wilki, była dowodzona przez niejakiego Petra Ochamczuka. W nocy z 12 na 13 lutego 1945 r. z trzech stron uderzyła na wieś Pużniki. Nieliczni chłopcy i starsi mężczyźni, którzy pozostali we wsi, stanęli do nierównej walki. Dancewicz opowiada: – Najwięcej ludzi zginęło w tzw. rowie Borkowskich, od nazwiska gospodarzy, przy których domu się znajdował. Tam dla kobiet i dzieci urządzono kryjówkę, był śnieg, biało, zamaskowano więc wejścia białymi prześcieradłami.

Niestety, kryjówka została odkryta. – Wyciągnięto kobiety i dzieci w makabryczny sposób, z użyciem narzędzi rolniczych, siekier, noży, zamordowano ok. 50 osób – kończy Dancewicz.

To miejsce upamiętnia dziś krzyż, postawiony po raz pierwszy w latach 90. XX w. przez byłych mieszkańców.

Część mieszkańców chowała się po domach, w różnych schronach. Głównym punktem oporu była jednak duża, murowana plebania, dziś nieistniejąca, podobnie jak kościół, przy którym stała. Tam, strzelając, rzucając granatami, bronili się Polacy i ostatecznie odparli napastników. Wiadomo, że ci mieli rannych, uznali więc, że straty w wyniku dalszej walki byłyby zbyt duże. Wycofali się.

W czasie masakry jedna z kobiet schowała się pod dużą murowaną kapliczką z figurą Matki Boskiej Salezjańskiej. Jej ocalenie jest opisywane przez świadków w kategoriach cudu. Ktoś inny ocalał, bo poszedł w prawo, a nie w lewo, ktoś wpadł w zaspę i uszedł z życiem niezauważony. Jedną z kobiet, pani Haniszewska, zginęła ścięta serią z karabinu, ale przewracając się przykryła swoim ciałem niemowlaka. Dziecko ocalało, żyje do dzisiaj.



Obraz pozostawiony przez zbrodniarzy był straszny. Ludzkie ciała, krew, oszalałe ze strachu zwierzęta, smród spalenizny. Ciała przeniesiono do wykopanego przez Niemców dołu, którego dziś szukają ukraińscy i polscy eksperci. Pochowano ich zawiniętych w prześcieradła, jakieś szmaty. Dla ocalałych kobiet i dzieci to był ogromny wysiłek.

Po zbrodni ocalali mieszkańcy Puźnik jeszcze kilka dni pozostali we wsi i okolicach. Radzili, jak bezpiecznie wycofać się z tej wsi. Ostatecznie wyszli przez Buczac i Koropiec. W czerwcu wyjechali do Polski – część do Niemysłowic w województwie opolskim, część do Ratowic na Dolnym Śląsku.

BY GODNIE ICH POCHOWAĆ

To właśnie miejsce po wsi Puźniki w 80. rocznicą rzezi wołyńskiej odwiedził premier Mateusz Morawiecki. A właściwie się do niej przedarł, bo intensywne deszcze zamieniły i tak ekstremalnie trudną gliniastą dróżkę w płynący potok, przez który nie zdołały przejechać nawet najmocniejsze samochody terenowe. Wspólnie z przedstawicielem władz obwodu tarnopolskiego premier złożył wieniec pod krzyżem na cmentarzu i w mocnych słowach przywołał zamordowanych mieszkańców. „Dzisiaj składam hołd w imieniu Rzeczypospolitej. Składam hołd wszystkim pomordowanym wtedy Polakom, pomordowanym w latach 1943–1945, w czasie zbrodni wołyńskiej. Wzywam was, nasi przodkowie, nasze siostry, nasi bracia – stańcie do apelu. Wzywam was, byście byli świadkami i opiekunami dobrej przyszłości naszych narodów” – mówił.

Zbrodnię wołyńską nazwał ludobójstwem, podkreślił, że łącznie ponad 100 tys. Polaków straciło życie w tym piekle. Złożył też ważne zobowiązanie: „Dzisiaj nie tylko wspominamy tamten czas, lecz także wołamy o odnalezienie wszystkich miejsc pochówku po to, aby móc ekshumować ofiary i godnie je pochować. Nie spoczniemy, ja nie spocznę, dopóki ostatnia ofiara tamtej strasznej zbrodni wołyńskiej, zbrodni Galicji Wschodniej, nie zostanie odzyskana. To nasze obowiązki, to nasza



Fot. Krystian Maj/PRM

spuścizna. Jesteśmy to winni wszystkim, którzy wtedy żyli w tym miejscu i przeżyli albo nie przeżyli tamtej hekatomby”.

Czy dotrzymanie tego danego słowa będzie łatwe? Bez wątplenia nie. Puźniki pokazują, jakie obiektywne, techniczne trudności wiąże się z takimi pra-

Przez lata wszystko zarosło tu gęstym lasem, krzewami. Trzeba było solidnej wycinki, oczyszczenia terenu. Następnie zespół specjalistów złożony z ukraińskiej firmy archeologicznej i polskich archeologów oraz medyków sądowych rozpoczął poszukiwania

cami. Także strona ukraińska wysoko ustawiła poprzeczkę prawnych wymogów. Na końcu procedury jest międzyresortowa komisja ds. upamiętnień, na której czele stoi minister kultury. – Na prace w Puźnikach została ona uzyskana dzięki wsparciu czynników rządowych, dobrej współpracy między instytucjami. A szerzej patrząc, tego, że Polska i Ukraina są dziś bliżej, lepiej się rozumieją, ta wojna zbliżyła narody i państwa – ocenia Maciej Dancewicz.

Obecny na miejscu i zaangażowany w temat poszukiwań polskich ofiar minister Michał Dworczyk ocenił, że z czasem będzie konieczne użycie profesjonalnych georadarów, których dziś

na Ukrainie nie ma. Taki sprzęt mógłby przyspieszyć prace.

FORMUŁA POJEDNANIA

Puźniki dają nadzieję. Ale nie ukrywajmy, że padło w tych dniach wiele bardzo ostrych słów. Część z nich to wyraz autentycznego rozczarowania, zrozumiałego zniecierpliwienia, żalu. Niestety, były i takie, które odbierałem, jakby były dyktowane w Moskwie, gdzie skłócenie Polaków i Ukraińców na tle historii uznano za tani sposób osiągnięcia jak najbardziej współczesnych celów.

Warto na chłodno patrzeć też na tezy nawołujące do swoistego szantażowania Ukrainy – albo prawda o historii, albo koniec z pomocą. Po pierwsze, będzie to nieskuteczne, po drugie, tam się toczy walka także o nasze bezpieczeństwo, o zatrzymanie zagrożenia jak najdalej od polskich granic. Pomoc udzielona Ukrainie leży zatem w najlepiej pojętym polskim interesie.

Warto dostrzec w tych dniach również wysiłek Kościołów, które próbują wypracować formułę pojednania osadzonego na gruncie prawdy. Wielka tu rola abp. Stanisława Gądeckiego.

Do tego wciąż daleko. Nie wydaje się dziś możliwe, by walcząca z Rosją Ukraina szybko wypowiedziała słowa, na które czekają potomkowie ofiar UPA i cała Polska. Ale wydaje się możliwe, byśmy przynajmniej zmniejszyli nasz ból przez odnalezienie i godne pochowanie zamordowanych Polaków. To w świecie cywilizacji zachodniej przecież rzecz podstawowa. Ukraina, jeśli chce być w pełni na Zachodzie, powinna to uznać. Bo jak mówił w Puźnikach polski premier, pamiętamy o kontekście, o tym, że codziennie giną ukraińscy żołnierze, walcząc przeciwko barbarzyńskiej napaści rosyjskiej, że walczą za całą Europę. A i Polacy, i Ukraińcy muszą mieć świadomość, że bez wyjaśnienia historii wołyńskiej do samego końca Rosja zawsze będzie wykorzystywać kartę wołyńską, by wbić klin między nasze narody.

Trwające w Puźnikach prace pokazują, że możliwy jest taki rozwój wydarzeń, który ten czarny scenariusz oddali.



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

18+ Ok



GRALIŚCIE I **WY**GRALIŚCIE!

Jesteście Wielcy! Dzięki Wam 27 obiektów otrzyma dofinansowanie, które pozwoli na rozwój działalności sportowej i kulturalnej w Waszej okolicy.

Gratulujemy i dziękujemy!

#WYgrywamy Razem, bo **WYgrywamy zaczyna się od **WY****

gramywygrywamy.pl





O bezsilności słabych

Na marginesie wileńskiego szczytu NATO



JAN ROKITA

We wtorek 11 lipca, gdy stało się całkiem jasne, że przywódcy państw NATO odrzucają wniosek Ukrainy o członkostwo, prezydent Zelenski nazwał tę decyzję absurdalną i bezprecedensową. Zelenski się jednak pomylił. W wileńskich postanowieniach nie ma bowiem ani cienia politycznego absurdu, a hi-

storyczne precedensy równie oportunistycznych zachowań liderów wolnego świata są znane i liczne.

BIDEN JAK BUSH SENIOR

Nie trzeba się tu nawet odwoływać aż do zdrady jałtańskiej, która zaciążyła nad Europą drugiej połowy XX w.



Fot. NATO

nacjonalizmu ukraińscy deputowani porzucili zamiar ogłaszania niepodległości kraju, bo w zreformowanych Sowietach będzie im przecież najlepiej.

Działo się to na trzy tygodnie przed ogłoszeniem deklaracji niepodległości Ukrainy i cztery miesiące przed grudniowym referendum niepodległościowym, w którym 92,26 proc. Ukraińców oddało głos za wystąpieniem ze Związku Sowieckiego. A tamta – co tu dużo mówić – haniebna mowa Busha przeszła do historii pod szyderczym mianem Chicken Kiev Speech.

Tak jak można było przypuszczać, w Wilnie prezydent Biden okazał się godnym kontynuatorem Busha seniora. Założona przez niego blokada na członkostwo Ukrainy w zachodnim sojuszu została poczyniona z politycznym wyrachowaniem i premedytacją – w tym właśnie sensie nie ma w niej ani cienia absurdu.

Co więcej, owo polityczne wyrachowanie i premedytacja były w Wilnie skrywane przez Bidena za pomocą zakłamej retoryki, obliczonej na wprowadzenie w błąd przyjaciół Ukrainy na całym świecie. Tuż przed początkiem wileńskiego szczytu Biden mówił w telewizji CNN: „Nie sądzę, aby w pakcie była jednomyślność co do wprowadzenia Ukrainy do rodziny NATO teraz, w tym momencie, w środku wojny. Jesteśmy zdeterminowani, by bronić każdego cala terytorium NATO. I jest to zobowiązanie, które podjęliśmy bez względu na wszystko. Jeśli wojna trwa, wszyscy jesteśmy na wojnie. Więc bylibyśmy na wojnie z Rosją, gdyby Ukraina weszła do NATO”. Po czym dodawał jeszcze w wyraźnie lekceważącym tonie, że Kijów musi spełnić jakieś nieokreślone warunki: „demokratyzacja i niektóre takie sprawy”.

Wszystko jest oczywistym kłamstwem w tej argumentacji. Odkąd wybuchła wojna nikt na Ukrainie ani w żadnym kraju sojuszniczym nie postulował formalizowania członkostwa podczas trwającej wojny. Zapewne Biden nie jest aż tak oderwany od rzeczywistości, by nie był tego całkiem świadom. Kiedy Zelenski składał we wrześniu 2022 r. wniosek o przyspie-

szone członkostwo zaznaczał wyraźnie, iż chodzi mu o rzeczywiste gwarancje niepodległości kraju, działające natychmiast po zakończeniu wojny. Wszystkie debaty, które toczyły się w ostatnich miesiącach, miały właśnie na celu dopracowanie formuły, która dawałaby taki skutek.

Najdalej idący projekt osiągnięcia takiego celu opracowała Litwa, proponując przyjęcie traktatu rozszerzającego NATO teraz, a ratyfikowanie go po wojnie. Ale sam Zelenski, świadom nierealności litewskiego projektu, wielokrotnie formułował oczekiwania Ukrainy w sposób jeszcze bardziej ostrożny. Chciał tylko formalnego zaproszenia Ukrainy i określenia kalendarza dojścia do członkostwa po zakończeniu wojny. Tego właśnie Biden mu odmówił, próbując zarazem swoimi argumentami pokazać przywódcę Ukrainy jako szaleńca, który domaga się *de facto* przystąpienia USA do wojny. Trzeba przyznać, że to wyjątkowo perfidny sposób uprawiania polityki.

LOGIKA KIJOWA

Zresztą z całej politycznej logiki, którą nie od dziś prezentuje rząd Zełenskiego, wynika jasno konieczność zyskania gwarancji bezpieczeństwa kraju nie w tym celu, by skuteczniej prowadzić wojnę, ale po to, by móc ją bezpiecznie zakończyć. Nigdy za mało powtarzać tę oczywistą, a lekceważoną przez zachodnich polityków prawdę, iż o ile do prowadzenia wojny Kijów potrzebuje pewności bezpieczeństwa. Jakikolwiek ukraiński rząd, który poszedłby na rozejm z Moskwą bez takiej pewności na przyszłość, działałby na zgubę własnego kraju. Kreml tylko czeka na jakąś międzynarodową okazję do uzyskania militarnej „pieriedyszki”, odnowienia sił i zasobów, po to by ruszyć znów na Kijów całą siłą już bez naiwnych błędów popełnionych w lutym 2022 r. Zełenski o tym doskonale wie. Co więcej – mówił to publicznie dziesiątki razy, argumentując, dlaczego tzw. zamrożenie wojny byłoby samobójstwem Ukrainy.

Wystarczy tylko przypomnieć wstydliwą dla Amerykanów, ale zapewne dobrze pamiętaną w Kijowie wizytę prezydenta Busha seniora i jego mowę w Radzie Najwyższej Ukrainy, jeszcze wtedy sowieckiej, z dnia 1 sierpnia 1991 r. Prezydent USA wówczas przekonywał i apelował, by w imię pokoju i walki z niebezpieczeństwem

By móc negocjować rozejm z Moskwą, trzeba mieć pewność, że po 2014 i 2022 r. trzecia militarna ofensywa Moskali przeciw Ukrainie nie będzie już możliwa. A to daje tylko klauzula *casus foederis*, czyli sławny artykuł piąty traktatu waszyngtońskiego.

Polityczne kuglarstwo Bidena w sprawie członkostwa Ukrainy jest już widoczne od jakiegoś czasu gołym okiem. Lecz przy okazji szczytu w Wilnie stało się tak spektakularne, że zauważają je otwarcie sami Amerykanie. Np. gen Ben Hodges, dowódca sił amerykańskich w Europie za prezydentury Obamy i Trumpa, z nieskrywaną naganą mówi o ekipie Bidena (w wywiadzie dla Interii): „Nie rozumiem dlaczego, ale są niechętni jakimkolwiek działaniom zmierzającym w stronę wyznaczenia tej jasnej i klarownej drogi Ukrainy do NATO”. Po czym dodaje: „Jako Zachód zawiedliśmy”.

Z kolei Kurt Volker, dyplomata, który za rządu Busha juniora pełnił urząd przedstawiciela USA w Kwaterze Głównej NATO, a Trump skierował go jako swojego specjalnego wysłannika do Kijowa, również otwarcie kwestionuje argumenty Bidena ze wspomnianego już wywiadu dla CNN. „Przecież to nieprawda (co mówi Biden), że to Ukraina nie jest gotowa do członkostwa w NATO. Chodzi o to, że to NATO nie jest gotowe na przyjęcie Ukrainy, i ten fakt został wyrażenie pokazany podczas wileńskiego szczytu” – mówi ambasador Volker.

BEZPRECEDENSOWY ABSURD

Bo też wbrew naszpikowanej hipokryzją proukraińskiej retoryce, która obowiązywała podczas szczytu, obecne wileńskie odrzucenie członkostwa Ukrainy robi wrażenie mocniejszego od bukaresztańskiego sprzed 15 lat. Wtedy bowiem w Bukareszcie pod presją Busha juniora i Lecha Kaczyńskiego Ukrainie obiecano przyszłe członkostwo, odmawiając jednak wyznaczenia konkretnej ścieżki dojścia. Teraz w Wilnie ową fałszywą obiet-

nicę ponowiono z jeszcze większym werbalnym entuzjazmem, ale opatrząc ją w końcowym komunikacie dwoma zastrzeżeniami.

Po pierwsze tym, że zaproszenie nastąpi wówczas, gdy zgodzą się na to wszyscy alianci, co w zasadzie jest oczywistością, ale jak się ją specjalnie przypomina, to z ewidentnie złą intencją. A po drugie – że zaproszenie, o ile nastąpi, będzie opatrzone warunkami, tyle tylko, że dziś jeszcze nie wiadomo jakimi. To właśnie ten komunikat wzbudził gniew i złość Zełenskigo oraz jego słowa o bezprecedensowym absurdzie.

Tym absurdem jest według Zełenskigo to, że pakt nie tylko może postawić Ukrainie warunki przyszłego

Wbrew naszpikowanej hipokryzją proukraińskiej retoryce, która obowiązywała podczas szczytu, obecne wileńskie odrzucenie członkostwa Ukrainy robi wrażenie mocniejszego od bukaresztańskiego sprzed 15 lat

członkostwa, lecz także już sam akt zaproszenia miałby być możliwy tylko pod warunkami, których na dodatek nawet nie spróbowano określić. Można by rzecz całą ująć tak oto: o ile w Bukareszcie 15 lat temu powiedziano Ukrainie: „W przyszłości dołączysz do naszego klubu”, nie precyzując niczego ponadto, o tyle w Wilnie powiedziano więcej: „Myślimy o zaproszeniu cię do naszego klubu, ale nie wymyśliśmy jeszcze warunków, które ci postawimy, jeszcze nim się zdecydowalibyśmy cię zaprosić”. Widać jasno, jakim kolejnym kuglarstwem jest teza sekretarza NATO Stoltenberga, iż w Wilnie miał ponoć zostać uczyniony milowy krok w stronę

członkostwa Ukrainy. I widać też, jak silne było na szczycie nagromadzenie złej woli i hipokryzji wobec Kijowa.

Rola samego Zełenskigo w tym sojusznicznym gnieździe hipokryzji była tym razem nie do pozazdroszczenia. Jeszcze na kilka dni przed szczytem jego kancelaria informowała, iż w razie odrzucenia członkostwa Zełenski w ramach protestu w ogóle się w Wilnie nie pojawi. Pojawił się jednak, choć w chwili przylotu do Wilna bez większych złudzeń pisał na Twitterze: „Nie ma żadnej gotowości ani do zaproszenia Ukrainy do NATO, ani do uczynienia jej członkiem paktu. A to oznacza, że Rosja będzie miała motywację do kontynuowania swojego terroru”.

Po czym w tonie usprawiedliwienia swojej obecności dodawał: „Niepewność to słabość i będę o tym otwarcie mówić podczas szczytu”. Ale potem pojawiły się zdumiewające pogroźki wobec Zełenskigo, które najbardziej arogancko wyraził publicznie brytyjski minister obrony. „Czy ci się podoba, czy nie, ludzie chcą widzieć twoją wdzięczność” – mówił Ben Wallace, nazywając to „małym słowem ostrzeżenia”.

Zapewne nie tylko Anglicy dali do zrozumienia Zełenskiemu, że jego krnąbrność i sprzeciw wobec uchwał sojuszników odbija się wkrótce na skali pomocy dla armii ukraińskiej. Wolny świat chce widzieć Zełenskigo tylko w takiej roli, w której rozpyla

się on z wdzięczności i komplementów wobec zachodnich polityków, a ci z kolei mogą wykazać się tą ukraińską wdzięcznością wobec swoich wyborców. Toteż dzień po tym, jak przywódca Ukrainy pisał o decyzjach absurdalnych i bezprecedensowych oraz o słabości i niepewności sojuszników – w środę 12 lipca mogliśmy go już oglądać fałszywie uśmiechniętego i deklarującego w obecności sekretarza Stoltenberga, iż „rezultaty szczytu są dobre, choć gdyby Ukraina została zaproszona do paktu, byłyby idealne”.

Przyszan, że przykry to był dla mnie widok. I trudno mi się było opędzić od ponurej, choć oczywistej myśli o bezsilności słabych w polityce. 

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Życie potrafi zaskakiwać

Z ubezpieczeniem PZU Dom w razie zdarzenia
zapewnimy Ci odszkodowanie i pomoc fachowców

**Sprawdź u agenta, w oddziale, w aplikacji mojePZU
lub pod numerem 801 102 102**

(Opłata zgodna z taryfą operatora)



Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdziesz w aktualnych ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Dom dostępnych na pzu.pl, w naszych oddziałach i u naszych agentów.



Pierwsze lekcje z wojny na Ukrainie

W razie wybuchu wojny siły zbrojne nie wystarczą, by zagwarantować bezpieczeństwo. Trzeba mieć zdolność do uruchomienia systemu obrony powszechnej, w którym wszyscy obywatele będą mieli swoją rolę do odegrania. To zaś oznacza, że po to, by w nowej epoce żyć bezpiecznie, będziemy musieli zmienić sposób funkcjonowania naszego społeczeństwa



MAREK BUDZISZ

Co dwa tygodnie dowodzona przez adm. Andrew Bettona specjalna komórka stworzona w brytyjskich siłach zbrojnych zbiera dostępne dane i opracowuje specjalny 70-stronicowy, opatrzonej najwyższą klauzulą tajności raport na temat lekcji z wojny na Ukrainie, której każdy dzień dostarcza nowych informacji. Obraz, który wylania się z dotychczasowych analiz, nie jest jeszcze pełny, ale już wiadomo, że mamy do czynienia z nową wojną, nie mniej krwawą i zacięłą niż poprzednie, ale toczoną w nowy sposób, często przy zastosowaniu starych systemów broni i uzbrojenia, ale używanych w nowatorski sposób. Już teraz można pokusić się o kilka obserwacji.

WOJNA DRONÓW

Brytyjski tygodnik „The Economist” opisał historię mieszkańca Kijowa, skrywającego się pod pseudonimem Swat. Drugiego dnia po rosyjskiej agresji rozpoczął on we własnym garażu produkcję przy użyciu drukarki 3D niewielkich

plastikowych pletw, które dołączone do zwykłego granatu ręcznego pozwalają na przekształcenie go w bombę lotniczą, którą można zrzucić z drona na pozycję wroga. Dziś Swat zarządza rozproszoną siecią ponad 300 tego rodzaju wytwórni, podobna nieco mniejsza (150 instalacji) działać ma na Łotwie, a ten sposób atakowania rosyjskich celów odpowiada – jak argumentowali eksperci wypowiadający się dla dziennika „The New York Times” – za ponad 70 proc. rosyjskich strat osobowych.

Mamy też w tym przypadku do czynienia z aktywnością, znakomicie charakteryzującą przyszłą wojnę, w której wzrośnie znaczenie systemów bezzałogowych, kluczową rolę może odegrać pomysłowość i zdolność adaptacji do szybko zmieniających się warunków i z pewnością wzrośnie rola ludności cywilnej wspierającej wysiłki wojskowe. Już obecnie nasycenie przestrzeni powietrznej statkami bezzałogowymi, nazywanymi potocznie dronami, jest tak wielkie, że tylko jednego dnia na krótkim odcinku walk w Bachmucie ponad 50 systemów tego rodzaju jednocześnie obserwowało pole walki. Jak obliczyli eksperci brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI, ich użycie spowodowało znaczący wzrost celności ostrzału artyleryjskiego, bo dzięki nim można było nie tylko identyfikować i oznaczać cele, lecz także korygować ogień.

Zdaniem wielu ekspertów wojskowych konflikt na Ukrainie jest z pewnością wojną dronów, bez użycia których nie sposób wyobrazić sobie współczesnego pola walki. Rosyjscy artylerzyści, którzy mieli możliwość korzystania z własnych dronów, a nie musieli czekać na informacje z dowództwa, byli w stanie ostrzelać zidentyfikowany cel w czasie od 5 do 7 minut, a nie po pół godzinie od jego wykrycia, co powodowało też, że byli w związku z tym kilka razy skuteczniejsi.

Strona ukraińska masowo używa takich, cywilnych konstrukcji, głównie chińskiej produkcji, kupowanych za pośrednictwem powszechnie dostępnych platform zakupowych, które są potem modyfikowane i rozbudowywane. Ich żywotność nie jest duża, bo jak obliczyli Brytyjczycy – Ukraińcy tracą miesięcznie nawet 10 tys. dronów, ale spełniają one swoją funkcję, zarówno obserwując pole walki, jak i atakując dostrzeżone cele. Nie mogą też być one drogie i nadmiernie skomplikowane, jak to ma miejsce w przypadku tradycyjnych systemów bezzałogowych kupowanych przez armie całego świata, bo średnia żywotność drona wynosi sześć lotów, a quadcoptera tylko trzy.

W czasie niedawnej wizyty prezydenta Zelenskiego w Turcji poinformowano co prawda o rozpoczęciu budowy fabryki koncernu Bayraktar na Ukrainie, ale to nie drogie i technicznie zaawansowane

tureckie drony są obecnie głównym narzędziem walki, ale chińska, masowa taniaoch. Co nie oznacza, że te tanie konstrukcje „z półki” są mniej użyteczne. Przeciwnie. Nico Lange, autor specjalnego raportu zatytułowanego „Jak pobić Rosjan”, w przeszłości pracujący w niemieckim sztabie generalnym, jest zdania, że strona ukraińska, m.in. wykorzystując drony, zdołała zbudować nowy system prowadzenia wojny, w którym najważniejszą rolę odgrywa zdolność do zbierania, przetwarzania i wykorzystywania informacji z pola walki w czasie niemal rzeczywistym. Jak napisał w raporcie dla think tanku Globsec, ukraińska sprawność w tej kwestii, zwłaszcza jeśli brać pod uwagę szybkość i precyzję, nie jest jeszcze dostępna siłom zbrojnym NATO.

Masowe posługiwanie się dronami, zdolność do ich modyfikacji, bo niektóre mają już podstawowe umiejętności przypisywane sztucznej inteligencji, jeśli chodzi o identyfikowanie celów, i są zaopatrzone w systemy noktowizyjne, powoduje, że na współczesnym polu walki – a tak jest na Ukrainie – „wszystko widać”, nie sposób jest się skryć, znacznie trudniej skoncentrować siły niezbędne, by przełamać opór przeciwnika. To powoduje zmiany na poziomie taktycznym, premiując indywidualną inicjatywę, pomysłowość, zdolność do samodzielnego działania dowódców oddziałów liniowych. Brak takich umiejętności jest też piętą achillesową Rosjan. Ich dowódcy czekają na rozkazy z góry, zbierane informacje są przesyłane do sztabów znajdujących się nawet kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu, gdzie sytuacja bardzo szybko się zmienia, które na dodatek nie mają zdolności szybkiego przetworzenia masy napływających danych. Tym bardziej że walczący zakłócają sobie nawzajem systemy łączności, więc i transmisja danych nie jest płynna. Jak napisali w specjalistycznym portalu War on the Rocks Jason Weiss i Dan Patt z Hudson Institute: „Obecnie militarno-techniczna przewaga jest bardziej napędzana przez oprogramowanie, dane i sztuczną inteligencję oraz nowe rodzaje taktyki niż przez masę i sprzęt. Jest to widoczne w przypadku różnych sytuacji wojсковых, od prymitywnych improvisowanych sieci bojowych na Ukrainie

po plany dotyczące przyszłych samolotów myśliwskich, które będą współpracować z ludźmi i systemami bezzałogowymi”.

PRZEJRZYSTOŚĆ POLA WALKI

Jeśli wszystko widać i trudniej się skryć, to w takich realiach walczący muszą być zawsze w ruchu, lepiej się maskować i działać w mniejszych grupach. „Będziemy walczyć pod stałą obserwacją i w stałym kontakcie – powiedział tygodnikowi „The Economist” gen. James Rainey, szef US Army Futures Command. – Nie ma przerwy. Nie ma sanktuarium, gdzie można byłoby się schować”.

Trzeba będzie zmienić kulturę organizacyjną armii, uczynić ją strukturą mniej scentralizowaną, uczącą dowódców inicjatywy i pomysłowości, a nie wyłącznie wykonywania rozkazów

To powoduje już zauważone na Ukrainie rozproszenie oddziałów, sytuacje, w których walczy się mniejszymi grupami, ale także – paradoksalnie – wzrost znaczenia starych, jeszcze z czasów I wojny światowej, systemów maskowania i obrony. Ciągące się kilometrami linie okopów, które zbudowali Rosjanie, są dobrą formą ochrony na polu walki, gdzie wszystko można dostrzec, podobnie jak tradycyjne systemy decepcji, oszukiwania przeciwnika, choćby stawiając dmuchane modele czołgów czy wyrzutni rakietowych. Niewielka czeska firma działająca w miejscowości Děčín nieopodal granicy z Niemcami, *notabene* prowadzona przez dwóch emigrantów z Rosji i zatrudniająca głównie pracowników z Ukrainy, podwoiła w czasie wojny swoją produkcję obejmującą 30 modeli dmuchanych replik czołgów T-72 czy wyrzutni rakietowych Sa-8.

Ale zmiany, które powoduje przejrzystość pola walki, są poważniejsze. Wielu analityków wojskowych twierdzi, że pre-

miują one obronę i czynią atakowanie trudniejszym zadaniem, bo nie można w sposób niezauważony dla przeciwnika skoncentrować znaczących sił. „Obecnie – charakteryzuje nową sytuację Frank Hoffman z Uniwersytetu Obrony Narodowej w Waszyngtonie – zmiana na korzyść obrońcy jest widoczna w wojnie lądowej, tak jak to miało miejsce w czasach Helmutha Moltkego (starszego), kiedy rewolucja ogniowa końca XIX w. sprawiła, że zmasowane formacje i manewry były niezwykle trudne”.

Było to bardzo dobrze widoczne w czasie rosyjskiego ataku na Kijów w pierwszej fazie wojny, kiedy Rosjanie – jak ocenili to eksperci brytyjskiego RUSI – mieli nawet 12-krotną przewagę nad broniącymi się. Ale jest czytelne i teraz, kiedy ukraińska ofensywa rozwija się wolniej, niż wszyscy przewidywali. Dzieje się tak również dlatego, że stare systemy, choćby skonstruowane jeszcze w latach 60. amerykańskie ciągnione haubice, które Ukraina otrzymała, w nowych realiach uzyskują drugie życie, zdecydowanie zwiększając swoją użyteczność. Posługujący się nimi artylerzyści zaopatrzeni w drony i mający do dyspozycji specjalne, skonstruowane dla Ukrainy przez amerykańską firmę Palantir tablety, dzięki którym wielu

operatorów jest w stanie w czasie rzeczywistym nanosić parametry celów, mogą znacznie skuteczniej prowadzić ogień nawet systemami uważanymi za przestarzałe. Paradoksalnie tak zmodernizowane działa są lepsze od nowoczesnych i często niezwykle drogich, bo Rosjanie bardzo dobrze prowadzą walkę radioelektroniczną, zagłuszając skutecznie sygnały na całej linii frontu.

Diennikarze CNN ustalili w maju br. na podstawie rozmów z amerykańskimi specjalistami, że HIMARS, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej precyzyjnie niszczyły rosyjskie punkty dowodzenia i linie zaopatrzenia, są obecnie już znacznie mniej skuteczne, bo Rosjanie nauczyli się zagłuszać sygnały GPS, które naprowadzają je na cel. „To ciągła gra w kotka i myszkę – powiedział jeden z anonimowych przedstawicieli Pentagonu – w której chodzi o znalezienie środka zaradczego na zagłuszanie tylko po to, by Rosjanie przeciwdziałali temu za jakiś czas”.

PO PIERWSZE: CZŁOWIEK

Jak na łamach „The Financial Times” napisała Anja Manuel, dyrektor w Aspen Security Forum, budowanie współczesnych armii w oparciu o niezwykle drogie systemy w rodzaju HIMARS, gdzie jedna rakiet kosztuje 100 tys. dol., można porównać do francuskiej Linii Maginota, na którą wydano krocie, ale w godzinie próby nie odegrała ona żadnej roli i nie obroniła Francji przed niemieckim blitzkriem. Mieszanka tanich systemów, w rodzaju dronów, z których każdy kosztuje co najwyżej kilkaset dolarów, a może nawet zniszczyć czołg T-90 wart 4,5 mln dol., czy przestarzałych rodzajów broni, które na Ukrainie otrzymały drugie życie, z najnowocześniejszymi, technologicznie zaawansowanymi systemami, czyli elastyczny mikś różnych środków walki, może być w jej opinii ekonomicznie najlepszym rozwiązaniem i z wojskowego punktu widzenia najskuteczniejszym. Oczywiście o ile uda się zbudować system, w którym punktem centralnym jest zawsze człowiek. A to oznacza, że trzeba będzie zmienić kulturę organizacyjną armii, uczynić ją strukturą mniej scentralizowaną, ucząc dowódców inicjatywy i pomysłowości, a nie wyłącznie wykonywania rozkazów.

Dla specjalistów wojskowych to, że człowiek jest w centrum wszystkiego, właśnie w sposób niebudzący wątpliwości udowodniła wojna na Ukrainie. O przewadze na polu walki nie decyduje sprzęt, ale ludzie, ich motywacja, determinacja, pomysłowość i wola walki. Gdyby było inaczej, to Rosjanie – mając w pierwszej fazie wojny przyniatającą przewagę – rozstrzygnęliby ją bardzo szybko na swoją korzyść.

CYWILE NA WOJNIE

Wojna na Ukrainie jest też pierwszym współczesnym konfliktem, w którym ludność cywilna uczestniczy w działaniach wojennych na taką skalę. Jack McDonald z londyńskiego King's College zwraca uwagę, że kiedy Amerykanie uderzyli na Afganistan, to wówczas tylko 1 proc. ludności tego kraju miała dostęp do internetu, w Syrii było to na początku 22 proc.,

a na Ukrainie mamy już do czynienia z 80 proc. I to będzie w jego opinii standard przyszłości. Przyszłe konflikty będą zatem „wojnami internetu”. Ma to niemałe znaczenie dla ich charakteru. W pierwszej fazie starcia Rosjanie rozstrzelali w jednej z podkijowskich wsi 80-letnią staruszkę, która używając swojego telefonu komórkowego, informowała ukraińskich artylerzystów o pozycjach napastników. Inny przykład w rozmowie z dziennikiem „Ukraińska Prawda” przytoczył płk Rusłan Szewczuk, dowódca 93. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej „Chłodny Jar”, który w pierwszej fazie wojny, nie wiedząc, czy jego informacje o pozycji

Wojna na Ukrainie jest też pierwszym współczesnym konfliktem, w którym ludność cywilna uczestniczy w działaniach wojennych na taką skalę

Rosjan są precyzyjne, wyszukał w Google lokalizację najbliższego sklepu, zadzwonił do jego właściciela i mówił: „Dzień dobry. Jesteśmy z Ukrainy”, poprosił o udostępnienie sygnału z kamer ochrony. Ale nawet to nie było potrzebne, bo jego rozmówca powiedział: „Kacapy kryją się za domem babci Hanny”.

Już choćby te wydarzenia ilustrują tezę, że współczesna wojna jest starciem całych narodów, w które są zaangażowani wszyscy. Dlatego takiego znaczenia nabiera to, co określa się mianem systemu odpornościowego państwa, a także z tego powodu, jak napisały w specjalnym raporcie Victoria Holt i Marla Keenan ze Stimson Center, jednym z głównych zadań dla sił NATO w najbliższych latach będzie szkolenie, jak chronić ludność cywilną, która stanie się w sposób masowy w wojnie przyszłości obiektem wrogich ataków.

Potwierdzają to zresztą analizy przeprowadzone przez brytyjskich ekspertów z RUSI, którzy na podstawie przejętych dokumentów, relacji świadków

i przechwyconych rozmów ustalili, że Rosjanie, przygotowując się do wojny i okupacji Ukrainy, zakładali, że muszą pozyskać do współpracy 8 proc. zajętych terenów. Pozostałych należało zastraszyć, a najbardziej aktywnych przedstawicieli społeczności lokalnych unieszkodliwić. Ludzi podzielono na pięć grup, z których potencjalnie najniebezpieczniejszych włączono do dwóch z nich – „przywódców ukraińskiego nacjonalizmu” i „mogących wspierać akty oporu”, których przedstawicieli należało izolować, a najlepiej likwidować.

Już na tej podstawie staje się jasne, dlaczego od pierwszych dni wojny na terenach zajętych przez Rosjan dochodziło do aresztowań przedstawicieli administracji lokalnej, porwań i zatrzymań krewnych tych, którzy ukrywali się, dlaczego powstawały obozy filtracyjne i od pierwszego dnia okupacji miały miejsce egzekucje, o czym świat dowiedział się rok temu, po odkryciu skali rosyjskich zbrodni w Irpieniu i Buczy. Nie miało to wiele związku z demoralizacją i frustracją rosyjskich żołnierzy, choć i takie przypadki z pewnością miały miejsce, ale przede wszystkim metodycznie realizowanym planem, który opracowano przed wojną w FSB.

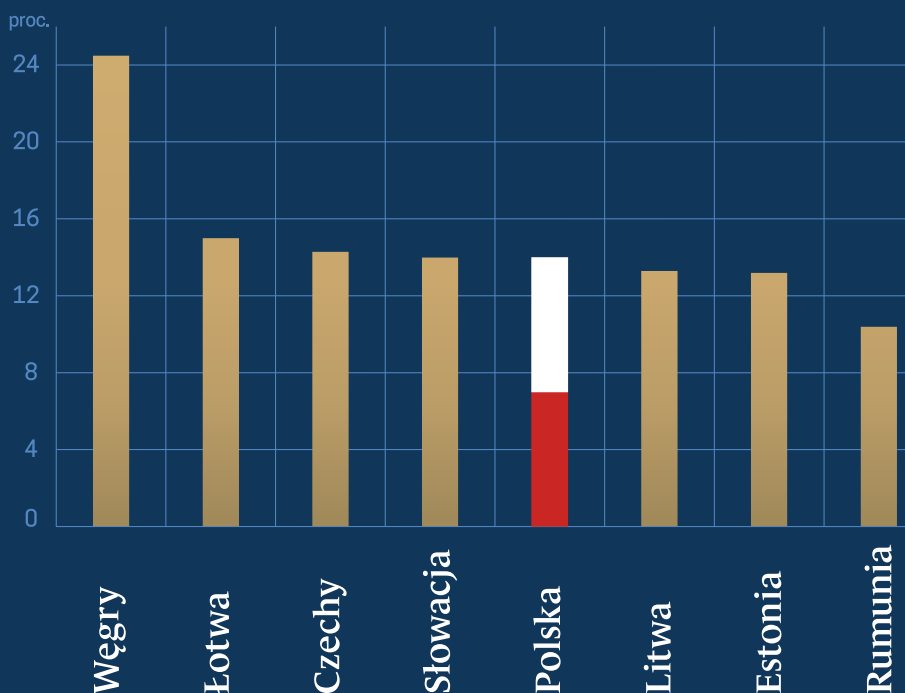
Tradycyjnie rozumiana armia nie przestanie być potrzebna w wojnie przyszłości. Musi oczywiście zdobyć nowe umiejętności i zdolności, musi nauczyć się walczyć na polu boju, gdzie wszystko jest widoczne, musi zbudować nowoczesny system scalający w jedno stare i nadal użyteczne systemy broni z najbardziej zaawansowanymi technologicznie nowinkami. Musi mieć z pewnością więcej amunicji, a na zapleczu frontu przemysł zdolny do dostarczania w sposób niezakłócony zaopatrzenia. *Novum* jest też to, że siły zbrojne nie wystarczą, by zagwarantować bezpieczeństwo. W razie wybuchu wojny trzeba mieć zdolność do uruchomienia systemu obrony powszechnej, w którym wszyscy obywatele będą mieli swoją rolę do odegrania. To zaś oznacza, że po to, by w nowej epoce żyć bezpiecznie, będziemy musieli zmienić sposób funkcjonowania naszego społeczeństwa. I to jest chyba najważniejsza lekcja, która wypływa z doświadczeń wojny na Ukrainie. 



NARODOWY BANK POLSKI
INFORMUJE:

Inflacja w Polsce jest typowa dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej sąsiadujących ze strefą konfliktu wojennego.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej



Inflacja r/r HICP wg Eurostatu w kwietniu 2023 r.

6.2021

7.2022

6.2021

7.2022

10.2021

7.2022

7.2022

10.2021

Daty rozpoczęcia cyklu podwyżek stóp procentowych.

Była para książęca straciła intratną współpracę z platformą Spotify. Krążą plotki, że i Netflix zaczyna być zmęczony niezbyt pracowitymi i do bólu poprawnymi Sussexami. A Hollywood znudził się Harrym i Meghan równie szybko, jak się nimi zachwycił

Niczym wyciśnięta cytryna



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Był taki czas, zresztą nie tak dawno temu, gdy jedynym sposobem na uniknięcie księżnej Sussex było wyłączenie radia i telewizora oraz anulowanie prenumerat gazet. Meghan Markle była wszędzie. Na Netfliksie, Spotify, w radiu lub telewizji, promując swój podcast „Archetypes”, książkę dla dzieci „Ławka” (The Bench),

albo odbierając kolejną już nagrodę humanitarną. Fakt, że nie wzięła udziału w koronacji króla Karola III w maju br., był dla brytyjskiej prasy ciekawszym tematem niż sama koronacja i wygenerował ponad 4 tys. artykułów.

Jej męża księcia Harry’ego także było wszędzie pełno. To perorował o zdrowiu na platformie Apple TV+

lub robił egzegzę swoich wspomnień pod tytułem „Zapasowy” (Spare), których w pierwszym tygodniu sprzedał ponad 3,2 mln egzemplarzy, w jednym z telewizyjnych talk-show, umilających Amerykanom wieczory. Przyszłość Sussexów rysowała się w różowych barwach: deal ze Spotify na 20 mln dol. oraz z Netflixem na kwotę pięciokrotnie wyższą pozwalał im na życie w luksusie. Sussexowie chcieli – jak mówili w jednym wywiadów – stać się marką wartą 1 mld dol. A treścią, którą sprzedawaliby Spotify czy Netflixowi, byłiby oni sami oraz ich królewskie pochodzenie, a co za tym idzie – wszystkie krzywdy, których doznali, wywodząc się z tak białego, zamożnego, skostniałego, rasistowskiego, postimperialnego i postkolonialnego rodu.

PARADA BANAŁÓW

Przypomnijmy: książęca para przeniosła się po rezygnacji przez Harry’ego – piątego w kolejności do brytyjskiego tronu – w marcu 2020 r. z pełnienia oficjalnych funkcji w rodzinie królewskiej do Montecito w Kalifornii, gdzie zajęła się ekshibicjonistycznym ujawnianiem rodzinnych sekretów oraz uzalaniem się nad wymuszonym życiem w złotej klatce Windsorów. Biedny, mały, bogaty książę i jego nieszczęśliwa żona.

Najpierw był wywiad z Oprah Winfrey. Dostarczył on widzom rozrywki, a przy okazji pozwolił Sussexom na autoinscenizację. Były łyż, oskarżenia o rasizm (mgliste i niepodparte żadnymi dowodami), przyznanie się do problemów psychicznych i właściwa dawka politycznej poprawności w sam raz dla świadomego społeczeństwa odbiorcy za oceanem. Harry’emu i jego małżonce udało się przy tym nie lada sztuka: będąc utożsamieniem białego przywileju, przybrali szaty ofiar dyskryminacji skostniałych reguł i krzywdzącej dworskiej etykiety, która miała zamienić marzenie Meghan o byciu książęniczką rodem z bajek Disneya w koszmar. Potem były podcasty na Spotify.

James Marriott z „The Times” opisał je jako „gustownie udźwiękowioną

paradę banałów”. Według niego sprawiały, że słuchacz „poczuł się, jakby był zamknięty w pokoju relaksacyjnym spa z niezwykle zaangażowanym instruktorem jogi”.

Następnie sześcioodcinkowy dokument na Netflixie, czyli maraton pretensji, lamentów oraz cukierkowo-słodkich zapewnień małżonków o wzajemnej miłości. I na koniec autobiografia Harry’ego, z której dowiedzieliśmy się rzeczy, o których wolelibyśmy nie wiedzieć. Wydawało się, że wpadliśmy do tunelu, w którym nigdy nie będziemy wolni od nawet najdrobniejszego szczegółu z życia Sussexów.

Według dziennika „The Wall Street Journal” para ma „trudności z wytworzeniem czegokolwiek, co wychodzi poza zakres ich własnych doświadczeń”. A jeśli chodzi o te doświadczenia, to wyeksploatowali je niemal do cna

KSIĄŻĘCY KANCIARZE?

Tyle że – jak się wydaje – Amerykanom para książęca się już znudziła. W końcu ile można mówić w kółko o tym samym? Na Sussexów spadł deszcz krytyki. Spotify odwołał deal z ich firmą Archewell Productions, a tym samym serię podcastów Meghan, po zaledwie jednym sezonie, co kosztowało książęcą parę według „Daily Mail” ponad 10 mln dol.

O wiele bardziej upokarzająca od straty finansowej (Harry zarobił 16 mln dol. na swoich wspomnieniach) była utrata twarzy. Jeden z dyrektorów Spotify Bill Simmons, odpowiedzialny m.in. za monetyzację podcastów, określił ich mianem naciągaczy. „Muszę się kiedyś upić i opowiedzieć

wam o rozmowie na Zoomie, którą odbyłem z księciem Harrym. Miałem mu pomóc z pomysłem na podcast. Jest to jedna z moich najlepszych opowieści. Chrząnąć ich. Naciągacze!” – grzmiał. „Mieszkasz w Montecito i sprzedajesz filmy dokumentalne oraz podcasty. Nikogo nie obchodzi, co masz do powiedzenia na jakikolwiek temat, chyba że mówisz o rodzinie królewskiej, ale ty na nią tylko narzekasz” – dodał. Jak wyjaśnił, księżna za 20 mln dol., które zainkasowała, wyprodukowała zaledwie 12 podcastów przez dwa lata. Przy czym osobiście rozmawiała tylko z najbardziej prominentnymi gośćmi. Jak twierdzi „The Daily Telegraph”, jedna z autorek zaproszonych jako gość do podcastu „Archetypes” nie spotkała w studiu księżnej. Puszczono jej nagranie pytań, w które jej odpowiedzi zostały następnie wmontowane.

20 mln dol. za zaledwie garstkę podcastów na żywo to rzeczywiście dość słony rachunek (a platforma miała 230 mln dol. straty w ub.r.). Do tego dochodzą plotki o dość absurdalnych pomysłach Harry’ego na kolejne wywiady. Miał on m.in. zasugerować rozmowę z prezydentem Rosji Władimirem Putinem, którego chciał przeprosić na temat jego traumatycznych przeżyć z dzieciństwa i wpływie, jaki wywarły one na jego zdrowie psychiczne. Z jakiegoś powodu syn Karola III uznał, że mogłoby to pomóc w ustanowieniu pokoju na Ukrainie.

Hollywood także niezbyt ciepło przyjął Sussexów. Jeremy Zimmer, znany agent, do którego klientów należą aktorzy Benedict Cumberbatch czy Harrison Ford, nazwał Meghan beztalenciem. „To, że jesteś sławny, nie oznacza, że cokolwiek potrafisz” – oświadczył Zimmer podczas wywiadu na festiwalu w Cannes.

DALEKO OD MEGXITU

Słuchalność podcastu Meghan także wypadła poniżej oczekiwań. Słuchacze szybko zmęczeni się formułą polegającą na narzekaniach celebrytek (jak Mariah Carey czy Serena Williams) na straszny



Fot. Netflix

patriarchat, który pozwolił im z jakiegoś powodu zrobić zawrotne kariery.

Pracownicy własnej firmy Sussexów Archewell Productions skarżyli się prasie, oczywiście anonimowo, że jest ona źle zarządzana, a Harry i Meghan „wydają się zaskoczeni ilością pracy wymaganej do tego, by stworzyć produkt rozrywkowy”. Jak donosi „The Spectator”, platforma Netflix, która zawarła z książęcą parą umowę do 2025 r. na 100 mln dol., także jest niezadowolona z tego, co Harry i Meghan jej dostarczają. Według „The Wall Street Journal” przez brak doświadczenia jako producenci, „a także problemy poza ich kontrolą, jak kolejny strajk scenarzystów w Hollywood”, Sussexowie nie przynieśli platformie nadających się do użycia formatów. „Pomysły mają nawet i dobre, ale ich wykonanie jest tragiczne” – czytamy. Może umowa z Netflixem nie zostanie zerwana, ale zapewne zakończy się na 2025 r.

Według „WSJ” para ma „trudności z wytworzeniem czegokolwiek, co wychodzi poza zakres ich własnych doświadczeń”. A jeśli chodzi o te doświadczenia, to wyekspluowali je niemal do cna. Według „The Daily Telegraph” autobiografia Harry’ego odniosła sukces, bo napisał ją ktoś inny, a film dokumentalny na Netflixie pobili wprawdzie rekordy oglądalności, ale nie można się

spodziewać, że kolejne (planowany jest m.in. dokument o ich działalności filantropijnej w Afryce) przyciągną podobną liczbę widzów. Im dalej od rezygnacji Harry’ego z bycia częścią Windsorów (tzw. Megxitu), tym mniejsze zainteresowanie publiczności jego pomysłami.

GWIAZDY Z NISKIEJ PÓŁKI

Zapowiadana (feministyczna) kreskówka dla dzieci autorstwa Meghan nie ujrzała światła dziennego i poza planowanym dokumentem o Igrzyskach Niezwycięzonych dla weteranów (Invictus Games), w których organizację Harry angażuje się od lat – jak pisze „The Sun” – „cytryna została doszczętnie wyciśnięta”. Co będzie więc dalej z marką Sussexów, nikt nie wie. Meghan podpisała niedawno umowę z agencją William Morris Endeavor (WME), która ma takich klientów jak Dwayne „The Rock” Johnson czy Serena Williams, ale czy uda jej się wrócić do kariery aktorskiej, którą porzuciła, by poślubić Harry’ego, jest wątpliwe. Księżna chce także rozwijać swój blog lifestyle’owy „The Tig” i marzy o takich sukcesach, jakie odniosła ze swoim blogiem „Goop” aktorka Gwyneth Paltrow. Według „The Spectator” Meghan chce zostać kolejną Kardashianką, żyjącą z kontraktów ze znanymi markami-sponsorami, ale we-

dług eksperta ds. kultury i marek Nicka Ede’a „jest wątpliwe, by zarobiła na tym wystarczająco pieniędzy, by sfinansować luksusowe życie pary w Montecito”.

Jak bardzo Hollywood znudził się Harrym i Meghan, ujawnił w maju amerykański aktor Tim Dillon. Według niego na jednej z imprez zebrani goście mieli się śmiać z SMS-a otrzymanego od księżnej, w którym proponowała ona wspólne spędzanie czasu. „To cwaniaki. Byłem na imprezie celebrytów, rozmawialiśmy o nich. To gwiazdy z niskiej półki, które próbują przyczepić się do czegokolwiek, do kogokolwiek. Jestem dosłownie na przyjęciu, a oni pokazują mi SMS-y od tej kobiety [Meghan], błagającej ludzi, żeby się spotkali. To smutne i nieskuteczne. Wszyscy nieźle się z tego śmialiśmy... Odpisaliśmy jej, w końcu jest księżną. Ale mamy jej dość” – mówił Dillon.

Spadek popularności książęcej pary rzekomo wywołał kryzys w ich małżeństwie. Tak twierdzą w każdym razie brytyjskie tabloidy. A może to tylko kolejna PR-owska zagrywka, która pociągnie za sobą płaczliwe wywiady i dokumenty o okrutnych mediach i jeszcze okrutniejszym Hollywood, który niszczy szlachetne i wrażliwe dusze byłych royalsów? Jedno jest pewne: dowiemy się o tym wcześniej czy później. A raczej wcześniej. 

K

ULTIMITY

*Dla wielu telewidzów
pozostaje szlachetnym
Michałem Wilczewskim,
lekarzem z Leśnej Góry,
oraz niejednoznacznym
bohaterem ze „Stulecia
Winnych”. Teraz
Mateusz Janicki
zmierzył się z książkową
i serialową legendą
Pana Samochodzika*

Pan Samochodzik powraca



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Na platformie Netflix pojawiła się współczesna adaptacja jednej z kultowych książek Zbigniewa Nienackiego – „Pan Samochodzik i templariusze”. Tytułową postać – Tomasza N.N., historyka sztuki i detektywa amatora – gra Mateusz Janicki.

BEZ PORÓWNAŃ

Aktor przyznaje, że nie przeczytał wszystkich książek o Panu Samochodziku. W końcu (wraz z trzema prequelami, dostosowanymi z czasem do serii przez samego pisarza) wyszło ich 15. W większości zostały wydane, nim pojawił się na świecie (trzy tomy poprzedzające serię – od 1957 do 1961 r. – i właściwy cykl – od 1964 do 1985 r., a Mateusz Janicki urodził się w 1983 r.). Były kultowymi tytułami dla pokolenia jego rodziców, chociaż i wśród jego rówieśników, jak zauważa, zdarzają się zagorzali fani cyklu.

W wywiadzie udzielonym PAP czytamy, że 12-letni Mateusz w pierwszej kolejności przeczytał tom „Pan Samochodzik i templariusze”. Potem wciągnął go też „Pan Samochodzik i tajemnica tajemnic” oraz pierwsza z serii „Wyspa złoczyńców”. Oczywiście oglądał również serial ze Stanisławem Mikulskim.

Zapewnia jednak, że kiedy dostał propozycję zagrania Pana Samochodzika, nie przyszło mu na myśl porównywać się z pierwszym odtwórcą roli. Zobaczmy, jak poradził sobie z presją porównań, gdy projekt, o którym było głośno, trafił do widzów.

KLUCZOWE KWESTIE

Pytany, co znaczy, że film Netfliksa ma być współczesną wersją Pana Samochodzika, aktor odwołuje się do wypowiedzi reżysera Antoniego Nykowskiego, podkreślającego, że to trochę sentymalna podróż w czasy PRL widzianego oczami młodego odbiorcy z tamtych czasów.



Czerpiąca z epoki, ale spoglądająca na nią z przymrużeniem oka.

Czy fani przymkną oko m.in. na działania współczesnych scenografów, którzy wykreowali zupełnie nowy kształt kluczowego dla przygód Pana Samochodzika samochodu? Zbigniew Nienacki opisywał go tak: „Wyobraźcie sobie czółno odrapane, zielonkawożółte, z brązowymi i granatowymi zaciekaniami, na czterech kółkach, z których dwa tylne mają szprychy, a dwa przednie ich nie posiadają. Na tym czółnie znajduje się brezentowy, wypłowiały namiot koloru khaki. W namiocie tym są celuloidowe okienka – z tyłu i z boków. [...] Silnik Ferrari 410 Superamerica [...] jednego z najszybszych w świecie samochodów turystyczno-sportowych. Jego szybkość maksymalna [...] wynosi 250 km na godzinę. To najszybszy samochód, jaki jeździ po polskich drogach”.

W serialu z 1971 r. bohater grany przez Stanisława Mikulskiego (doskonale już wtedy znanego z roli Hansa Klossa w serialu „Stawka większa niż życie”) poruszał się volkswagenem schwimmwagen, amfibią używaną przez... wojska niemieckie w czasie II wojny światowej.

W produkcji Netfliksa pojazd pana Tomasza złożono z samochodu terenowego, nadwozia fiata 125p oraz elementów... ciągnika Ursus. Zdaniem specjalistów coś takiego nie ma szansy utrzymać się na wodzie, ale oczywiście w filmie pływa, przynosząc chlubę Panu Samochodzikowi i wprawiając w osłupienie innych bohaterów filmu (wcielają się w nich m.in. Sandra Drzymalska, Maria Dębska, Jacek Beler, Anna Dymna, Przemysław Bluszczyk, Ewa Blaszczyk i Adam Ferency).

NA FALI CZY W KONTRZE

Czy filmowa superamfibia wyniesie Mateusza Janickiego na wyższy

poziom popularności? Zdecydują widzowie. W czasie kiedy film „Pan Samochodzik i templariusze” będzie dostępny, aktora można oglądać m.in. w powtórkach seriali „Na dobre i na złe”, „Stulecie Winnych”, „Matka” oraz w filmach pokazywanych na platformach: kinowym „Zołza” i telewizyjnym „Mariusz. Tatrzański orzeł”.

W realizacji TVP Janicki wcielił się w legendarnego skoczka narciarskiego. W najnowszej produkcji znów zagrał główną rolę, z tym że Netflix daje aktorowi znacznie większą szansę na wybić się (jednocześnie na komercyjnych zasadach konfrontując jego zawodowe działania). Przekonamy się, czy Mateusz Janicki jako Pan Samochodzik będzie miał długi lot. Z pewnością wśród jego wiernych kibiców znajdują się najbliżsi. Zwłaszcza – jak zdradza – dziadkowie.

Aktor wywodzi się z niezwyklej rodziny. Nauka przeplata się w niej ze sztuką. Pradziadek Henryk Niewodniczański założył w Krakowie Instytut Fizyki Jądrowej PAN, który teraz nosi jego imię. Dziadek Jerzy Niewodniczański, wybitny specjalista od fizyki jądrowej, był prezesem Państwowej Agencji Atomistyki. Jego żona Zofia specjalizowała się w geologii. Drugi dziadek, Artur Janicki, jest dokumentalistą, babcia była bibliotekarką. Ojciec skończył konserwację na ASP, a teraz zajmuje się multimediami, mama od wielu lat pracuje w branży filmowej.

W wywiadzie dla PAP Mateusz Janicki mówi, że na to, by zostać naukowcem, był za mało systematyczny. Dlatego wybrał aktorstwo (w krakowskiej PWST). Mimo że dużo pracuje w Warszawie, to Kraków pozostał jego życiową ostoją. Tu gra w Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Tu ma wspomnienia z dzieciństwa, swoje ścieżki, rodzinę i przyjaciół.

O Wołyniu w filmach - kolejna rocznica

TVP przy okazji kolejnych symbolicznych rocznic rzezi wołyńskiej przypominała zwykle „Wołyń”, obraz Wojciecha Smarzowskiego. Niezależnie od tego, gdzie jest dzisiaj ten twórca, jak bardzo zaczął szukać poklasku topornym, antypolskim rewizjonizmem historycznym, ten jego film jest dziełem wybitnym. Oddaje grozę tamtych zdarzeń, a co więcej – jest wstrząsającym traktatem o jednostkach, po których przejeżdża walec historii.

W br. była rocznica szczególna, 80. Połączona z wysiłkiem, by przekonać Ukraińców do powiedzenia prawdy o zorganizowanej masakrze i do wyrażenia zgody na ekshumację ofiar. I tym razem emitowano w TVP1 dwa odcinki serialu Waldemara Krzystka „Dom pod Dwoma Orłami”. Był on nadawany w Jedyńce niedawno, pisałem o nim. Ogólnie pozytywnie, bo to znowu udana próba pokazania tragizmu polskich losów. Przeważał w nim wątek losów ludzi z Kresów, często przytłumionych przez doświadczenia bardziej centralnych obszarów dawnej Polski. Po wojnie dzieje tych bohaterów stają się częścią dziejów zasiedlanego od nowa Wrocławia. Splatając zresztą z losami rodziny niemieckiej – przez jeden dom.

Patrzyłem na te dwa odcinki i raz jeszcze przeżywałem wstrząs. Choćby w reakcji na opowieść o Zofii Szablewskiej (w tej roli Karolina Gruska), żony drobnego właściciela ziemskiego i wojskowego osadnika, która deportowana przez Sowietów do Kazachstanu, przeżywa po kolei stratę wszystkich swoich dzieci. Jest to pokazane bez zbędnego patosu, a jednak jest okazją do zadumy. Ciężko nas doświadczone historią. Miażdżyły nas dwa nieludzkie systemy. Tu nie ma symetrii.

Zarazem dostajemy skrótową opowieść o rzezi w 1943 r. Najstarszy syn Zofii, Zbyszek, w trochę niejasnych okolicznościach ucieka z transportu i wraca na rodzinny Wołyń. Tam próbuje żyć pod nową, niemiecką okupacją, co łączy się z jego konfliktem z przybranym ukraińskim bratem Wasylką, poszukującym tożsamości

najpierw w popieraniu Sowietów, a potem nacjonalistów z OUN. Dzieli ich także miłość do tej samej dziewczyny, Ukrainki.

Nadciągający kataklizm nie jest tu pokazany tak wielowątkowo jak w filmie Smarzowskiego. Niemniej odnajdujemy te same motywy. Zbyszek ledwie unika śmierci z ręki dawnego sąsiada i kolegi – takich sytuacji u Smarzowskiego jest wiele. Oglądamy też scenę wyrzucania z parafii prawosławnego popa, który przestrzega przed zabijaniem Polaków. Zastępuje go pop przysłany przez nacjonalistów z OUN. Ten rozdźwięk wśród ukraińskiego duchowieństwa utrwalił też Smarzowski. Pisali o nim historycy.

Jedna rzecz nie tyle mi przeszkadza, ile każe poczynić uwagę. Słyszymy w filmie o wyrzynanych polskich wioskach. Ale widzimy, jak Ukraińcy atakują dom dziadków Zbyszka (Jan Frycz i Aleksandra Konieczna), którzy choć schłopiali w następstwie wojennej degradacji, spełniają jednak kryterium „polskich panów”. W ten sposób zostaje utrwalony stereotyp wojny polsko-ukraińskiej jako także klasowej. Tymczasem, choć takie sytuacje się zdarzały, ogromna większość ofiar rzezi to byli chłopci. Ci, którzy poczuli się do związków z polskością. Pokazuje to



Smarzowski – taki jest dom głównej bohaterki i dom jej rodziców. Także młody AKowiec, który się nią opiekuje po śmierci jej męża, jest chłopskim synem.

Nie mam pretensji do Krzystka, historia składa się z wielu różnych elementów. Bywa mozaiką. Ale warto o społecznym obliczu naszych rodaków z Wołynia pamiętać. Klasowy stereotyp był prawdziwy tylko do pewnego stopnia. A kiedy ktoś w proukraińskiej pasji proponował niedawno w necie, żeby zapomnieć o tamtych Polakach, bo „przecież to tylko chłopci zginęli”, ja chcę ich jeszcze mocniej pamiętać. **✓**

Piotr Zaremba

Pożegnanie

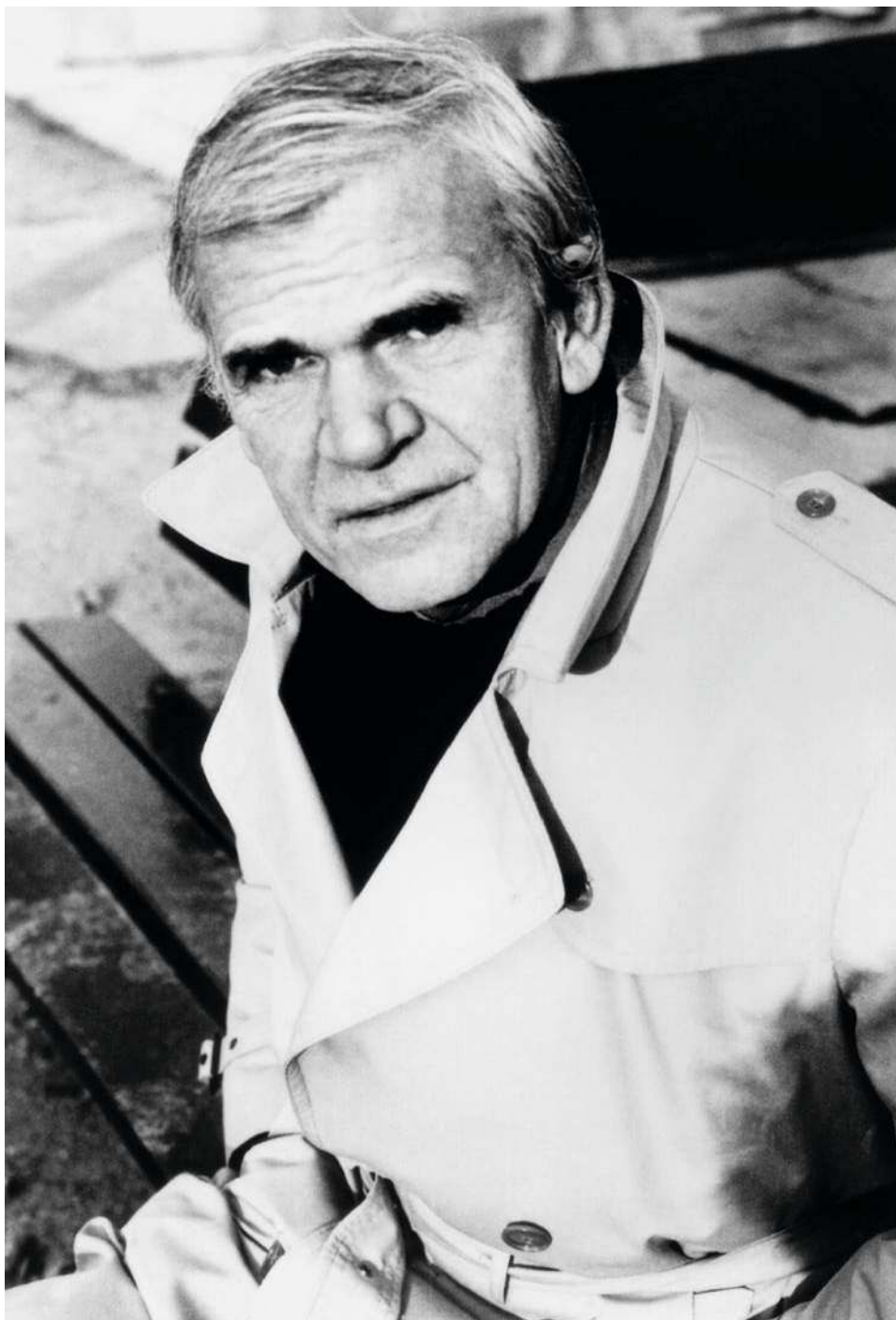
Milan Kundera (1929-2023)

Ogromna większość bibuły z lat 80. w najlepszym razie spoczywa dziś, nigdy nieniekochana, na najwyższych półkach księgozbioru. Znacznie bardziej prawdopodobne, że została upakowana do kartonów stojących na ciemnym i przewiewnym strychu razem z listami rodziców. Najbardziej racjonalni oddali ją po wielu dylematach do bibliotek (dopóki przyjmowały) lub na makulaturę.

Nie sposób ich winić: ten druk jest po 40 latach jeszcze bardziej rozmyty. Kartki sypią się w palcach, podobnie zardzewiałe zszywacze, nieprzyjemnie mechacą się okładki. I naprawdę wszystko to wydano już od dawna w pierwszym obiegu: przyzwoicie, z marginesem, czcionką 12 na jasno-białym papierze.

Trzeba naprawdę wyjątkowej okazji, żeby sięgnąć po drabinkę, zdmuchnąć i tak osiadający po chwili na włosach kurz i wyciągnąć jedną czy drugą książeczkę: zwietrzałą kostkę mocnych wzruszeń. Z bladoróżowym nazwiskiem autora złożonym „nowoczesnymi” (wówczas) blokowymi literami w niepokojącym różu (naprawdę nie udało się dostać innej farby?): Milan Kundera, „Nieżnośna lekkość bytu”, przedruk Aneksu z 1985 r. w tłumaczeniu (świetnym zresztą, wznawianym po dziś dzień) Agnieszki Holland. Zaduszki literackie, walc pożegnalny, śmieszna miłość.

Ojkofobiczna moda każe przy każdej okazji zarzucać Polakom, że spływają i upraszczają ważne zagadnienia współczesnego świata, ale w przypadku Kundery trzeba się z tą diagnozą zgodzić: rzeczywiście, w latach 80. sięgano po jego książki, tłuczone w podziemiu – obok „Nieżnośnej lekkości bytu” również po „Księgę śmiechu i zapomnienia”, „Życie jest gdzie indziej” i owoc Praskiej Wiosny, „Żart”, który w 1970 r. przemknął się przez PRL-owską cenzurę



– głównie szukając prawdy o komunizmie w CSRS: o czeskim stalinizmie, który nie skończył się odwilżą jak w Polsce, tylko trwał, o interwencji 1968 r., o tankach nad Wełtawą i dysydentach: pisarzach, fizykach i chirurgach, na mocy Berufsverbot ludzi Gustáva Husáka przekształconych w czyszcicieli okien i palaczy w kotłowniach.

Trochę tego było: Ludvik z „Žartu” traci przecież pracę i ma zniszczone życie, Tomasz z najbardziej znanej „Niežnośnej lekkości bytu” zostaje zdegradowany najpierw do przychodni, ale i z niej go zwolnią, ponieważ nie chce potępić artykułu napisanego podczas Praskiej Wiosny. Ale ani Ludvik, ani Tomasz, ani opozycjonista Mirek („Księga śmiechu i zapomnienia”) nie są postaciami spiżowymi i polityka nie jest tym, co zajmuje ich najbardziej: jest rodzajem pajęczyny, w której grzęzną ich pasje, pożądania, przyjaźnie i przede wszystkim przemyślenia na temat natury czasu, pamięci, powagi i ironii, wierności i zdrady. Polski czytelnik, który sięgał po przyniesionego przez kolportera Kunderę, był trochę jak nastolatek, który sięga po Joyce’a, Márqueza czy Grassa, ponieważ słyszał, że są tam momenty. Momenty oczywiście były, i polityczne, i erotyczne (każdy, kto czytał „Niežnośną lekkość bytu” przed trzydziestką, będzie zapewne pamiętał melonik Sabiny!) – ale przecież nie o nie chodziło. Ani u Márqueza, ani u Kundery.

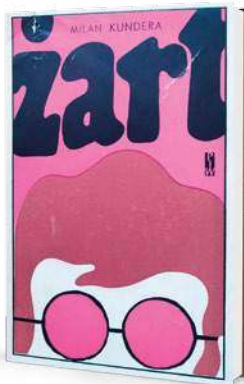
Więc część polskich czytelników została z Kunderą na dobre, inni po 1989 r. nie wracali do niego już nigdy. Podobnie zresztą jak tłumacze: przed 1989 r. tłumaczyli go najlepsi bohemiści (Andrzej S. Jagodziński, kryjący się pod pseudonimem Pawła Heartmana Piotr Godlewski), a czasem po prostu utalentowani entuzjaści, jak Holland czy Jacek Illg. Po 1989 r. – już tylko jego arcytłumacz Marek Bieńczyk. A może też „Niežnośna lekkość bytu” i „Życie jest gdzie indziej” czytały się lepiej niż „Sztuka powieści” (wyd. polskie 1991), „Zdradzone testamenty” (1996) i „Powołano” (1997)?

To zestawianie go z Joyce’em, Márquezem i Grassesem przychodzi tak naturalnie, bo Kundera nie był po pro-

stu pisarzem. Chociaż debiutował jako poeta, był powieściopisarzem, bardzo mocno przekonany, że powieść jest najdoskonalszą formą istniejącą w literaturze – chociaż sam czasem grał w powieść w wyznaczonych przez modernizm granicach, a czasem, szczególnie od lat 90., wychodził z pudełka i z boiska oraz forsował własne reguły, torturował fabułę albo odsuwał ją na bok. Ale nigdy nie była to smutna żonglerka postmodernisty: zawsze opowiadała historię.

Młodzieniec z dobrego domu (tu nasuwa się podobieństwo z Václavem Havlem, choć tak byli różni i w pisarstwie, i w temperamentie, i w karierze) w latach 40. uwierzył w przemieniający świat komunizm, w latach 50. i 60. układał się z systemem, po 1968 r. nie ugiął się i w 1975 r., po kilku latach klepania biedy i zapisu cenzury, wyemigrował. Był w tym trochę jak Miłosz, deklarujący życie „w służbie polskiej poezji” i niechętny zaangażowaniu ściśle politycznym, choć poszedł o wiele dalej – zmieniając w latach 90. język swojej prozy na francuski.

Nie składał zbyt wielu deklaracji, ani politycznych, ani światopoglądowych: pewnie dałoby się go na upartego zaklasyfikować jako zgorzkniałego liberała, agnostycyzującego w dobrym francuskim stylu – niewygrającego Panu Bogu ani nieobrażającego jego wyznawców, ale bardzo ostro dostrzegającego cierpienie, śmieszność, a czasem absurdalność ludzkiej egzystencji. Tyle że sam Kundera pisał nie tyle po to, by postawić kropkę nad i, ostatecznie roz-



strzygnąć którąś z zagadek życia, lecz żeby rozważać, opowiadać, pisać. Potrafił wypowiadać sądy *ex cathedra*, ale nieraz zaprzeczał w nich sam sobie i nie troszczył się o to. Czasem, jak Houellebecq, zapuszczał się w niewesołe rozważania nad ewolucją cywilizacji, spłyleniem ciekawości świata i banalizacją kultury. Czasem wypowiadał władczy sąd o tym, co jest istotą seksu, Baicha albo zdrady.

Jeżeli coś się w jego dorobku zestarzało, to stosunek do mediów, sławy i kultury masowej: miał swoje pięć minut po wyjeździe na Zachód, a potem drugie, po ekranizacji „Niežnośnej lekkości bytu” w 1988 r. przez Philipa Kaufmana, z której zresztą bardzo był niezadowolony: można było wtedy zobaczyć w „Paris Match” czy „The New Yorker” jego zdjęcie ze ściągniętymi brwiami, wysokim czołem i niepasującym do nich kartoflowatym nosem: Belmondo literatury, raczej gniewny bokser niż jowiszowy samotnik. Ale swoje po-

wieści pisał, nie nadskakując zmianom gustów, kołując w pojedynkę, nie troszcząc się specjalnie o tantiemy ani obecność w telewizjach śniadaniowych. Sam bodaj nigdy nie wspomniał o literackim Noblu, chociaż sięgano po jego nazwisko, ilekroć chciano skrytykować kolejnych laureatów i wskazać na zawodność werdyktów Akademii Szwedzkiej.

Na pewno sięgnę teraz po „Niežnośną lekkość bytu” w którymś z licznych wydań PIW: bo lepiej się ją czyta większym drukiem.

Wojciech Stanisławski



Wojciech Stanisławski

O, dobra rzeko (recenzja akwatyyczna)

Nie warto wyśmiewać inżynierów, pisarzy i społeczników, którym marzyło się osuszanie bagien oraz mnożenie na Wiśle tam i elektrowni. Tak wtedy myślano. Dziś wiemy, co stało się z Renem i Żółtą Rzeką. Nie musimy iść tą wybetonowaną drogą

W piśmiennictwie jak w lustrze spokojnej wody odbijają się nastroje i obawy epoki. Zwykle jednak można te nastroje poznać, wczytując się w konkretne dzieła. Jeśli widać je już w tafli witryny księgarni, to znaczy, że jakość przeszła w ilość i mamy do czynienia ze zmianą świadomości.

I jeśli sądzić po liczbie tytułów, ta zmiana właśnie się dokonuje: już nie tylko stosunkowo wąskie grono kajakarzy, hydrologów, działkowiczów, obieżyświatów, właścicieli domków nad jeziorem, którzy mają coraz dalej do brzegu, i ludzi, którzy do niedawna utrzymywali rodziny z turystyki, zdaje sobie sprawę, że ze stanem wód w Polsce jest źle. I że los żaby, z której została garstka proszku, nie jest być może tylko fantazją Jana Brzechwy.

Nie jest łatwo zabierać w tej sprawie głos między dwoma plemionami, które żywią dla siebie nawzajem tylko niechęć: „aktywistów klimatycznych”, którzy sprawiają wrażenie, jakby licytowali się na medialność akcji i użytych środków (zupa na obrazie, klej na asfalcie), i „tradycjonalistów”, którzy co roku powtarzają te same zatabaczone zdania: że, panie, ło, jak śnieg wali, co tu gadać o wzroście temperatur? I proszę, ulewa taka, że garaż mi zalało, a ci młodzi w kółko o suszy i pustynnieniu!

Żeby zobaczyć pustynnienie, wystarczy pojechać do Wielkopolski i czekać, aż wiatr przywieje lotną ścianę piachu. Żeby zrozumieć, że oberwania



Andrzej Chwalba, „Wisła. Biografia rzeki”, Wydawnictwo Literackie
Maciej Robert, „Rzeki, których nie ma”, Wydawnictwo Czarne
Jan Mencwel, „Hydrozagadka. Kto zabiera polską wodę i jak ją odzyskać”, Wydawnictwo Krytyki Politycznej

chmury nie są kontrargumentem na temat zmian klimatu, lecz jednym z przykładów tych zmian, wystarczy podręcznik geofizyki. Książki, które chcę wskazać, nie są podręcznikami: wyborem tematu wskazują na lęk przed stratą, której możemy doświadczyć.

Czy to różnica pokoleń, czy temperamentów zadecydowała o kształcie tych książek? Prof. Andrzej Chwalba napisał „biografię” Wisły: cenię ten chwyt retoryczny, to opisanie historii w formule życiorysu. Alternatywny tytuł mógłby brzmieć „Wisła w dziejach narodu i państwa polskiego” i może lepiej oddawałby bardzo profesorskie, solenne tempo narracji: dwa rozdziały o życiu flisaków, jeden o młynach, je-

den o promach. Bardzo ciekawy jest dla badaczy pamięci historycznej fragment o polsko-niemieckim sporze o Wisłę – nie tę na mapie, lecz tę w świadomości narodowej: kiedy i w jakim stopniu Wisła stała się polską rzeką na wzór niemieckiego Renu i rosyjskiej Wołgi?

Wisła jest jednak w tej „biografii” opisana przedmiotowo, przez rolę, które odgrywała w gospodarce, transporcie, obronności ludu, a z czasem narodu zamieszkującego jej dolinę. Andrzej Chwalba opisuje je z pozycji historyka: nie kwestionuje tych zastraszonań, zwraca uwagę na ich wielość, jeśli pisze o projektach regulacji Wisły w XIX i XX w., to odnotowuje jedynie,

że na przeszkodzie bardziej ambitnym projektom – budowy kilkudziesięciu progów, otamowania koryta rzeki – zawsze stawał brak środków.

To otamowanie, ba – ukrycie rzeki pod powierzchnią ziemi – udało się w przypadku wielu innych cieków, od dziennikarsko opisanej Łódki, przez zapomniane rzeki i potoki Warszawy, po posiadającą własną legendę lwowską Pełtew. O nich i o palecie fenomenów geologicznych, hydrologicznych i gospodarczych powodujących z(a)nikanie rzek pisze Maciej Robert, poeta, biblioman i wędrowiec, który jednak usiłował chyba włożyć do „Rzek, których nie ma” zbyt wiele: nader szczegółowe opisy mikropodróży korytami wysychających rzeczulek, świadectwa odczytania w literaturze polskiej (Barys, Czycz) i powszechnej, zdumiewającą sieć skojarzeń. Tę książkę można by niczym bryłę torfu lub śnieżkę ścisnąć mocno, upuszczając z niej sporo wody

i uzyskując zwarty, błyskotliwy esej. W obecnym jej kształcie podziękowania pod adresem jednego z wydawców („który skutecznie powstrzymał moje skłonności do dygresji i temperował moje upodobanie do szczegółów”) wydają się złożone nieco na wyrost.

I wreszcie „Hydrozagadka”, kolejny świetny tytuł Jana Mencwela po „Betonozie”: książka również meandrująca, o wymiarze reporterskim, klimatologicznym, historycznym, publicystycznym. Mencwel oprowadza nas po wysychających torfowiskach Kurpiów, rozlewiskach Biebrzy, wydrenowanych przez kopalnie odkrywkowe Kujawach, bombie ekologicznej, którą są namuły u podnóża wielkich tam. Podejmuje zasadniczą polemikę z koncepcją tworzenia wielkich, trans-europejskich szlaków wodnych, przywołując spójne argumenty, wskazując niedostrzegane przez entuzjastów skutki uboczne, kalkulując koszty,

opisując niepowodzenia wcześniejszych projektów „użyteczności” rzek – od Kolorado z zaporą Hoovera, cudem architektury, który za chwilę stanie się bezużyteczny z powodu wieloletniej suszy, po katastrofę Wołgi i Morza Aralskiego. Zarazem – a jest to rzecz bardzo ważna w sytuacji, gdy „ekolodzy” i „gospodarze” są skłonni tylko obrzucać się obelgami na Facebooku i w debatach – Mencwel zaprasza do rozmowy. Perswaduje. Nie popełnia kardynalnego błędu ahistoryzmu, nie wyśmiewa inżynierów, pisarzy i społeczników, którym marzyło się osuszenie bagien, racjonalna eksploatacja torfowisk i namnożenie na Wiśle portów, tam i elektrowni wodnych. Tak myślano wtedy – pokazuje. – Dziś wiemy, co stało się z Renem i Żółtą Rzeką. Nie musimy iść tą wybetonowaną drogą.

Warto wziąć do ręki zwłaszcza tę ostatnią książkę – nad jeziorem, które jeszcze jest.

Kacapka

Na wszelkich »ruskich« mówi się na Podlasiu właśnie – kacapy. Mówi się tak na tych, którzy mieszkają blisko granicy z Białorusią, a także na prawosławnych. Im dalej od Podlasia, im dalej na zachód, to kacapia się rozszerza i w potocznym odbiorze staje się całym Podlasiem.

Kacapka urodziła się w czasach PRL-u na Podlasiu, w biednej, chłopskiej rodzinie katolickiej. Wraz z rodzicami i młodszym rodzeństwem mieszkała w drewnianym domu, jakich było pełno w okolicy. Czym bliżej granicy z Białorusią, tym budynki były lichsze, gospodarstwa mniejsze, bardziej zaniedbane i prymitywniejsze. Marzyła o samodzielności i karierze, chociaż dokładnie nie wiedziała, na czym miałyby to polegać. Praca od rana do nocy towarzyszyła każdemu dziecku mieszkającemu na wsi, zaś jedynym usprawiedliwieniem absencji była choroba taka jak ospa wietrzna lub złamanie ręki. Albo nabożeństwo. Wielkim doświadczeniem były wyjazdy szkolne do PGR-ów. Dowiedziała się tam, że przykładanie się do pracy to naiwność, a cwaniactwo zaś świadczyło o przedsiębiorczości. Kacapka poznała tam smak grochówki, w jej

domu jedynie w niedzielę gotowano kapustę na kości. Dobre jedzenie świadczyło o marnotrawstwie i burżuizmie, jadło się nie dla przyjemności, a po to, aby mieć siły do pracy”.

Tak zaczyna się książka Alicji Owczarczuk zatytułowana „Kacapka”.

Z pozoru to literatura feministyczna, ale tylko z pozoru. Bo jest to opowieść o przełamywaniu kompleksów, o doświadczeniach może i błahych, ale stanowiących kamienie milowe w biografii tytułowej kacapki. To także opowieść o przebudzeniu, o odkrywaniu codzienności w jej niecodziennym wymiarze. To w końcu książka o ciekawości świata, która przyszła z opóźnieniem.

„Kacapkę” czyta się znakomicie. Napisana dobrym językiem, pełna różnorodnych obserwacji opowieść ukazuje sylwetkę kobiety, która nie chce się zamknąć w poznawczych czterech ścianach, która przygląda się światu z naiwnością i ze zdziwieniem dziecka.

Znakomita lektura na wakacje.



**Aleksander
Nalaskowski**



Anioł i małpa

Anioł siedzący na małpie. Tym właśnie jest człowiek. Anioł wie, gdzie ku dobru, małpa wie swoje. Człowiek z zasady nie idzie prostą drogą, umiesz komplikować sobie życie? Ja robię to znakomicie.

Rzecz naturalna kierować się małpimi potrzebami, potrzebami natury, popędami ciała. Tyle że chrześcijanin ulegający popędowi zmierza ku duchowej śmierci. Popędza się bydlę. Czasami do rzeźni.

Burza, deszcz ognia i siarki, zniszczenie, pożoga, głębokie rany. Takich symboli używa Biblia, by uświadomić człowiekowi, co się z nim dzieje, gdy trwa w złu. Gdybym – będąc grzesznikiem idącym z grzechu w coraz większy grzech – mógł zobaczyć stan swojego serca i duszy, aż tak bym się nie poranił. Ale zło zaciemnia oczy, stępią sumienie, znieczula, czyni człowieka bezradnym.

Kończę pisać książkę, nosi tytuł „Grzech nakazany”. O współczesnej kulturze, obyczaju, prawie. Utrwalone struktury zła, zwycięstwo małpy, codzienna bezsilność anioła. Nowożytność. Człowiek miarą rzeczy. Wieki walki ze słowem objawionym.

„Wysokie Obcasy” 11 lipca 2023 r., rubryka „Żyć lepiej”: „Przerwa na masturbację w pracy? Niektóre firmy to wprowadzają”. No przecież!

PUŁAPKA STWORZENIA

Przez ostatnie 400 lat, odkąd istnieją gazety, katolicyzm został wyparty z cywilizacji zachodniej – nie w tym sensie, że nie odgrywał żadnej roli w literaturze, sztuce, polityce czy nauce, ale w tym, że duch współczesnego świata był mu zdecydowanie przeciwny. Duchowi doczesności uległy wszystkie pozakatolickie formy chrześcijaństwa w każdej z ich niezliczonych odmian, od pierwszego odłamu powstałego pięć wieków temu po najnowszą sektę narodzoną przed pięcioma godzinami. Uległ

mu też chrześcijański humanizm. Zsekularyzowana na tej drodze cywilizacja nie ogranicza się już dziś do panowania nad światem zewnętrznym, rości sobie w miejsce religii prawo do decydowania o życiu wewnętrznym człowieka. Rości sobie prawo do całej ludzkiej istoty. Dekady temu marksizm polityczny czynił tak w ZSRS, Europie i Azji, dziś to samo robi ukształtowana przez marksizm kulturowy popkultura formująca serca i umysły kolejnych pokoleń. Katolicyzm został ostatnim duchowym bastionem.

Egoizm jest naturalnym odruchem, w cywilizowanych zbiorowościach kielznały go jednak zasady. Dziś egoizm stał się zasadą. Ukształtowanie człowieka będącego niewolnikiem pożądań było celem kolejnych nowożytnych rewolucji, a drogą do celu – instytucjonalizacja grzechu – odwrócenie obowiązujących wartości: rodzina niszczy, poliamoria uwalnia; wierność jest nudna, cudzołóstwo to przygoda; aborcja prawem człowieka, obrońcy życia to kryminaliści; katolicyzm to faszyzm, wierność prawdzie to fundamentalizm. Zaczęło się od legalizacji rozwodu, czyli zniesienia konstytucyjnej dla zachodniej cywilizacji instytucji nierozdzielności małżeństwa, dwie dekady temu prawie cały Zachód zalegalizował związki homoseksualne, teraz trwa walka o legalizację pedofilii.

W 1977 r. Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir i Jacques Derrida zaprezentowali publicznie przeciwko karaniu dwóch mężczyzn oskarżonych o stosunki seksualne z 12- i 13-letnimi dziećmi. Wzywali do uchylecia prawa kryminalizującego kontakty seksualne między dorosłymi i dziećmi, żądając, by „francuskie prawo uznało prawo dzieci i młodzieży do kontaktów z kimkolwiek, kogo wybiorą”. Ateizm rodzi się codziennie z łona nieczystego sumienia. Niewiara rodzi się z grzechu, nie z rozumu. Demoralizacja to program każdej rewolucji. Ideologie – gender, queer,



ROBERT TEKIELI

LGBT+ – zbudowano na pragnieniach osób o zaburzonej seksualności.

Mają w sobie piekło, jęczą: piekło to inni. Zamknięci na łaskę ślepi przewodnicy ślepych, imię ich Legion.

UŚMIECH ZOMBIE

Jestem z miasta. Chodzę wśród żywych słupów soli. Mijają mnie uśmiechnięte kamienie. Ludzie zamarznięci w środku. Sparaliżowani jak mięśnie twarzy aktorzy zrozpaczonej tym, że się starzeje.

Sparaliżowany ptak patrzy w oczy węża. On wmawia ci, że jest normalnie, że wszyscy stosują antykoncepcję, że aborcja jest nieuniknionym złem, rozwód rozwiązaniem. Dawid zdradził, by ukryć zdradę zabił. Logika grzechu, logika równi pochyłej.

Zbrodnia, przekupstwo, zawiść, zadróż. Żywa śmierć. Uśmiechnięte zombie. Wiem, co mówię, taki byłem. Przez dekady z upodobaniem wbijałem sobie nóż w serce, coraz bardziej kamienne. Wchodził jak w masło. Coraz głębiej szło ostrze. Ciałem się, w bliźnach całe przedramiona duszy.

Sznury, sznyty, pół mojego życia. Bruzda od sznura na szyi pozostała. Na sercu blizny wyryte nożem perwersji. Jak ci powiedzieć: oszukujesz się, wmawiając sobie, że możesz przeżyć, żyjąc w śmierci. Zamierając w grzechu, zgadzając się na niego, staczasz się. To nie stabilizacja, ludzisz się, myśląc, że w codzienności się ukryłeś. Dalej cierpisz, ból po prostu schodzi głębiej. Zło otępieja. Dalej się zabijasz, otępienie sprawia, że mniej czujesz.

Istotą działania grzechu jest to, że musimy stosować coraz silniejsze wzmocnienia, by osiągnąć ten sam poziom przyjemności. Kulka umieszczona na pochylej powierzchni zawsze w końcu się stoczy. Idziesz na dno, jeśli masz w sobie zgodę, by łamać choć jedno przykazanie, jeśli zaparłeś się i nie chcesz przebaczyć tym, którzy cię skrzywdzili. I tych den jest kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt. Zawsze można jeszcze bardziej się pogрузić.

AKCEPTACJA

Ale jest nadzieja. Trzeba zgodzić się na to, co jest. Wziąć багаż życia na swoje ramiona. Zaakceptować, że jestem odpowiedzialny za wszystko, co było. Nawet za to, na co nie miałem wpływu, jest moim ciężarem. Cudzy grzech, którego doświadczałem, nie umiję się bronić. Twarde to słowa. Stalowa mowa.

Zaakceptować to, co jest, to znaczy przyjąć dar pokory. W milczeniu znosić atakujące mnie konsekwencje własnych grzechów. Ukształtowałem swoje środowisko swoimi słabościami. Nie jestem za wszystko odpowiedzialny, ale za więcej, niż sam dzisiaj widzę.

Pogodzić się ze światem, nie wierzyć, nie buntować się ani nie uciekać w nałogi, w bezwład, nie poddawać się. Cokolwiek o sobie myślisz, możesz być swojego życia podmiotem. Choćbyś czuł się przedmiotem cudzych działań i był ofiarą cudzej przemocy. Szukaj, On na pewno pomoże.

Zawsze będę pamiętać, Jezus, że uratowałeś mnie, gdy już miałem sparaliżowany umysł, spętana wolę, gdy byłem rządzony przez namiętności nie przez rozum i sumienie. Dziś tylko w Tobie pokładam nadzieję. Sam z siebie potrafię jedynie założyć łyżwy i wejść z uśmiechem na pochyle lodowisko.

Żywię jednak nadzieję. Karmię ją tym, co we mnie najlepsze. Wygrywam i przegrywam. Znowu wszystkich wokół ranię. Walczę. Trzymając w ręku kamienne tablice, wypelzam na twarde gruntu. Bojaźliwy jestem i małej wiary. Przekonuję się o tym co dzień. Ty, Jezus, pstrykasz i milkną bałwany, naucz mnie uczyć się od Ciebie, utrzymuj mnie w Twojej niewinności. Wyzwalaj mnie co chwilę. Zmiłuj się nade mną, gdy znowu pobłędzę, gdy zaczynam ranić słowem, gdy przestaję być uważny w relacjach, gdy wchodzę w kompulsje. Na równej drodze postaw moją stopę. Każdemu, kto chce czy nie chce, mówię o Twoim zbawieniu. O tym, że Twoje słowa ułatwiają życie, prostując to, co pokręcone.

ZWYCIĘSTWO

Ciężaru egzystencji nie zdejmą z ramion małpy ani przyjemny na początku grzech, ani ucieczki w alko narko porno, nieunikniony nałóg staje się kolejnym ciężarem. Nieskuteczne są też drogi ucieczki społecznie akceptowalne. Na cierpienie będące skutkiem naszego poranienia grzechem, mojego i twojego wewnętrznego nieuporządkowania, nie jest odpowiedzią żadna ucieczka na zewnątrz ani przyjemności, ani kolejne związki, ani przyjaciele, ani szukanie sobie zajęcia. Nic z zewnątrz nie chroni przed ciężarem życia, troskami, samotnością, przed naszą skażoną pierwotnie naturą. Nic poza Bogiem. Wewnętrznej pustki skutecznie i ostatecznie nie zapełni stworzenie. Zwycięstwo małpy nad aniołem jest tu na ziemi właściwie przesądzone.

Wewnętrzna odbudowa autentycznego moralnego porządku musi w przypadku każdej osoby i w ludzkiej rodzinie skazanej grzechem pierwotnym odbywać się codziennie i musi pochodzić od Boga. Nasze bolączki – zarówno kryzysy osobiste, jak i kryzys cywilizacji – zostaną uleczone przez siły, które ich nie wywołały, czyli przez łaskę, moc góry. Ład wewnętrzny człowieka, sprawiedliwość w społeczeństwie, pokój między narodami – te wartości wpływają z ludzkich serc, są przejawem cnót i czystego sumienia. Ludzkiej solidarności nie da się zadekretować. Nie da się nakazać ludziom komunii, pojednania, jedności, nie można zmusić człowieka do przebaczenia. Nie da się wymusić altruizmu. A bez współczucia, bez bezinteresowności świat zamienia się w piekło. Bez religii Ziemia nie ma przyszłości.

Świat nie jest Systemem, któremu tylko można ulec. Robić swoje, uprawiać nasz ogródek, by wszystkim bliskim miło się żyło w prawdzie serca. Współpraca z łaską to jest mądrość i prostota.

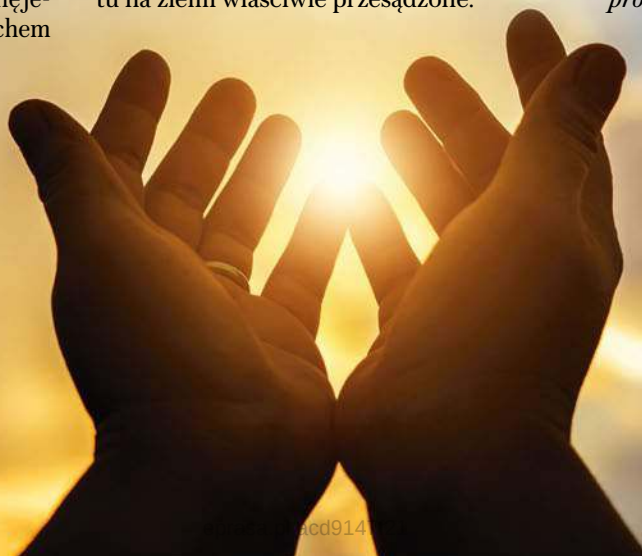
Gdy współpracuję z Tobą, Jezus, potrafię nawet udawać pokorę. Może nawet czasami stłumić pychę. Ucz mnie postępować w prawdzie o mnie i o mojej prawdziwej, wykręconej przez grzech naturze. Odważę się nawet powiedzieć: doświadczyć mnie, Panie, wystaw mnie na próbę. Znowu mijam słupy soli.

PS

Proszę o modlitwę za duszę Bohdana Urbankowskiego. Odszedł niedawno.

Jego autorstwa jest ten obraz człowieczego tandemu, w którym anioł próbuje kierować małpą ku dobru.

Żebyśmy spotkali się wszyscy w Królestwie



Paniom już dziękujemy



Wybór Miss Holandii to z reguły wydarzenie nieistotne, jedno z takich, które nadają się na temat dla rozrywkowych rubryk, ale w br. jest jednak inaczej. A to za sprawą pewnej/pewnego 22-letniego mężczyzny – Rikkie Valerie Kollé, który został uznany za najpiękniejszą kobietę Niderlandów i będzie je reprezentował na światowych zawodach z urody w Salwadorze



DARIUSZ MATUSZAK

To nie pierwszy taki przypadek. Podobnej sztuki dokonano w 2018 r. w Hiszpanii, gdzie za najpiękniejszą Hiszpankę uznano również transgenderowego, transseksualnego mężczyznę. Wtedy jednak nie było szumu. Potratowano to jako ciekawostkę, fanaberię postępująco postępowych Hiszpanów. Koronację Holendra Kollé

uznano jednak za wydarzenie ważne, znak czasów, potwierdzenie wielkiego trendu wymazującego pojęcie kobiecości, eliminującego panie z życia publicznego. Ktoś, komentując na Twitterze, napisał: „Mężczyzna został Miss Holandii 2023. Obrzydliwe. Przesłanie jest takie, że mężczyźni są lepsi w byciu kobietami niż same kobiety, że mężczyźni są piękniejsi niż kobiety. Kobiety są eliminowane pod pozorem postępu”.

Holenderski królowa piękności opowiada, że już w wieku 6 lat zaczął odkrywać, że jest dziewczynką, a w wieku 11 lat objawiła to światu. (Jeśli kogoś razi niezgodność form żeńskiej i męskiej, to może sobie to zdanie poprawić. Ja za postępowem nie nadążam, nawet się nie staram, ale pisząc, jakoś trzeba oddać „płynny”, tranzytowy stan, w którym znajduje się Miss Holandii). W wieku 16 lat Kollé zaczął faszerować się żeńskimi hormonami, a w styczniu br. przeszedł chirurgiczne tuningowanie na transkobietę czy też kobietę. Dokładnie nie wiadomo, choć posłanka Anna Maria Żukowska twierdzi, że transkobieta to kobieta. Wszystko jest naszą indywidualną prawdą, a kto nie wierzy, niech sobie poczyta dzieła francuskiego filozofa pedofila Jacques’a Derridy.

Mamy więc do czynienia z dekonstrukcją pojęcia kobiety i na to miejsce pojawia się coś, czego nikt nie jest w stanie zdefiniować. Może transkobieta, może osoba transeksualna, transplciowa kobieta czy jakaś tam. Zjawisko dekonstrukcji dotyczy też mężczyzn, ale na nich nam mniej zależy, więc nie będziemy zajmować się ich krzywdami. Niech sobie panie wygrywają w konkursach męskiej urody czy zawodach policzkowania się Punch-Down. Tak naprawdę nikt nie ma pojęcia, co to znaczy transkobieta. Czy to taki mężczyzna jak Kollé, który faszerował się hormonami, powycinał strategiczne organy i poprzerabiał je na niby takie, jakie mają kobiety? Czy też może być nią taki zwykły facet, byle miał tylko papiery homologacyjne? Jak trener kanadyjskiej kadry trójboju siłowego Avi Silverberg, który oznajmił, że jest kobietą, dostał na

to kwity i nawet nią był, ale tylko przez godzinę, akurat by pobić kilka rekordów w zawodach pań. Postępowy Kanadyjski Związek Trójbój Siłowego do zawodów dopuszcza zawodniczki na podstawie dokumentu tożsamości i nikt nie sprawdza, jaka jest ich prawdziwa biologiczna płeć. Silverberg to człek z poczuciem humoru, bo pozbawił rekordów niejakiego Anne Andresa, który jest mężczyzną po przeróbkach na kobietę i przez ostatnie cztery lata wygrywała wszystkie zawody. Aż zjawiała się jeszcze silniejsza kobieta – rzeczony trener Silverberg.

TRANSPŁYWAK NR 472 I OFIARA FASZYSTEK

Panie powinny zacząć powoli przyzwyczajać się do myśli, że są anachroniczne, niemodne, przestarzałe jak lampy naftowe czy mercedes 123, popularnie zwany beką, i teraz będą zastępowane przez nowsze, ładniejsze, silniejsze, sprawniejsze transkobiety. Ot, weźmy taką amerykańską transeksualistkę Lię Thomas, która niedawno w akademickich rankingach pływaków plasowała się na 492. miejscu. Teraz po zabiegach – jak to nazywają postępowi: korekty i uzgodnienia płci – jest numerem jeden wśród pań i faworytką do startu w 2024 r. na igrzyskach w Paryżu.

Wychodzi więc na to, że jakaś normalna, normatywna dziewczyna niepotrzebnie poświęciła 15 lat życia, przepływała tysiące kilometrów, mdlała i płakała, pokonując samą siebie. Na nic pot, krew i łzy, wyrzeczenia. Nie lepiej ci było balować do rana, zamiast zrywać się na treningi na szóstą rano? I tak nie pojedzie na igrzyska, bo jej miejsce zajmie najnowsza zdobycz postępu i tolerancji – transpływak numer 492 Thomas.

Albo taki Valentina vel Fabrizio Petrillo. Choć podaje się za kobietę, to jeszcze nie wyrobił sobie homologacji, które urzędowo to potwierdzają. Włoch przez lata uprawiał sport, sukcesów nie miał, ale jak raz w 2019 r. przypomniał sobie, że jest kobietą. Włoska federacja lekkoatletyki dopuściła go do startów, więc wygrywa co się da i bije rekordy pań w kategorii powyżej 54 lat. Jak się okazało, Petrillo wygrała z samymi „faszystkami”. Panie zażądały, by chociaż nie wchodził na zawodach do ich szatni i pod natryski, więc przygoto-

wano dla niej oddzielne pomieszczenia. W odpowiedzi na dyskryminację Petrillo oznajmiła, że jest traktowany jak Żydzi w nazistowskich Niemczech, a przeciwnicy jego startów i pluskania się z paniami są jak Hitler. Sława rekordzisty Petrillo dotarła aż na Wyspy Brytyjskie, więc BBC nakręciło o nim film. Petrillo zwierza się w nim, że zakładał ciuszki własnej matki, a nawet kradł jej żonę.

To kwestia czasu, aż objawi się jakaś nowa, nieznaną, ale bardzo utalentowaną tenisistka. W 1998 r. siostry Williams oświadczyły, że mogą toczyć wyrównane pojedynki z paniami sklasyfikowanymi poniżej 50. miejsca w rankingu federacji ATP i rzuciły wezwanie. Nikt się nie zgłaszał, aż znalazł się niemiecki zawodnik Karsten Braasch, znany głównie z tego, że w przerwach palił papierosy. Do pojedynku doszło w Sydney. Sklasyfikowany w trzeciej setce Braasch zagrał po secie z każdą z siostr. Serenę pokonał 6:1, a Venus 6:2, wypalając dwa papierosy między setami. Po latach wspominał: „Do tego meczu przygotowywałem się, pijąc piwo i grając w golfa. Obie mogą mówić, że ograła ich 600. rakietą świata, bo na takim poziomie zagrałem”.

Mecz wybił siostrą pomysł rywalizowania z paniami. Dlaczego jednak teniści nie mieliby ogrywać pań, zwłaszcza że stawki znacznie tłustsze, niż jakaś tam premia za rekord Kanady w trójbój. Zwycięzcy singla w Wimbledonie zgarniają po 2 mln funtów. W 1972 r. tenisistka Billie King po zwycięstwie w US Open wywalczyła zrównanie wysokości nagród. Tenis kobiecy przyciąga tę samą widownię co męski, więc nie ma powodu do większego premiowania pań. Ale to najważniejsze zwycięstwo King już niedługo może się okazać bez znaczenia. Ot, znajdzie się jakiś znany tylko fachowcom tenisista nr 267, który poczuje się panią, zmiecie z kortów US Open Igę Świątek i zgarnie 2,6 mln funtów. Na nic zdadzą się protesty Martiny Navrátilovej, lesbijki wyklętej przez środowiska postępu za obronę kobiecego sportu.

KUP PAN WNUKA

Żadne bałamutne, ociekające słodką obłudą opowieści o samorealizacji, tolerancji nie zmieniają istoty tego, co się dzieje: świat popada w szaleństwo ideologii

LGBT+ i wszyscy stajemy się jej ofiarami, a zwłaszcza kobiety i dzieci. Mamy do czynienia z destrukcją dotychczasowych norm kulturowych i społecznych, a na ich miejsce jest zasysana pustka. Nicość, o czym przekonał się nawet Aleksander Kwaśniewski. W rozmowie z oficerem politycznym TVN od transpłciowości Piotrem Jaconiem prezydent ośmielił się mówić, iż marzy o wnukach. Ale jak to! Jaconi jasno dał Kwaśniewskiemu do zrozumienia, że jego marzenia są nieprawidłowe. Staremu dziadowi wnuków się zachciało. Co prawda córka dzieci nie chce, co – jak zauważył Jaconi – jest „niemacierzyństwem”. Ale niech się pan prezydent nie przejmuj, bo być może będzie mógł sobie wnuki zamówić i kupić. Nie ma kobiet, nie ma więc matek ani macierzyństwa, ale może jest jakieś transmacierzyństwo i będzie transdziaństwo dla prezydenta. Kupi sobie wnuki podobnie jak korespondent BBC w Rzymie Mark Lowen, który ze swoim żonem (taki mąż i żona w jednym, powiedzmy – transżona) sprawił sobie w Kanadzie dziewczynkę. Na specjalne życzenie wyhodowywano mu ją w wynajętej od jednej pani macicy.

Na naszych oczach są niszczone normy cywilizacyjne i życie coraz większej liczby kobiet. Nawet nie piszemy o tysiącach trwale okaleczonych dzieci – ofiar szaleństw transpłciowości. To temat na wiele makabrycznych opowieści. Z powodu indywidualnych problemów psychicznych, jak dysforia płciowa, kaprysów i mniemań, a także oszustw – jak u gwałcieli, którzy opowiadają, że są paniami, by trafić do kobiecych więzień – ludzkość porzuca normy społeczne i rodzinne. Przed szaleństwem trzeba się bronić. Ci, którzy namawiają dzieci poniżej 15. roku życia do zmiany płci, powinni być traktowani jak pedofile. Ci, którzy je faszeryją blokerami hormonów, chirurgicznie okaleczają, powinni trafić za kraty jak bandyci. A my musimy bojkotować imprezy i akcje, które wspierają obłęd unicestwiania płci, tożsamości, cywilizacji. Po takim bojkocie największy browar świata Anheuser-Busch stracił na wartości giełdowo 27 mld dol., gdyż umyślił sobie, że jego piwo reklamować będzie nie zrównoważony psychicznie i emocjonalnie transpłciowy aktorka Dylan Mulvaney. I tego się trzymajmy.

Wimbledon mityczny

Jak wielkoszlemowy londyński turniej tenisowy wykreowano na najważniejsze i najbardziej prestiżowe wydarzenie na świecie



STANISŁAW JANECKI

Turniej tenisowy w londyńskim Wimbledonie został pomyślany tak, żeby różnił się od innych tej rangi imprez sportowych jak Wielka Brytania od pozostałych państw europejskich. Jak samochody produkowane w Wielkiej Brytanii różnią się od tych z kontynentu. Brytyjskość – i dotyczy to także turnieju tenisowego w Wimbledonie – to marka sama w sobie: tradycja, maniery, symbole, styl i swego rodzaju staroświeckość.

Chyba tylko w Zjednoczonym Królestwie popularna, ale jednak tylko jedna z wielu dyscyplin sportu może być czymś wręcz arystokratycznym. Zespół kortów funkcjonuje niczym Westminster, Tower Bridge czy British Museum. I gra musi się tam toczyć na trawie, specjalnej trawie, czyli obecnie na podłożu obsianym życią trawą (we wrześniu każdego roku cały zespół kortów obsiewa się ośmioma tonami nasion trawy). Trawa jest pielęgnowana przez cały rok i przycinana do wysokości 8 mm. Ale przede wszystkim jest pielęgnowana gleba pod trawą, bo to ona decyduje o jakości kortu.

Dawno temu wszystkie turnieje wielkoszlemowe były rozgrywane na trawie, ale tradycję i fason utrzymał tylko Wimbledon (przed nim najpóźniej poddał się turniej Australian Open – w 1988 r.).

Na trybunach i innych obiektach kompleksu obowiązuje etykieta, dress code i specjalne maniery. Nic dziwnego, skoro honorowym patronem imprezy jest aktualny władca, na korcie centralnym znajduje się łóżko królewskie, a podczas turnieju majestat dworu reprezentuje zwykle następca tronu (obecnie książę Walii Wilhelm) lub jego żona (obecnie księżna Walii Katarzyna). W 2023 r. księżnej Kate towarzyszył król kortów, weteran Roger Federer (zdobywca ośmiu



tytułów na wimbledońskiej trawie). Aż do 2003 r. zawodnicy wchodzący na kort centralny kłaniali się lub dygali przed łóżem królewską. Potem nie było to już obowiązkowe, a jednak niektórzy gracze pozostali zwolennikami tradycji, gdy w łóżu znajdował się ktoś z rodziny królewskiej. Niby Australia też jest formalnie częścią brytyjskiej wspólnoty, ale wielkoszlemowy turniej w Melbourne ma się tak do Wimbledonu jak wieża Eiffla w Las Vegas do tej z Paryża.

Ktoś, kto reprezentuje Polskę w finale Wimbledonu, osiąga nie tylko sportowy sukces, lecz także staje się częścią legendy tego miejsca. Jako pierwsza wpisała się w nią Jadwiga Jędrzejowska, finalistka turnieju w 1937 r. Tytuł w Wimbledonie to jak tytuł szlachecki, choć oczywiście zdarzają się osoby dostające go na wyrost, szczególnie gdy nie przestrzegają reguł. W 2022 r. organizatorzy zastosowali prewencję, żeby tytuły nie dostały się w niegodne ręce, czyli wobec Rosjan i Białorusinów, reprezentujących państwa odpowiedzialne za okrutną wojnę na Ukrainie. Ale tenisowe federacje ukarały też tych godnych, nie przyznając im punktów rankingowych.



Fot. ADRIAN DENNIS/AP/East News

GWIAZDY W CENIU TURNIEJU

Wimbledon musi być wyjątkowy, niezwykle i legendarny. Pewnie dlatego od 1899 r. organizatorem zawodów jest szacowny The All England Lawn Tennis and Croquet Club, choć krykiet tam już nie jest grany, mimo że od XIII w. przeszedł ewolucję od sportu chłopskiego do elitarnego. W 2011 r. krykiet zniknął, gdyż powstała nowa spółka zarządzająca – The All England Lawn Tennis Club. To „all England” nie jest przypadkowe, bowiem turniej wimbledoński to są mistrzostwa Anglii, a jednocześnie nieoficjalne mistrzostwa świata na trawie (taki tytuł jest przyznawany zwycięzcy).

Wszędzie poza Wimbledonem pewnie widzowie kłaniałyby się obecnym na trybunach gwiazdom filmu, muzyki, teatru, mistrzom innych dziedzin sportu, ale na Wimbledonie każdy może poczuć się gwiazdą. Obecni na trybunach aktorzy, np. Kate Winslet, Emma Corrin, Tom Cruise, Jason Statham, Tom Hiddleston, Daniel Kaluuya, wokaliści Cliff Richard, Ellie Goulding czy szefowa „Vogue’a” Anna Wintour to tylko

gwiazdy rozpoznawalne, ale w Wimbledonie ich obecność to coś zwykłego. Bo tam gwiazdy raczej podbijają swoją wartość, a niekoniecznie Wimbledon zyskuje na ich obecności. To w końcu królewskie miejsce nie tylko formalnie. A brytyjczyści zwycięzcy mogą liczyć nawet na tytuł szlachecki przyznawany przez władzę, jak było np. w przypadku Andy’ego Murraya.

Jeśli jesteśmy w Londynie i Wimbledonie, to do grających pań zwracamy się „miss” (panna) lub „mistress” (pani), ale mężczyźni mają już tylko nazwisko (bez „mister”).

W Wimbledonie nawet truskawki są niezwykle. Te ze śmietaną przemieniają się w pokarm bogów szczególnie wtedy, gdy są popijane szampanem. Jedna porcja (ok. 10 owoców) kosztuje 2,5 funta i ta cena od lat się nie zmienia. Podczas turnieju zjada się ponad 30 ton truskawek. Są odmiany Elsanta, uprawianej w hrabstwie Kent na Hugh Lowe Farms. Od ponad ćwierćwiecza zaopatruje ona Wimbledon. Przy okazji opowiada się legendy o tym, jak to sadzonki są monitorowane przez czujniki, jak to kontrolowany jest skład gleby, jak wymyślne są sposoby nawożenia, jak precyzyjne podlewanie. Żeby było jeszcze bardziej wyjątkowo, owoce mają być zbierane jak najpóźniej, by o 5.30 dotrzeć na korty. Tam odrywa się szypułki, pakuje do pojemnika i polewa śmietanką (podczas turnieju zużywa się jej ok. 10 tys. litrów), by jeszcze przed pierwszymi meczami były dostępne. Do truskawek pasuje szampan lub likier Pimm’s (za kieliszek trzeba zapłacić ok. 10 funtów). Jeśli ktoś zgłodnieje, może kupić kanapkę za 6,30 funta albo hot doga za 4,80, choć to trywialne pożywienie i wielu uważa, iż Wimbledon go nie uszlachetnia.

MASZYNKA DO ZARABIANIA

Barwą podstawową wimbledońskiego turnieju nie jest biel, która obowiązuje zawodników (do 2023 r. także bielizna musiała być biała), ale zieleń i fiolet. Nie bardzo wiadomo, co znaczą, ale tajemniczość tylko wzmacnia respekt dla tych akurat barw. Do 2005 r. sędziowie i osoby podające piłki występowały w strojach z dominacją zieleni i fioletu, lecz potem zastąpiły je granatowe stroje według projektu Ralpha Laurena, choć z naszywkami w historycznych kolorach.

Oczywiście Wimbledon jest też zwykły, wypełniony przeciętnymi ludźmi, zapachem ryby z frytkami i pizzy, ze spocnymi turystami, ale o tym się właściwie nie mówi. Mówi się za to o wysokich cenach biletów, choć raczej nie dotyczy to szczęśliwców na trybunach. Najtańsze bilety kosztują 27 funtów – na Ground Passes, co gwarantuje oglądanie meczów na kortach od 3 do 19. Im więcej dni turnieju, tym ceny biletów niższe – po prostu na mniejszych kortach odbywa się wtedy mniej spotkań. Za wejściówkę na cały dzień na centralny kort w pierwszym dniu trzeba zapłacić 80 funtów. Na kortach centralnym oraz o numerach 1–3 ceny rosną z każdym kolejnym dniem turnieju. Za finał gry pojedynczej kobiet i mężczyzn trzeba więc zapłacić 255 funtów. Wychodząc z kortu, można kupić pamiątkę, np. jeden z 30 tys. ręczników z logo Wimbledonu – w 2023 r. za jedyne 45 funtów. Kto nie dostanie się na trybuny, może się rozłożyć na trawie przed wielkim ekranem na ścianie kortu nr 1. Absolutnie wyjątkowym wynalazkiem Wimbledonu są bilety do kolejki po bilety na korty.

Wyjątkowość polega na tym, że nikt nie uważa tego za coś złego, za wyraz kiepskiej organizacji, lecz za coś szlachetnego i dającego się zdyskontować nie tylko towarzysko.

Turniej w Wimbledonie to znacznie większy interes niż dochody z biletów, pamiątek czy truskawek ze śmietaną. Choć ok. 450 tys. widzów płacących co roku za bilety robi wrażenie, także na księgowych turnieju. To po prostu dochodowy biznes. Między 1877 r. a 1920 r. tak nie było, ale potem zwyciężyły reguły wolnego rynku. W 1920 r. powstała spółka The All England Lawn Tennis Grounds Ltd., żeby nie tylko zarządzać, lecz także zarabiać. Najpierw sprzedano obligacje w cenie nominalnej 50 funtów – za 75 tys. funtów. Miały być wykupione po 1947 r. Właściciel obligacji miał prawo zakupu biletu (po nominalnej cenie) na miejsce na korcie centralnym i na każdy dzień zawodów. Obligacje sprzedawały się jak ciepłe bułeczki, więc jeszcze był dodruk, z czego zebrano kolejne 25 tys. funtów. Gdy sprzedawano obligacje, nie liczone, że wybuchnie wojna. Ale wybuchła i na korty spadły niemieckie bomby. Na odbudowę potrzeba było dodatkowych pieniędzy i te pochodziły z obligacji wyemitowanych w 1948 r. (2,1 tys. sztuk po 50 funtów) z datą wykupu dopiero w 1959 r. Obligacje są emitowane do dziś, wciąż znajdują nabywców i stanowią ważne źródło dochodów.

W Wimbledonie zarabia się na sprzedaży praw do telewizyjnych transmisji. Pieniądze pochodzą też od sponsorów, choć na obiektach sportowych nie widać reklam. Nazwy sponsorów są umieszczane na specjalnej tablicy (niewielkiej) na ścianie kortu nr 1. Firmy się o to biją, bo Wimbledon to prestiż, mimo że nigdzie nie można zobaczyć logo firm czy fotografii ich towarów i usług. Wystarczy, że mają stosowną licencję i mogą się nią chwalić. Do tego dochodzi sprzedaż pamiątek, która od 45 lat przynosi coraz większe dochody. Licencjonowane są produkty mające związek z Wimbledonem, głównie stroje, buty, torby, rakiety, piłki, ręczniki. Ale są też wyroby luksusowe, szczególnie chętnie nabywane przez przybyszów z zagranicy, nawet gdy w ich krajach są tańsze i te luksusowe marki stamtąd właśnie pochodzą (jak Francja, Włochy czy Hiszpania). Działa też sklep internetowy z wszystkim tym, co można kupić w sklepach ulokowanych w budynkach kortu centralnego i kortu nr 1.

WIELKA MITOLOGIZACJA

Wimbledon musi mieć swoich herosów. Raczej nie zalicza się do nich zwycięzców turniejów rozgrywanych w XIX w. i na początku XX w., bo jeśli ktoś wygrał w danym roku, w następnym tylko bronił tytułu w finale, nie przechodząc całej drabinki.

Nieprzypadkowo Szwajcar Roger Federer siedział w 2023 r. obok księżnej Walii, bo to on zdobył tam osiem tytułów i wtedy, gdy zasiadł obok księżnej, był rekordzistą. Wśród kobiet najwięcej zwycięstw odnotowała Martina Navrátilová – dziewięć. Herosi czy tylko bohaterowie są szczególnie dobrze widziani na Wimbledonie, bo to oni wzmacniają jego legendę, są wisienką na torcie podawaną przez organizatorów, wzmacniają prestiż Londynu, a także Wielkiej Brytanii.

Żadnego turnieju wielkoszlemowego nie jest łatwo wygrać, ale Wimbledon jest najstarszy, uznawany za najbardziej nobilitujący i jest w jakimś sensie osobny, czyli wyjątkowy nie tylko ze względu na grę na trawie. Jest trochę taki jak monarchia brytyjska (najbardziej podziwiana i obserwowana na świecie, choć królestwo funkcjonuje jeszcze całkiem sporo), jak brytyjska arystokracja – ekscentryczna i niedzisiejsza, jak najlepsze brytyjskie uniwersytety, jak brytyjski rock i w ogóle popkultura, jak brytyjska moda, jak ruch lewostronny i inny

niż na kontynencie system miar i wag. I jak brytyjskie poczucie humoru, czasem demonstrowane na kortach przez graczy potrafiących je naśladować, jak Novak Djoković czy Iga Świątek, jak Roger Federer czy Rafael Nadal.

Wimbledon to oczywiście wielki sport, bardzo dobrze nagradzany (w 2023 r. zwycięzcy otrzymają po 2,35 mln funtów), dający swego rodzaju certyfikat oryginalności i sportowej jakości. Ale Wimbledon to także zjawisko kulturowe, obyczajowe, w jakimś sensie etnologiczne.

Wimbledon bardzo skutecznie mitologizuje sam siebie i wykracza poza sport. Mitologizuje tak, że wywołuje chęć demitologizacji, która wtórnie jeszcze bardziej mitologizuje turniej.

W tym sensie to bardzo skuteczny wehikuł kreowania uprzywilejowanej i wyróżnionej rzeczywistości. Nawet gdy poziom sportowy innych turniejów wielkiego szlema w konkretnym roku przewyższa ten na Wimbledonie, to te zawody są punktem odniesienia i kryterium jakości. Działa tu podobny mechanizm jak w przypadku drogich brytyjskich aut. Zwykle nie są one warte tyle, ile kosztują, bo łatwo można znaleźć nie gorsze, za to znacznie tańsze samochody produkowane na kontynencie. Te brytyjskie przeważnie są drogie w utrzymaniu i potrzebują bardzo równie drogich części zamiennych. Ale są otoczone specjalną aurą, odwołującą się do wielu mitów o brytyjskiej wyjątkowości, klasie, stylu i odmienności. Wszystko jedno, czy ma to pokrycie w rzeczywistości, ważne, żeby wielu ludzi w to wierzyło. I taka też jest aura towarzysząca turniejowi w Wimbledonie.

Choć Brytyjczycy oczywiście dbają, żeby mit nie był tylko kwestią wiary, żeby co roku było coraz więcej wydarzeń i ludzi, o których dużo się mówi. A turniej zawsze musi być wielki, pytanie czy najważniejszy.

Wszędzie poza Wimbledonem pewnie widzowie kłaniali by się obecnym na trybunach gwiazdom filmu, muzyki, teatru, mistrzom innych dziedzin sportu. Ale nie na Wimbledonie. Dlaczego? Bo tam każdy może poczuć się gwiazdą



Efektywność energetyczna w firmie?
Zrób audyt z TAURONEM i oszczędzaj!

biznes.tauron.pl/audyty

Wielkie odliczanie przed Drużynowym Pucharem Świata we Wrocławiu

Polska reprezentacja chce wrócić na żużlowy tron

Rozgrywany w latach 2001–2017 DPŚ stał się polską specjalnością. Okazało się, że dysponując najlepszą ligą świata na żużlu, jesteśmy w stanie niemal co roku wystawić najbardziej wyrównany, mocny skład. Polscy liderzy, tacy jak Tomasz Gollob czy Jarosław Hampel, mieli wsparcie w kolegach, którzy choć w swoich klubach często ustępowali nieco zagranicznym gwiazdom, to zebrani w jedną drużynę byli nie do pokonania. Najlepsi żużlowcy z takich państw jak Szwecja, Dania, Australia czy Wielka Brytania nie mieli po prostu tak mocnego i równego wsparcia od swoich rodaków z drugiej linii, a to gwarantowało powodzenie Biało-Czerwonym. 17 edycji DPŚ przyniosło naszej kadrze 8 złotych, 3 srebrne i 1 brązowy medal. Druga w tym zestawieniu Dania wygrała ten turniej ledwie cztery razy.

Niestety dla nas, od 2018 r. postanowiono zmienić formułę zawodów o drużynowe mistrzostwo świata na żużlu i rywalizację w pełnych składach zastąpiono rywalizacją w parach, a zawody nazwano Speedway of Nations (SoN). W ciągu sześciu edycji SoN Polakom nie udało się jednak wygrać tych zawodów. Mimo znakomitej jazdy najlepszego żużlowca świata, którym od kilku sezonów jest Bartosz Zmarzlik, tym razem odstawali od niego poziomem partnerzy. Trzy srebrne medale to z pewnością zdobycz poniżej naszych ambicji i apetytów rozbudzonych przez lata rywalizacji w formule DPŚ.

Polscy kibice przyjęli zatem z dużą satysfakcją wiadomość o kolejnej rewolucji organizacyjnej w zawodach o tytuł najlepszej narodowej drużyny globu. Odr. formula DPŚ, czyli zawodów rozgrywanych w pełnych składach, będzie organizowana co trzy lata, naprzemiennie z zawodami cyklu SoN. Dodatkowo na miejsce pierwszego turnieju finałowego powracającego DPŚ wybrano Wrocław. Oznacza to, że nasza reprezentacja



Setki tysięcy sympatyków speedwaya w Polsce odliczają już dni do największego turnieju żużlowego tego lata, który w dniach 25–29 lipca odbędzie się we Wrocławiu. Drużynowy Puchar Świata po sześciu latach wraca do swojej dawnej formuły, w której rywalizują reprezentacje narodowe w pełnych składach. Formuły, w której polska reprezentacja odnajdywała się najlepiej i wygrywała w niej aż ośmiokrotnie

otrzymała przywilej automatycznego startu w finale, w którym 29 lipca zmierzy się w czwórmeczu ze zwycięzcami dwóch półfinałów (25 i 26 lipca) oraz triumfatorami zawodów barażowych (28 lipca). Przed kibicami we Wrocławiu zatem nieładna gratka – cztery arcyciekawe turnieje, w których wystartują najmocniejsze zespoły narodowe w swoich najsilniejszych składach. W pierwszym półfinale na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu zobaczymy Brytyjczyków, Czechów, Niemców i Szwedów, dzień później odbędzie się rywalizacja Australijczyków, Duńczyków, Finów i debiutujących w DPŚ Francuzów. Zespoły, które zajmą w półfinałach drugie i trzecie miejsce, zmierzą się 28 lipca w barażu o ostatnie miejsce w wielkim finale. Impreza zapowiada się zatem niezwykle emocjonująco.

Wspierana przez Orlen reprezentacja Polski jest oczywiście typowana jako główny faworyt do złota. Selekcjoner naszej kadry Rafał Dobrucki będzie musiał wybrać pięciu podstawowych zawodników na finał. Obecność w zespole Bartosza Zmarzlika jest poza dyskusją, pewne miejsce wydaje się mieć także inny uczestnik cyklu GP, wrocławianin Maciej Janowski, a także wracający do znakomitej dyspozycji po kontuzji Janusz Kołodziej. O resztę miejsc i uznanie w oczach trenera Rafała

Dobruckiego rywalizują tacy zawodnicy, jak bracia Przemysław i Piotr Pawlicy, Dominik Kubera, Szymon Woźniak czy Patryk Dudek. Wszyscy zaprezentowali się bardzo dobrze w ostatnim sparingu, który przed finałem DPŚ nasza kadra odbyła z zespołem reszty świata. Nasz zespół bez Zmarzlika, Janowskiego i Kołodzieja wygrał 48:42 z drużyną, której liderem był Australijczyk Jason Doyle, a partnerowali mu m.in. Max Fricke, Andrzej Lebediew czy Anders Thomsen.

Polscy kibice mają zatem uzasadnione powody, by wierzyć, że nasza kadra wróci po sześciu latach na żużlowy tron.





Finał Ligi Narodów Siatkarzy – celujemy w zwycięstwo

Umieją wygrać z każdym

Zacznie się od trzęsienia ziemi, a potem emocje będą narastać – właśnie według tej słynnej receptury Alfreda Hitchcocka na udany dreszczowiec rysuje się scenariusz turnieju finałowego Ligi Narodów Siatkarzy w Trójmieście. Rywalem w ćwierćfinale Biało-Czerwonych będzie Brazylia. Ewentualna porażka zakończy nasze marzenia o wygranym tych rozgrywek, na co czekamy już od 11 lat

Hala na granicy Gdańska i Sopotu gościła już w 2011 r. turniej finałowy Ligi, która wówczas nazywała się Światowa i miała nieco inną formułę. Mimo że byliśmy gospodarzami tamtego turnieju, to zdołaliśmy wywalczyć w nim trzecie miejsce, co przyjęto wówczas z dużą satysfakcją, gdyż było to pierwsze miejsce na podium tych wymagających rozgrywek dla naszej kadry. Rok później w Sofii nasz zespół prowadzony przez włoskiego selekcjonera Andreę Anastasiego wygrał Ligę Światową. W składzie ówczesnych triumfatorów brylowali Bartosz Kurek (który został MVP turnieju finałowego w stolicy Bułgarii), a także Marcin Możdżonek (najlepszy blokujący) i Zbigniew Bartman (najlepszy atakujący). Od tamtej pory nasi siatkarze zdołali dwukrotnie wygrać mistrzostwo świata (2014 i 2018), ale triumfu w Lidze Światowej, przemianowanej w 2017 r. na Ligę Narodów, nie powtórzyli, choć niemal co roku zaliczali się do ścisłej czołówki tych rozgrywek, zdobywając w 2019 i 2022 r. brązowy, a w 2021 r. srebrny medal.

Nie oszukujemy się jednak – reprezentacja siatkarzy to zdecydowanie najlepszy

polski zespół narodowy, od którego zawsze oczekuje się walki o najwyższe laury. To perła w koronie ekip wspieranych przez największego sponsora polskiego sportu – Orlen – i duma polskich kibiców. Z pewnością kilka czy kilkanaście lat temu przed meczem z Brazylią nie byłibyśmy uważani za faworytów tego starcia, a dziś dla nikogo nie będzie zaskoczeniem, jeśli pokonamy Canarinhos w ćwierćfinale. Świadczy o tym dotychczasowa droga Biało-Czerwonych w tegorocznych rozgrywkach Ligi Narodów. Jako gospodarz imprezy finałowej mieliśmy zapewnione w nim miejsce, ale ostateczny wynik pokazał, że nasz zespół nie chciał korzystać z tego przywileju za darmo. Nasz selekcjoner Nikola Grbić mógł za to spokojnie budować formę drużyny, czasem poeksperymentować ze składem czy dać szansę zmiennikom. Widać było jednak wyraźnie, że Biało-Czerwoni rozkręcają się w turnieju na turniej, czemu dali wyraz w ostatniej odsłonie walki przed wielkim finałem w Trójmieście, czyli podczas meczów na Filipinach. Choć pobyt tam zaczął się od nieprzyjemnego incydentu, gdyż nasi siatkarze musieli ewakuować się

Program finału Ligi Narodów 2023 w piłce siatkowej mężczyzn w Trójmieście

Ćwierćfinały

Środa, 19 lipca

- 17.00 Stany Zjednoczone – Francja
- 20.00 Włochy – Argentyna

Czwartek, 20 lipca

- 17.00 Japonia – Słowenia
- 20.00 Polska – Brazylia

Półfinały – sobota, 22 lipca

- 17.00 USA – Francja/Włochy – Argentyna
- 20.00 Japonia – Słowenia/Polska – Brazylia

Mecz o trzecie miejsce

– niedziela, 23 lipca

- 17.00 przegrani z półfinałów

Finał – niedziela, 23 lipca

- 20.00 zwycięzcy półfinałów

z hotelu z uwagi na zagrożenie pożarowe, to nawet to nie wybiło ich ze zwycięskiego rytmu. To właśnie tam pokonaliśmy 3:1 naszego najbliższego rywala – Brazylię – a w ostatnim meczu tegoroczną rewelację rozgrywek – Japonię, której nie daliśmy w żadnym z trzech setów zdobyć nawet 20 pkt.

Czy po takich wynikach można spodziewać się czegokolwiek innego niż celowania w zwycięstwo? Warto dodać, że kiedy ten numer tygodnika trafi do państwa rąk, będziemy już znali końcowe rozstrzygnięcia w Lidze Narodów w piłce siatkowej kobiet. Grająca coraz lepiej i także wspierana przez Orlen reprezentacja polskich siatkarek przystępowała do rywalizacji w turnieju finałowym w amerykańskim Arlington z pierwszego miejsca po fazie grupowej. Sklasyfikowane obecnie na siódmym miejscu w światowym rankingu Polki grają coraz lepiej i ewidentnie widać, że zespół prowadzony przez Stefano Lavariniego ma ogromny potencjał.

PARTNER DODATKU





Cyfrowa Polska to już nie jakieś mrzonki, ale codzienność

Cyfryzacja jest obecna właściwie już w każdej dziedzinie naszego życia – od urzędów, edukacji, ochrony zdrowia po przemysł obronny i codzienne obowiązki, zakupy czy komunikację, ale co ważne, wpływa ona i zasadniczo zmienia nasz sposób funkcjonowania



Otym, że cyfryzacja mocno wkracza w nasze życie, przekonaliśmy się w czasie pandemii koronawirusa, kiedy wprowadzone ograniczenia zmusiły nas do bycia online, i to nie w przenośni, ponieważ wirtualne spotkania, zdalna praca i szkoła były rzeczywistością. Innowacje cyfrowe stają się nieodłącznym elementem transformacji, wskutek czego wpływ technologii i nowych rozwiązań cyfrowych zaznacza się dziś w każdym obszarze działalności człowieka. O przyszłości gospodarki zdecyduje zatem nie sama cyfryzacja, ale jej największe zaawansowanie. „Jak wykorzystać technologię na rzecz zrównoważonego rozwoju?” – to pyta-

nie znalazło się w tytule debaty zorganizowanej przez redakcję ekonomiczną Grupy Medialnej Fratria w ramach V Forum wGospodarce.pl. W dyskusji wzięli udział: wiceminister cyfryzacji Paweł Lewandowski, Marta Mikliszańska, head of group public affairs & ESG w Allegro, Małgorzata Stanowska, head of public policy CEE Uber.

MNIEJ PAPIEROWYCH BARIER

Istotne znaczenie w procesie cyfryzacji gospodarki mają wszelkie ułatwienia prowadzenia przedsiębiorczości opartej na nowych technologiach, mnóstwo rozwiązań podatkowych, zachęt, reali-

zowanych przez Ministerstwo Cyfryzacji oraz Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii. O wprowadzeniu cyfrowych rozwiązań mówił wiceminister Paweł Lewandowski.

W Ministerstwie Cyfryzacji wychodzimy z założenia, że przede wszystkim powinniśmy zlikwidować bariery administracyjne dla obywateli i przedsiębiorców. Uważamy, że dodatkowe obciążenia, wzory, jakieś dokumenty, podpisy, cała ta papierologia – ona utrudnia, angażuje zwłaszcza małych i mikroprzedsiębiorców, bo to jest dla nich duży wysiłek. W dużej firmie nikt tego nie zauważa aż tak bardzo, chociaż przy optymalizowaniu procesów też bierze się takie

rzeczy pod uwagę i dlatego stawiamy na e-usługi. Mamy mObywatela, czyli aplikację, której używa już 10,5 mln ludzi, z profilu zaufanego korzysta już prawie 16 mln osób – wyliczał minister.

W nowoczesnych firmach transformacja cyfrowa powinna obniżać koszty działalności, zwiększać dostęp do nowych rynków zbytu i usprawniać procesy produkcyjne, co umożliwi zwiększenie nakładów na inwestycje. Takie właśnie cele przyświecają Ministerstwu Cyfryzacji, które podejmuje działania na rzecz cyfryzacji przedsiębiorstw. Jednak jak zauważył minister Lewandowski, w tym sektorze gospodarki jest jeszcze wiele do zrobienia.

Chcemy, żeby przedsiębiorstwa się cyfryzowały. Mamy bardzo niski poziom digitalizacji przedsiębiorstw w Polsce. Poza dużymi przedsiębiorstwami i pewnymi średnimi, które są związane z branżą cyfrową, to w wielu przedsiębiorstwach poza pakietem Office i Symfonią niczego szczególnego się nie używa zauważa podsekretarz stanu. – Mam takie poczucie, że jeżeli będzie wysoka świadomość cyfryzacji i wiedza na cyfrowe tematy wśród obywateli, to ta wiedza naturalnie będzie się przenosiła na cyfryzację przedsiębiorstw. Jeśli ludzie będą wiedzieli, że jakieś cyfrowe rozwiązanie lub ułatwienie istnieje, to będą chcieli tego używać, czy to w małym przedsiębiorstwie, mikroprzedsiębiorstwie, czy prowadząc jednoosobową działalność gospodarczą.

W strategii Ministerstwa Cyfryzacji zawarto wiele ciekawych pomysłów. Mowa o rozwoju kompetencji cyfrowych i ambitnych planach, by do 2030 r. 6 proc. pracowników znalazło pracę w sektorze ICT, a przy tym, by 30 proc. z nich stanowiły kobiety.

Kobiety chcą pracować w IT mówił podczas debaty minister Lewandowski. Zauważyłem bardzo ciekawy trend. Mieszkam w takim miejscu, gdzie pracują sami informatycy „na wygnaniu”, czyli ludzie, którzy nagle zrozumieli, że nie muszą pracować w Warszawie, kupili domy, nie wracają do biur, wolą wziąć dwa lub trzy etaty zdalnie. Zauważyłem też modę, że bardzo wiele kobiet z uzupełnieniem innych zawodów: z politologii, finansistki, przekwalifikowuje się np. na testerów kodu. To jest stosunkowo prosty do nauczenia się zawód, ale wysokopłatny i nie trzeba przejść całego cyklu studiów, żeby go wykonywać.



Paweł
Lewandowski



Marta
Mikliszańska



Małgorzata
Stanowska

Tu pojawia się niezwykle ważna inicjatywa związana z polskim rynkiem kwalifikacji. Polska Rama Kwalifikacji (PRK) to układ odniesienia dla kwalifikacji, które są nadawane w Polsce, zawierający osiem poziomów. Umożliwia on odniesienie ich do poziomów kwalifikacji Europejskiej Ramy Kwalifikacji. Dość szczególny jest poziom piąty, który jest zdefiniowany jako poziom kształcenia specjalistycznego w ramach kształcenia wyższego, jednak poza systemem studiów (poziom

powyżej matury i równocześnie poniżej tytułu licencjata). To wiąże się z wieloma ograniczeniami, jeśli chodzi o korzyści dla kandydatów czy właścicieli kwalifikacji oraz proces kształcenia na tym poziomie, np. z brakiem dostępu do publicznego finansowania, a tytuł dyplomowanego specjalisty nie ma charakteru dyplomu uczelnianego. Jest pomysł, by to zmienić.

Dlatego chcemy wprowadzić nową ramę kwalifikacji – piątą ramę kwalifikacji. Bo mamy kilka ram kwalifikacji zgodnie z rozporządzeniem Unii Europejskiej i czwarta z nich to jest zawód technika, czyli osoby kończącej technikum, a potem pojawia się szósta rama kwalifikacji, czyli inżynier z wykształceniem wyższym. W Polsce nie uczy się w ogóle w piątej ramie kwalifikacji, czyli nie kształci się tak trochę pomiędzy. W różnych ramach to jest posttechniczne wykształcenie, tzn. posttechnikum, albo już uniwersytety prowadzą takie studia i te studia nie kończą się tytułem licencjata czy magistra, tylko dyplomem. I to są roczne, dwuletnie studia, które dadzą wyższą ramę niż technik, ale niższe niż inżynier czy licencjat – wyjaśniał wiceminister cyfryzacji Paweł Lewandowski.

WIĘCEJ KWALIFIKACJI

Rozwiązania cyfrowe mogą zatem pomóc zwiększyć liczbę wykwalifikowanych pracowników, a tym samym mają wpływ na transformację procesów i modeli biznesowych.

Dobrym przykładem jest Allegro, firma nie tylko handlowa, lecz także cyfrowa, technologiczna, funkcjonująca na rynku prawie 25 lat, która oprócz głównego celu, którym jest zapewnienie bezpiecznych, wygodnych zakupów i dużego wyboru produktów, realizuje też od wielu lat misję wspierania klientów i firm na platformie, których jest już prawie 140 tys., z czego ponad 95 proc. to są małe i średnie przedsiębiorstwa. Firma podejmuje wiele działań na rzecz zrównoważonego rozwoju.

– W grupie Allegro odpowiadam za zrównoważony rozwój. To bardzo obszerny temat, bynajmniej nie tylko środowiskowy, i cieszę się, że w Allegro podchodzimy do niego holistycznie oraz że jest to wręcz wpisane w strategię biznesową firmy. Skupiając się na

kluczowych obszarach, na pewno warto wymienić dostępność, czyli dbałość o uwzględnianie osób ze szczególnymi potrzebami. Naszym celem jest, by cały proces zakupowy był dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Przykładowo, już jakiś czas temu zapewniliśmy kupującym możliwość połączenia wideo z konsultantem języka migowego, a nasze automaty paczkowe projektowaliśmy w porozumieniu z organizacjami pozarządowymi, które współpracują z osobami z niepełnosprawnościami. Wciąż też audytujemy nasze usługi, wykorzystując nowe technologie także do tego, by nasza oferta była jak najbardziej włączająca. Drugi z kluczowych obszarów to konsekwentne ograniczanie emisji i mierzenie śladu węglowego czy np. monitorowanie ilości odpadów generowanych w procesie zakupowym. W tej kwestii także korzystamy z wielu rozwiązań cyfrowych i współpracujemy ze start-upami, by jak najefektywniej zarówno mierzyć ślad węglowy, jak i usprawniać cały łańcuch dostaw. Tego typu procesy cieszą się obecnie ogromną popularnością, a Allegro obrało sobie za cel bycie liderem nie tylko w myśleniu o tego rodzaju aspektach, lecz także uwzględnianiu konkretnych rozwiązań – mówiła Marta Mikliszańska z Allegro.

Firmy funkcjonujące w środowisku cyfrowym muszą nieustannie przekształcać i rozwijać to środowisko zarówno ze względu na zmieniające się wymagania klientów, jak i warunki biznesowe, by umiejętnie i szybko reagować na zmiany. W przypadku Allegro to nie było trudne.

– Zaraz po wybuchu wojny na Ukrainie w lutym ub.r. bardzo szybko podjęliśmy dużo wspólnych działań pomocowych. Jako platforma zakupowa chętnie angażująca się w działania charytatywne z miejsca ruszyliśmy do pracy, by jak najszybciej umożliwić jak najszerszą pomoc przez specjalne zbiórki. Zebrałiśmy 11 mln zł, które zostały przekazane konkretnym organizacjom pozarządowym działającym na rzecz uchodźców zarówno na Ukrainie, jak i w Polsce – opowiada Marta Mikliszańska. – Blokowaliśmy konta wszystkich kupców z Rosji i Białorusi, w iście ekspresowym tempie przetłumaczyliśmy też naszą platformę na język ukraiński. Sądzę, że umiejętność elastycznego, szybkiego

działania, gdy często nadzwyczajna sytuacja wymaga tego od biznesu i ludzi, to coś, co wyróżnia Allegro.

GDY START-UP STAJE SIĘ LIDEREM

Nowoczesne firmy, stawiając na transformację cyfrową, mają możliwość zastosowania narzędzi do szybkiego opracowania nowych produktów i usług, a także pozwalających eliminować zakłócenia i przewidywać zmiany. Różnorodność regulacji w poszczególnych krajach może jednak sprawiać trudność, co widać na przykładzie firmy Uber. Sama idea przedsiębiorstwa jako firmy, która jest pośrednikiem między kierowcami a pasażerami i udostępnia platformę do tego, żeby przewozić ludzi z punktu A do punktu B z wykorzystaniem technologii w transporcie pasażerskim, tak naprawdę jest zupełnie inaczej interpretowana, a co za tym idzie – regulowana na wszystkich możliwych rynkach na świecie. Zwłaszcza w Europie regulacje w sektorze przewozu osób wymusiły na firmie zmiany i dostosowanie się w dużej mierze do rynku tradycyjnych taksówek.

– Obecnie Uber to globalna korporacja, ale wyrastaliśmy z małego start-upu. Szybkie tempo wzrostu musieliśmy jednak pogodzić z regulacjami na poszczególnych rynkach. To nie jest proste, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z różnymi regulacjami w różnych krajach. Nawet regulacje unijne, na które czekamy, mają ten element niepewności, ponieważ nie wiadomo jeszcze, do jakiego stopnia i w jakim wymiarze będą transponowane na polski rynek. Uber jest platformą, która daje elastyczną możliwość zarabiania bardzo dużej liczbie małych i średnich przedsiębiorców. W Polsce bardzo jest rozwinięty model flotowy, gdzie to partnerzy firmy Uber zatrudniają kierowców. Ci jednak wciąż najbardziej cenią elastyczność i możliwość decydowanie, kiedy i jak długo chcą jeździć. Ten model się sprawdza i jest wyczekiwany także na rynkach, gdzie jeszcze nas nie ma – prowadzimy wiele rozmów z przedstawicielami różnych krajów, w których rynek ridesharingowy nie jest jeszcze tak rozwinięty, a regulacje nie uwzględniają technologicznych rozwiązań. Dlatego tak ważna jest współpraca sektora pry-

watnego i publicznego. Na koniec dnia korzystają na tym pasażerowie, kierowcy, a także lokalna gospodarka – mówiła Małgorzata Stanowska, reprezentująca firmę Uber. – Z dużym zadowoleniem przyjęliśmy ostatnie regulacje dotyczące przewozów taksów. Po pierwsze, uważamy, że one podnoszą poziom bezpieczeństwa i w dużej mierze są tożsame z postulatami, które publicznie komunikowaliśmy. Co więcej, regulacje powinny być takie same dla wszystkich uczestników rynku, ale nie mogą spowalniać jego rozwoju. Dzięki technologii przewozy są dziś znacznie bezpieczniejsze – wyjaśniała.

NA POCZĄTKU DROGI

Odpowiednie technologie umożliwiają przedsiębiorstwom dostosowanie się do zmieniających się warunków i umiejętne stymulowanie rozwoju i innowacji. Przedsiębiorstwa, które chcą się rozwijać i działać na rzecz optymalizacji łańcuchów dostaw, muszą wykorzystywać innowacyjne technologie, które zapewnią im nie tylko przewagę konkurencyjną, lecz także odporność. W dzisiejszym świecie jedynie taka strategia wydaje się słuszną.

Objeżdżamy świat, zachęcając dużych producentów, by lokowali swoje fabryki w Polsce, i jednym z naszych sukcesów jest fabryka Intel. Będziemy kontynuować te działania – deklarował wiceminister cyfryzacji Paweł Lewandowski. – Trzeba pamiętać, w którym miejscu łańcucha dostaw jesteśmy – tam, gdzie wszystko gotowe ma do nas przyjechać. Nam chodzi o to, by budować coraz więcej zdolności. Z cyfryzacją, kompetencjami cyfrowymi w gospodarce jest tak jak z przemysłem zbrojeniowym: najpierw sprowadzamy 120 czołgów z Korei, następnie sami zaczynamy wytwarzać do nich części zamienne, żeby je serwisować w Polsce, a dalszym etapem jest produkcja tych czołgów na licencji u nas. Posiadanie licencji powoduje, że mamy prawo do rozwoju technologii i nabywamy kompetencje. Trzeba pamiętać, że kraje azjatyckie najpierw były montowniami, później same zaczynały produkować, bo były tańsze, a następnie same zaczęły wymyślać innowacje i nowe technologie. My znajdujemy się na podobnej ścieżce, ale musimy przyspieszyć.

Notowała **Joanna Buczyńska**

Nie drażnij żmii!

*Z Irlandii węże wygnał św. Patryk.
U nas nikt tego nie zrobił – i dobrze, bo nie
krytykując działań świętego, w naszym
ekosystemie mają one swoje miejsce.
I nie zmieniają tego mnożące się tego lata
opowieści o gadach kłusujących ludzi*

W Irlandii rzeczywiście nie ma węży – jedynym rodzimym gadem, zresztą rzadkim, jest jaszczurka żyworódka. My mamy znacznie ciekawiej: jeden gatunek żółwia – żółwia błotnego, sześć gatunków jaszczurek: zwinkę, żyworódkę, padalca zwyczajnego, padalca kolchidzkiego – gatunek wydzielony na podstawie badań DNA kilkanaście lat temu, jaszczurkę zieloną – gatunek południowoeuropejski, jego obecne występowanie w Polsce jest niepotwierdzone, jaszczurkę murówkę – również



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

południową, spotykaną na Dolnym Śląsku, oraz pięć gatunków węży: zaskrońca rybolowa, zaskrońca zwyczajnego, węża Eskulapa, gniewosza plamistego i żmiję zygzakowatą.

Żmija zygzakowata to nasz jedyny gatunek jadowity. Czy jej ukąszenie może być groźne lub nawet śmiertelne? Gdzie najczęściej żmije występują i jak uniknąć ugryzienia?

Dokonajmy najpierw krótkiego przeglądu pozostałych gatunków węży i nauczmy się je rozpoznawać, a przede wszystkim odróżniać od żmii.

Fot. Shutterstock

DUSICIEL I WODNY WĄŻ

Zaskroniec rybolów to gatunek południowo-wschodni. Jego występowanie w rejonie naszej granicy z Czechami, bardzo zresztą nieliczne, potwierdzono niedawno. Szanse na spotkanie z nim są więc minimalne.

Inaczej jest z zaskroncem zwyczajnym. To wąż najczęściej chyba spotykany w naszym kraju. Dorasta do 1,5 m długości. Znakomicie pływa i nurkuje, jego ulubionym pokarmem są żaby. Duży, najeżony okaz wygląda imponująco, a widziany w wodzie pasuje bardziej do Amazonii niż do naszej strefy klimatycznej. Stalowo-szary, a jego znakiem rozpoznawczym są dwie, dobrze widoczne żółte plamy na skroniach, od których wywodzi się jego nazwa. Niejadowity, jednak złapany do ręki może ugryźć (uwaga na zakażenie). Zagrożony zaskroniec wydziela również smrodliwą ciecz.

Wąż Eskulapą jest u nas wyjątkowo rzadki – występuje prawdopodobnie skrajnie nielicznie jedynie w Bieszczadach. To nasz największy gad – na południu Europy spotyka się okazy przeszło dwumetrowe, w Polsce nieco tylko mniejsze. Choć nie zalicza się do dusicieli, lecz do węży położów, to swoją zdobycz, w tym gryzonie i nietoperze, przed połknięciem dusi, oplatając luskowanym ciałem. Oprócz rozmiarów od innych gatunków odróżnia go jednolite, maskujące, ciemnobrązowe ubarwienie.

Gniewosz płamisty jest również rzadki. Niejadowity i niegroźny, bywa mylony ze żmiją, posiada bowiem podobny wzór na grzbiecie. Z racji ubarwienia nazywany miedzianką lub mylnie żmiją miedzianką. Od żmii odróżnia go okrągła żrenica, nadająca mu łagodny wygląd.

Wszystkie gady, w tym wszystkie węże – również żmija zygzakowata – podlegają w Polsce prawnej ochronie gatunkowej i wszystkie są cennymi ciekawostkami przyrodniczymi, odgrywającymi istotną rolę w ekosystemie.

ŻMIJA ZYGZAKOWATA

Żmija zygzakowata (*Vipera berus*) to jedyny gatunek jadowitego węża w Polsce (a już na południu Europy, w krajach często wybieranych na urlop, jest ich kilkanaście). Znakiem rozpoznawczym jest zygzak na grzbiecie, nazywany także wstęgą kainową. Ubarwienie żmii jest zmienne. Spotyka się osobniki szare, brązowe, a nawet czarne, u których zygzak jest niewidoczny.

Żmiję można pomylić z gniewoszem płamistym, posiadającym na grzbiecie podobny wzór. U żmii jest on jednak często wyraźniejszy. Poza tym w przeciwieństwie do gniewosza, mającego – jak wspomniałem – okrągłą żrenicę, żmija ma żrenicę w kształcie pionowej kreski, nadającą jej spojrzeniu groźny wygląd. Spojrzenie wężowi w oczy bywa jednak trudne.

Zagrożona żmija niekiedy syczy i robi to zaskakująco głośno.

Dawniej słowo „żmija”, a raczej „zmija” – to drugie zmieniono, uważając je za niepoprawne i gwarowe mazurzenie, choć było raczej starą formą ogólnosłowiańską – było synonimem słowa „wąż” i oznaczało zwierzę ziemne lub też pełzające po ziemi.

JAD I KŁY

Natura wyposażyla jadowite węże w różne systemy wstrzykiwania jadu. Służą one do polowania i obezwładniania ofiar oraz

obrony. Znane są gatunki egzotyczne plujące rozpylającym się strumieniem jadu, którym celują w oczy zdobyczy lub napastnika. Spotykane są gatunki z zębami (potoczna nazwa „kły” jest zoologicznie nieprawidłowa) nieruchomo tkwiącymi w paszczy lub ukrytymi w jej głębi.

Zęby jadowe żmij, w tym naszej zygzakowatej, są rozwiązaniem najdoskonalszym i najsukuteczniejszym. Kiedy paszcza jest zamknięta, spoczywają złożone w zagłębieniach. W momencie ataku rozkładają się jak ostrze sprężynowca i wysuwają do przodu. Uderzenie jest bardzo szybkie, choć – jak stwierdzono – cios dobrze wyszkolonego boksera jest szybszy. Zęby żmij mają także specjalny kanalik, którym jad niczym podczas zastrzyku jest wtłaczany do ciała ofiary.

ZAGROŻENIE

Zdecydowana większość opowieści o żmii jest przesadzona, niekiedy bardzo grubo. Rozmawiałem osobiście z osobą, którą żmija nie tylko podobno zaatakowała, lecz także długo goniła z wielką szybkością, sadząc długimi susami i skacząc przy tym na wysokość głowy uciekającego, żeby wpić mu się w szyję. Ciekawe i nieprawdziwe.

Ugryzienia żmii zygzakowatej w Polsce rzeczywiście się zdarzają. Jest to jednak dla węża ostateczność. Najpierw stara się uciec. Później ostrzega – czasem wydając głośny syk. Dopiero kiedy nie widzi innych możliwości, atakuje. W samoobronie, człowiek nie jest bowiem jego naturalną ofiarą. Do ugryzień dochodzi więc najczęściej, kiedy np. staniemy na żmii, siądziemy, spróbujemy ją złapać itp.

Do niebezpiecznego kontaktu z tym gadem może dojść nie tylko na łonie przyrody.

9 lipca br. żmija wpelzła na taras domu jednorodzinnego w Boguszowie-Gorcach. Podobnych sytuacji w tym dolnośląskim mieście było w ostatnim roku kilka. Za każdym razem węże były odławiane przez straż pożarną i wywożone do lasu. Jednak wydarzenie z początku lipca miało inny przebieg: zanim przyjechała straż, żmija ukąsiła dziecko. Konieczna była szybka interwencja rodziców, którzy nie zwlekając, zawieźli dziecko na pogotowie. Dzięki tym działaniom dziecko przeżyło.

W przypadku osób dorosłych zatrucie organizmu toksynami jadu żmii również może mieć ciężki przebieg. Tak było w czerwcu, gdy został ugryziony turysta na szlaku w rejonie szczytu Kiczory w Beskidzie Śląskim. Gdy na miejsce dotarli ratownicy GOPR, okazało się, że mężczyzna jest w ciężkim stanie. Wydarzenia tak opisują goprowcy w mediach społecznościowych: „Po przybyciu na miejsce okazało się, że mężczyzna ukąszony przez żmiję jest już we wstrząsie anafilaktycznym (wymioty, brak logicznego kontaktu, centralizacja krążenia)”. Pacjent został na noszach przetransportowany do karetki górskiej, a ta przewiozła go w miejsce, gdzie mógł być podjęty przez zespół ratownictwa medycznego.

W Tatrach ataki żmij zdarzają się bardzo rzadko. Góry o surowym klimacie nie są dla tego gatunku odpowiednim środowiskiem życia. Niemniej jednak 15 czerwca br. w godzinach porannych TOPR odebrał zgłoszenie dotyczące ukąszenia żmii. Akcja była wyjątkowo dramatyczna, gdyż ofiarą ataku była 14-letnia dziewczyna, a zdarzenie miało miejsce w trudno

dostępnym terenie pod szczytem Nosala. To, co w mieście jest proste: szybki transport autem do szpitala, w górach jest rzeczą niemożliwą. Do wypadku TOPR skierował helikopter. Dziewczyna została zabrana ze szlaku wprost na oddział ratunkowy szpitala w Zakopanem. Jednocześnie, na wypadek komplikacji, został powiadomiony zespół w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie-Prokocimiu. Na szczęście pomoc udzielona w stolicy Tatr okazała się wystarczająca.

ZAPOBIEGANIE

Żeby zmniejszyć ryzyko ugryzienia, trzeba przestrzegać kilku reguł. Przede wszystkim nie łapać węży, żadnych. Można im zrobić krzywdę, poza tym łapanie gatunków chronionych jest zakazane. No i nie łapiąc, unika się sytuacji, że będzie to akurat żmija.

Żmije lubią tereny ciepłe i słoneczne: kamieniste zbocza, skraje lasu, nagrzane leżące kłody itp. Potencjalnie atrakcyjne mogłoby być dla nich wpełznięcie pod rozłożony koc – nieco podobnie, rozkładając płachty, pod którymi temperatura jest wyższa, stwarza się dla rzadkich węży Eskulapa miejsca rozrodcze. Na rozłożenie koca lepiej więc wybrać miejsce z niską trawą, dającą możliwość sprawdzenia, co się w niej kryje, a jeżeli zostawiamy koc na jakiś czas, dobrze jest go podnieść i sprawdzić przed ponownym położeniem.

Umiejętność wyszukiwania miejsc nasłonecznionych umożliwia żmijom życie daleko nawet na

Zęby jadowe żmij, w tym naszej zygzakowatej, są rozwiązaniem najdoskonalszym i najskuteczniejszym. Kiedy paszcza jest zamknięta, spoczywają złożone w zagłębieniach. W momencie ataku rozkładają się jak ostrze sprężynowca i wysuwają do przodu

Można przekonać się o tym samemu. Przyjrzyjmy się w okresie zimowym zwykłej drodze o dwóch skarpach. Ta o wystawie północnej jest zawsze zmrożona, pokryta śniegiem, a przynajmniej szronem. Zima trwa na niej – i w jej głębi – nawet kilka miesięcy dłużej i jest znacznie surowsza. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja na południowej, na której w tym samym czasie mogą kwitnąć pierwsze wiosenne kwiaty i w której głębi temperatura nigdy nie spada poniżej zera.

Żmije lubią ciepło, nie tylko kiedy zimują, wspomniane miejsca nasłonecznione zawsze zwiększają prawdopodobieństwo spotkania z tym gadem. Najlepiej jednak zachować ostrożność podczas wędrówek w plenerze. Zwłaszcza jeżeli nie poruszamy się ścieżką, lepiej iść wolniej, rozglądając się i patrząc, gdzie stawia się stopy. W takich miejscach lepsze są wyższe i długie buty,

grubsze spodnie, a na grzybach kijek, którym przepaszamy teren przed sobą. A propos grzybów – lepiej nie wkładać rąk w miejsca, w których nie widzimy, co się tam znajduje, np. gęstą trawę, i dobrze sprawdzić, co zamierza się chwycić dłonią. Znam osobę – i nie jest to anegdota – która już schylała się po grzyba, kiedy ten odpelznął, w rzeczywistości był bowiem zwiniętą żmiją.

Najliczniej żmije występują w Karpatach i na wschodzie, jednak spotyka się je także w innych częściach kraju.

W RAZIE UGRYZIENIA

Przypadki śmiertelnych konsekwencji ugryzienia są bardzo rzadkie. Po pierwsze, w ogóle rzadko do nich dochodzi – dla węża to ostateczność, sam dużo wówczas ryzykuje, a także

pozbawia się jadu, którego wytworzenie jest dla organizmu kosztowne. Część ugryzień jest „sucha”, tzn. jad nie zostaje wstrzyknięty. Niekiedy wąż uderza, ale zęby nie przebijają ubrania lub butów.

Kiedy jednak ktoś zostanie ugryziony, powinien jak najszybciej udać się do lekarza. Nawet jeżeli pisze się, że osoby dorosłe nie powinny być zagrożone, każdy organizm reaguje indywidualnie. Nie znamy wszystkich swoich, niekiedy ukrytych uwarunkowań czy dolegliwości, które mogą zostać spotęgowane działaniem jadu. Lekarz jest więc konieczny – oprócz narażenia życia zagrożeniem jest również martwica, do której może dojść w miejscu ugryzienia.

Najbardziej zagrożone są dzieci i osoby starsze. Poza środkami przeciwstrząsowymi po ugryzieniu może być podana antytoksyna jadu żmii – o tym wszystkim powinien zdecydować lekarz, ponieważ w niektórych przypadkach antytoksyna może spowodować wstrząs anafilaktyczny.

Uważajmy więc na węże, w tym na żmije – dla swojego bezpieczeństwa, a także dla bezpieczeństwa tych naprawdę fascynujących zwierząt, których obecność składa się na różnorodność naszej przyrody.



Fot. Dore Sutton/Biophoto/East News

północy Europy i Azji, gdzie inne węże nie potrafią przetrwać. Węże są zwierzętami zmiennościowymi. Okresy zimy mogą przetrwać tylko nieaktywne w letargu, w miejscach, w których nie zamarzną. Żmije potrafią rozpoznać takie miejsca jesienią, przed nadejściem mrozów. Na zimowanie wybierają zbocza wystawione do słońca. Nawet w największe mrozy temperatura jest na nich znacznie wyższa niż na zboczach północnych.

GORĄCE POLITYCZNE WAKACJE Z PUBLICYSTAMI **SIECI**



CZYTAJ 50% TANIEJ

Korzystaj z e-prenumeraty **SIECI** i **HISTORII**
oraz dostępu do Premium + **wPolityce.pl**

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



W Sejmie znów głośno o polskich lasach

Przypomnijmy – wraz z początkiem br. odbyło się posiedzenie unijnej Komisji Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności (ENVI). Jej zadaniem było zaopiniowanie wniosków Parlamentu Europejskiego w sprawie zmiany traktatów. Pośród nich była i ta, która wstrząsnęła leśnikami i wszystkimi miłośnikami lasów w Polsce. Okazało się, że komisja przyklepała propozycję, by w artykule, w którym jest mowa o tzw. kompetencjach dzielonych, obok różnorodności biologicznej, odbudowy i ochrony ekosystemów, w szczególności tych o największym potencjale wychwytywania i składowania dwutlenku węgla oraz neutralności klimatycznej i przystosowania się do zmian klimatu, dodać... leśnictwo! A w skrócie: o lasach w Polsce zdecydują urzędnicy w Brukseli.

– Można by odnieść wrażenie, że nie ma problemu, że to wszystko, co się dzieje wokół polskich lasów, jeśli chodzi o stronę instytucji europejskiej, jest tylko dyskusją, która ma doprowadzić do tego, by zwiększać nasze zasoby, zwiększać naszą suwerenność – mówił Edward Siarka, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, podczas 78. posiedzenia Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej.

– Tymczasem okazuje się, że mówimy o rzeczywistym problemie. To realne działania, które zostały podjęte przez

Pierwsza połowa 2023 r. jest zdecydowanie niespokojna dla Lasów Państwowych. Temperatura dyskusji o przyszłości polskich lasów wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie. A to za sprawą pojawiających się co i rusz propozycji unijnych regulacji dotyczących leśnictwa, którym zdecydowanie sprzeciwiają się leśnicy

Parlament Europejski. Odbywają się kolejne spotkania, które wyraźnie wskazują, że to, co do tej pory było naszą suwerenną polityką, czyli polityka leśna, która nie jest wpisana do traktatu jako kompetencja Unii Europejskiej, ma stać się w przyszłości kompetencją dzieloną. Taki jest zamiar, o tym się mówi w sposób otwarty na poziomie europejskim. Mówimy o tych zagrożeniach, które wynikają właśnie z tej propozycji – kontynuował Edward Siarka.

Rzeczywiste konsekwencje wprowadzenia w życie unijnych propozycji zdemaskował Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych: – Plany Komisji Europejskiej, nazywane strategią bioróżnorodności czy Fit for 55, to rozwiązania, które odbierają Polsce nadzór nad gospodarką leśną i w konsekwencji stanowią największe w powojennej

historii zagrożenie dla całej polskiej gospodarki. Pod hasłami ochrony klimatu KE chce doprowadzić do wyłączenia polskich lasów z działalności gospodarczej i czynnej ochrony przyrody. Gdyby wszystkie unijne propozycje weszły w życie, przy obecnych przepisach Polska musiałaby wprowadzić zakaz wstępu do co trzeciego lasu, obowiązywałby także zakaz zbierania grzybów, nawet spacerować w lesie można byłoby po ściśle wyznaczonych terenach. Wyłączenie znacznej części lasów z gospodarki leśnej oznaczałoby załamanie



Fot. Shutterstock

POLSKIE LASY TO ŁAKOMY KĄSEK

Polskie lasy zaliczają się do czołówki europejskiej pod względem zasobności (czyli ilości drewna na jednostce powierzchni lub prościej – liczby i rozmiarów drzew). Zasoby drewna to ponad 2 mld m³! Taki stan zawdzięczamy nie tylko położeniu w strefie klimatu umiarkowanego, lecz także konsekwentnie prowadzonej polityce leśnej. Drewno, które pozyskuje się w ciągu roku, to jedynie ok. 2 proc. tego, co rośnie w lasach, przez co stale zwiększa się zasobność polskich lasów. Zasobność zwiększa się mimo prowadzonych w lasach prac gospodarczych i milionów metrów sześciennych drewna, które rokrocznie pod różną postacią trafia do polskich domów. Jest dziś trzykrotnie wyższa niż po zakończeniu wojny!

Ponadto Polska ma imponującą lesistość. To nic innego jak wskaźnik, który określa, w jakim stopniu dana powierzchnia jest pokryta lasem. Jest podawany w procentach, które obrazują stosunek powierzchni porośniętej lasami do całkowitej powierzchni danego obszaru. Obecnie lesistość Polski wynosi 29,6 proc., co oznacza, że lasy zajmują niemal trzecią część kraju. Nie zawsze tak było. W 1946 r. ten wskaźnik wynosił zaledwie 20,8 proc. Dzięki staraniom leśników powierzchnia lasów w Polsce wzrosła niemal o połowę! Takiego skokowego wzrostu lesistości nie ma na koncie żadne państwo Europy.

Od prawie 100 lat leśnicy w myśl zasad zrównoważonej i wielofunkcyjnej gospodarki leśnej dbają o polskie lasy. Podstawowym dokumentem, na podstawie którego nadleśnictwa prowadzą gospodarkę leśną, jest plan urządzenia lasu, zatwierdzany przez ministra właściwego ds. środowiska. Powstaje raz na 10 lat, zawiera szczegółowy opis i ocenę stanu lasu oraz cele, zadania i sposoby prowadzenia gospodarki leśnej z uwzględnieniem m.in. zasad hodowli i użytkowania lasu, ochrony przyrody, krajobrazu czy różnorodności biologicznej. Opracowanie tego dokumentu jest złożonym procesem, w który jest zaangażowanych wielu specjalistów oraz naukowców i trwa ok. 3 lat. Na każdym etapie jego powstawania jest zapewniony udział strony społecznej.

Po wejściu w życie planu w danym nadleśnictwie pozyskiwanie drewna odbywa się tam ściśle według określonych w nim limitów i w ściśle określonych miejscach. Nie ma możliwości wzrostu pozyskania drewna, bo zmieniła się koniunktura gospodarcza czy wzrosły ceny. Dlatego nie występuje w Polsce zjawisko masowych wycinek, jak często się to rozpowszechnia w mediach. To planowe pozyskanie, określone często 10 lat temu i zatwierdzone przez ówczesne kierownictwo ministerstwa na podstawie opracowań ekspertów i danych naukowych.

Polscy leśnicy dbają o zrównoważoną i wielofunkcyjną gospodarkę leśną, tak by polskiej gospodarce nie brakowało drewna, a Polakom lasów, gdzie mogą odpoczywać. Działają tak od dziesięcioleci i to dzięki nim leśne tereny z roku na rok się zwiększają, a lasy są w coraz lepszej kondycji.

polskiego przemysłu drzewnego, poważne osłabienie całej polskiej gospodarki, a w konsekwencji – skokowy wzrost cen energii i produktów drzewnych.

Tymczasem o sytuacji Lasów w Polsce mówią fakty. Lasy są w dobrych rękach i są zarządzane odpowiedzialnie. 100-letnie doświadczenie, znakomicie wykształcona kadra, nowoczesne metody gospodarcze oparte na najnowszych technologiach, systemy inwentaryzacji i prognozowania – to cechy polskiego modelu leśnictwa. O tym, jak jest wyjątkowy i skuteczny, świadczy stan przyrody w naszym kraju.

– Rosną populacje flagowych gatunków chronionych. W tym roku obchodzimy 100-lecie restytucji żubrów, które leśnicy i myśliwi uchronili od zagłady. Dziś mamy przeszło 2 tys. tych zwierząt. Sukcesem leśników i ornitologów jest niebywały wzrost liczebności bielika, ptaka, który widnieje w godle państwowym. Kilkanaście par lęgowych po wojnie i przeszło 2 tys. obecnie. To tylko dwa przykłady efektów, jakie daje połączenie pasji, wiedzy i odpowiedzialności, co cechuje polskich leśników – argumentował w Sejmie Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

O tym, jak ważne jest uświadamianie społeczeństwu, że istnieje realne zagrożenie ze strony unijnych instytucji wymierzone w polskie lasy, przestrzegał z sejmowej mównicy Michał Woś, były minister środowiska. – Trzeba przestrzegać przed zakusami eurokratów. Bo nie tylko było to skandaliczne orzeczenie TSUE o rzekomym braku dopuszczenia organizacji pozarządowych, nikt nie wspominał o tym, że przecież organizacje pozarządowe w sposób oczywisty uczestniczą także w działaniach gospodarki leśnej. Obronimy polskie lasy, obronimy przed oddaniem jednej trzeciej polskiego terytorium eurokratom, przed oddaniem jednej trzeciej polskiego terytorium Niemcom – mówił.



Lasy Państwowe



MONIKA MOLECKA*

Oczywiście, że przepysznie

Moja miłość do kuchni, fotografii i stylizacji kulinarnej zaczęła się bardzo dawno temu. Od najmłodszych lat podglądałam mamę, moją mistrzynię. To ona zaszczerpiła we mnie pasję do gotowania. Tata natomiast od zawsze próbował moich dań, niekiedy z kwaśną miną, ale zawsze jadł je i chwalił [...]. Kiedy założyłam własną rodzinę, gotowałam coraz więcej, aby córka uczyła się nowych smaków – pisze we wstępie do książki, która jest rozwinięciem jej działań w internecie. „Chciałam, aby moje przepisy oraz zdjęcia zostały

wydrukowane na papierze pachnącym farbą i aby każdy miał swoje ulubione przepisy pod ręką, w kuchni” – dodaje.

Jaki jest jej kulinarny sekret? Do przepisów na dania doskonale większości z nas znane, dodaje coś od siebie, podkreśla ich smak i oczywiście dba o wygląd oraz sposób podania, bo przecież je się także oczami.

Itak, świeżo wypieczony chleb o chrupiącej skórce, a obok niego rumiane bułeczki czy prele kuszą także dzięki zdjęciowej sesji (autorstwa pani Moniki). Podobnie jak racuchy z jabłkami, zwyczajne niezwykłe: kluski kładzione, zabieleny barszcz czerwony, makaron w sosie kurkowym, knedle z truskawkami czy gniazdko bezowe obok apetycznie upozowanej cytrynowej panna cotty. „Jest tak aksamitna i kremowa, że trudno jej się oprzeć” – zapewnia autorka, dodając, że składnik w postaci skórki z cytryny daje wspaniały efekt orzeźwienia.

Naczytelników pięknie wydanej i okazałej książki (Znak Horyzont) czeka ponad 120 przepisów na dania, desery i przetwory.

**Jolanta
Gajda-Zadzworna**

*Autorka bloga
i książki „Pysnie
czy przepysznie”



Cytrynowa panna cotta z białą czekoladą

Składniki: 250 ml mleka, 70 ml śmietany kremówki 36-proc., 1 łyżeczka startej skórki z cytryny, 30 g cukru, 1 łyżeczka pasty waniliowej albo 1 laska wanilii, 2 płaskie łyżeczki żelatyny, 2 łyżki zimnej wody, 100 g białej czekolady, 250 g mascarpone. Dodatkowo świeże borówki.

Wykonanie: Mleko, śmietanę, skórkę z cytryny i cukier podgrzać na bardzo małym ogniu (nie doprowadzać ich do zagotowania). Dodać pastę z wanilii. Jeśli używamy laski wanilii, należy ją przekroić i tępą stroną noża wyjąć z niej nasionka. Do podgrzanego mleka i śmietany dodajemy zarówno nasionka, jak i samą laskę.

Żelatynę zalać 2 łyżkami wody. Gdy żelatyna napęcznieje, dodać ją do gorącego mleka ze śmietaną (przedtem należy pamiętać o wyjęciu z niego laski wanilii). Bardzo dokładnie wymieszać, następnie dodać czekoladę i mascarpone. Całość wymieszać, tak by nie zostały grudki (można krótko zmiksować blenderem). Przeleć przez sitko, by pozbyć się skórki cytrynowej. Masę przestudzić i gdy będzie już lekko tężeć, prze-

leć do foremek lub filizanek. Podczas przelewania cały czas ją mieszać. Wstawić do lodówki na mniej więcej półtorej godziny (do zastygnięcia). Udekorować borówkami.





SŁODKO-SŁONY

Drzewko z bajki

ANNA MONICKA

Pamiętacie, jakiego warzywa nie lubiła od początku Riley, główna bohaterka genialnego animowanego filmu „W głowie się nie mieści”, opowiadającego o emocjach kłębiących się w głowie nastolatka? Dzikim wrzaskiem reagowała na sam widok brokuła, choć to piękny, zielony kwiatostan zwany różą. Śmiałam się, oglądając jej reakcje. Dokładnie takie same miała moja córka. Chętnie jadła to, co pomarańczowe, żółte, czerwone, różowe (w pewnym wieku najchętniej), ale brokuły ją odrzucały. Podobnie jak brukselka czy szpinak. Do dziś pamiętam, jak w czasie rodzinnej imprezy szeptała na ucho mojej mamie: „Babcium, nie jedz tego zielonego świństwa”. Broniła się przed nimi, zanim ich w ogóle próbowała. Zupełnie jakby niechęć miała wpisaną w kod genetyczny.

Długo zajęło mi delikatne przekonywanie uparciucha, że nie ma się czego obawiać. Ponieważ moja córka nie tolerowała żadnego silniejszego nacisku, skuteczna była tylko łagodna perswazja. Nie oszukiwałam jej, nie dokładałam nieszczęsnych warzyw do mielonych farszów, żeby nie wykryła podstępów. Po prostu robiłam różne dania, sosy i czekałam, aż do pewnych smaków dorośnie.

Szpinak, a konkretnie młode listki, zasmakowały jej w sałatce z orzechami i fetą – dzięki sosowi z dobrej oliwy, czosnku i cytryny, który mogłaby pić szklankami. Brukselka musiała poczekać kilka lat – ale gdy podałam ją kiedyś pokrojona na połówki, zblanszowaną i podsmażoną na patelni z płatkami migdałów i sosem sojowym, okazała się bardzo smaczna. Tak bardzo, że kilkuletnie dziecko ze śmiertelną powagą poinstruowało nawet panie kucharki w podstawówce, jak powinny ją przyrządzać, żeby dzieci nie wybierały rozgotowanych główek z talerzy i nie chowały w chusteczki do nosa. „Rodzice płacą za obiady, które są tak niedobre, że nikt nie chce ich jeść – tłumaczyła mi potem. – A sama mówiła, że nie wolno marnować jedzenia”.

Brokuł. Hmm. Dopóki wyglądał jak drzewko z bajki, jej zdaniem był niejadalny. Ale gdy starłam różyczki na jarzynowej tarce, dodałam pestki granatu, borówki amerykańskie i posiekaną cukrową cebulkę, skropiłam sokiem z limonki, odrobiną soli i podprażonymi pestkami słonecznika, a na koniec polałam oliwą z rozgniecionym czosnkiem, zyskał nagle zagorzałą zwolenniczkę. Moja córka uwierzyła, że to, co zdrowe, może także być smaczne. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Śnieg, góry i las

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Podczas gdy na nizinach lato, wysoko w Tatrach śnieg jeszcze nie do końca stopniał. Kto wie, może niektóre jezory zbitego śniegu doczekają kolejnej zimy.

Śnieg zalega wciąż w kotłach i żlebach Doliny Pięciu Stawów Polskich. Wciąż też woda z topniejącego śniegu nawadnia poniższe zbocza, przesyca murawy i torfowiska, meandruje pod rumoszem skalnym, tworzy liczniejsze niż zazwyczaj strumyczki i wodospady. Zasila tatrzańskie stawy (w Zadnim Stawie Polskim kończy topić się błękitna krawka). To naturalne rezerwuary wody, bardzo czyste i pojemne – Wielki Staw Polski o powierzchni 34 ha i głębokości do 80 m, mieści aż 13 mln m³ wody.

Wypływająca ze stawów woda spada w dół kilkudziesięciometrową Sikławą, pieniącą się Roztoką dociera do pstrągowej Białki, wpada do Dunajca, do Wisły i przemierza cały kraj.

Tatry – i góry w ogóle – generują wysokie opady. Powierzchnia gór jest jednak niewielka w stosunku do pozostałej części kraju i nie wystarczy do nawodnienia. Gór nie dobudujemy. Możemy jednak zrobić coś innego – zalesiać.

Korzystny wpływ lasu na zasoby wodne był znany od dawna. W latach 30. XX w. pisał o tym wcale nie jako pierwszy Adam Kozłowiecki, ojciec wybitnego polskiego kardynała o tym samym imieniu. Adam Kozłowiecki senior miał pasję – las. Nawoływał do zwiększania powierzchni leśnej Polski m.in. ze względu na korzystny wpływ na wodę.

Las oczyszcza wodę skutecznie jak filtr. Las robi więcej. Chłodne, leśne powietrze generuje opady, które w okolicach lesistych są częstsze i większe. Las także przechwytuje z przepływającego powietrza wilgoć, skraplając ją i wprowadzając do ekosystemu. Kolejną cechą lasu jest zdolność do magazynowania wody i powolnego zasilania nią okolicy. Powierzchnia leśna w Polsce dzięki zalesieniom się zwiększa. To bardzo dobrze. Nie powinniśmy przy tym się ograniczać. Kiedy osiągniemy założone 33 proc. powierzchni kraju, nie powinniśmy w żadnym razie przestawać. Załóżmy kolejny cel – jeszcze więcej lasów, a potem kolejny – jeszcze więcej. Las to najlepsza inwestycja – w energię słoneczną, powietrze, surowce, wodę. Nie wszystkie kraje na nią stać – nas tak. 

Weź urlop od kłamstwa

Wojna obnaża ludzi, narody, społeczeństwa i państwa, odkrywa prawdę – napisała Zofia Kossak-Szczucka w swojej książce „Pożoga”. Często podświadomie nie chcemy pamiętać, że żyjemy w cieniu wojny trwającej już kolejny rok tak blisko nas, na Ukrainie, związanej historycznie z naszymi ziemiami kresowymi. To nie jest jakaś wirtualna wojna, ale taka, którą znamy z filmów dokumentalnych o II wojnie światowej oraz ze wspomnień naszych rodziców i dziadków. Bomby, samoloty, czołgi, strach przed wyjściem do prac polowych, bo można zginąć od min ukrytych w ziemi – to wszystko opowiadali nasi bliscy. Przeżywamy głęboko w sercu, jeśli nawet o tym nie mówimy, los mieszkańców Ukrainy, bo przecież nie jest tajemnicą, jak wielu z nich, nawet jeśli nie potrafią mówić po polsku, ma polskie korzenie.

Rosja jest zagrożeniem również dla Polski. Tak było od wieków, umiłowanie wolności i nasza uparta walka o nią nie podoba się na Kremlu. Patrzymy na Zachód, jesteśmy w NATO, w Unii Europejskiej, wojna na Ukrainie pokazała prawdziwe twarze naszych sojuszników, widać jasno, jak silne są powiązania Europy Zachodniej i Rosji. I nie chodzi tylko o sprawy gospodarcze, surowce energetyczne, lecz także o tajemne związki polityczne i ideologiczne, które decydują o losach świata. Żeby to wszystko lepiej zrozumieć, warto powrócić do „Czarnej księgi komunizmu”, monumentalnego dzieła, wydanego pod koniec lat 90. ub.w., autorstwa znanych historyków. Czerwona zaraza trwa nadal. Polska doskonale zna metody komunistycznych służalców Moskwy, zamordowali najwartościowszych rodaków, miliony ofiar (wywózki na Sybir, symboliczne słowa – Katyń, żołnierze wyklęci, Smoleńsk...). Ale też przerobione charaktery ludzkie, zwerbowani agenci, zniszczone dusze, a to najtrudniej zmienić.

Trzeba wziąć urlop od tych wszystkich przerażających myśli, od wojny, a przede wszystkim od kłamstwa. Przy wydawaniu swoich opinii w czasie przedwyborczym powinniśmy pamiętać, w jakim celu Donald Tusk został przyślany do Polski. Ostatnio już nawet nie trzeba nic odkrywać i wyjawiać, przywódcy unijni jasno mówią, o co im chodzi. Dlaczego tak bardzo niewygodny jest rząd prawicowy w Polsce – spróbujmy sobie sami odpowiedzieć. Podpowiedzią do takich refleksji mogą być słowa premiera Mateusza Morawieckiego skierowane do Donalda Tuska: „Trzeba wiedzieć, kiedy w interesie polskiej racji stanu trzeba powiedzieć swoim sojusznikom »nein«, a nie tylko »danke« i »spasiba«”.

Winston Churchill poświęcił w swoich pamiętnikach spory fragment charakterystyce polityków. Na końcu konkluduje: wszyscy politycy kłamią, ale zwyciężają ci, którzy posługują się prawdą – z czego wniosek jest prosty, że jednak nie wszyscy kłamią.

Piękna letnia pogoda, dni pełne słońca, zieleni, zapachów traw, ziół. Wystarczy tylko uciec tam, gdzie „pola zielone słońcem malowane na złoto, kwiatów i kłosów niepojętym ściegiem utkane” – jak pisał piewca polskiej ziemi Leopold Staff. Warto zostawić nasze ważne sprawy, telefony, komputery, telewizory, grille, rozkręcone głośniki, wszystko, co

stworzył człowiek, a zasluchać się, zaprzeć w dzieło Boże.

Pojechałam do swojego rodzinnego starego domu, z drewnianych bali, pobielanego, z małym gankiem i ledwie widoczną znamionną datą – 1920. Wokół ogromne przestrzenie pól, lasów, łąk przeciętych wijącym się strumykiem, porośniętym niezapominajkami, leśnymi malinami, jeżynami i przeróżnymi trawami, krzewami. Z dwóch stron łąki okalającej szmerzący potok ciągną się szeregi starych olch, przeplatane wiśniami i ogromnymi gruszami, pamiętającymi jeszcze czasy świetności niegdyś wielkiego, zamożnego gospodarstwa. Pamiętam, jak różne szaleństwa przychodziły nam do głowy, ambicją każdego dziecka było wejście na wszystkie drzewa tak, by nie schodząc, przeskakiwać na kolejne, rozhuśtując młode, giętkie czubki. Zdarzały się upadki, ale na szczęście niegroźne, kończące się zwykłymi otarciami, stłuczeniami. Nad wszystkim czuwała babcia, Maria Czerniakowska, niezwykła kobieta, którą doktorostwo Zarebscy z Warszawy witali, przyklękając w podziękę za serdeczną gościnność, trwającą przez wszystkie czasy, nawet te bardzo trudne – komunistycznej walki z tzw. kulakami.

Dzisiaj tu głucho i pusto, niszczeje prawie 100-letni dom, ale pozostała piękna przyroda, stare drzewa w sadzie mimo pni rozpekanych na ćwierci nadal rodzą owoce, nieskażone żadną chemią i nawet całkiem dorodne. Dają dowód, że silne drzewa nie umierają tak łatwo, samoistnie trwają na podziw niedowiarkom. Tylko brakuje gospodarzy, którzy tę ziemię kochali ponad życie i walczyli o nią od pokoleń, by nie zmarnować, nie sprzedać, nie oddać, lecz zadbać, jak można było najlepiej. Objężdżam rowerem wszystkie swoje miejsca, smucę się, gdy w oddalonym naszym lesie ktoś znowu powycinał 100-letnie sosny, żalę się Matce Bożej w przydrożnej figurce mojej babci, do której zabierała mnie w majowe dni. A gdy już uda mi się przejechać zarośniętą miedzą pod górkę w kierunku rzeki Wkry, zza drzew zaczyna się odkrywać ogromna przestrzeń pól aż po horyzont i taka jasność bije, jakby słońce dotykało ziemi, że chciałoby się wołać – chwilo, trwaj, jesteś piękna!

Smucę się, bo tu do tego mojego zakątka też zaczyna docierać cywilizacja śmierci – brakuje następców z gospodarskich rodzin, orne ziemie coraz częściej są dzielone na działki i sprzedawane nowobogackim z dużych miast. Powstają całe szeregi wypasionych domów bez gustu, niewpisujących się w klimat otaczającej natury, a w okolicznych strumykach, rowach miastowi bogacze porzucają plastikowe śmieci. Z grillowych spotkań ogródkowych dochodzi wulgarny język, głośnie disco polo – smutny obraz współczesnej wsi cywilizowanej przez zamożnych miastowych celebrytów. Na szczęście różni się jako społeczeństwo i nie wszędzie, nie wszystko jest złe, a przyroda woła, by pokłonić się Stwórcy i rozejrzeć po ziemi, po niebie...

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką



Alina Czerniakowska

Asertywność

Asertywność to umiejętność wyrażania własnego zdania, uczuć, postaw w sposób otwarty, w granicach nienaruszających praw ani psychicznego terytorium zarówno swojego, jak i innych osób. Ta definicja, określająca wyważone relacje między poszczególnymi ludźmi, może być stosowana również do porządkowania wzajemnych stosunków między państwami. To obopólne poszanowanie poglądów i wyborów dwu stron debaty czy sporu powinno być podstawą partnerstwa i demokracji. Ale w historii różnie to bywało.

W XIX w. na jednym biegunie funkcjonowała mesjanistyczna Rzeczpospolita, wyrażająca się w szlacheckiej dewizie walki „za wolność naszą i waszą”, na drugim zaś – despotyczna Rosja, uciemiężony naród, który bił się „za naszą i waszą niewolę”. Wyrachowanie sojuszników Polski – Anglii i Francji – zatrzymało 1 września 1939 r. w koszarach armie obu tych krajów. Sześć lat później Polacy, walczący w obronie tychże Francuzów i Anglików na wszystkich frontach II wojny światowej, zostali przez



**Lech
Makowiecki**

pragmatycznych aliantów sprzedani w Jalcie krwawemu Stalinowi.

Dziś, gdy zadziwiamy świat nieprawdopodobną wręcz skalą wspierania walczącej Ukrainy (przekazując jej własne uzbrojenie, finansując utrzymanie uchodźców wojennych i blokując inwazję nielegalnej migracji z Białorusi), „asertywni do bólu” Niemcy wbijają nam nóż w plecy, zmuszając do przyjmowania rujnujących Polskę pakietów klimatycznych i wciskając nam (finansowym szantażem) spraszanych przez siebie afrykańsko-azjatyckich „nachodźców”. Nie sądzę, by po europejskim eksperymencie multi-kulti Polacy chcieli masowo przyjmować pod swój dach obcych im kulturowo, roszczeniowych i agresywnych młodych mężczyzn. Budowa sieci „polskich obozów koncentracyjnych” do przetrzymywania u nas egzotycznych migrantów też nie rozwiąże problemu: idea KL Europa nie sprawdziła się zupełnie (*vide*: przemoc i płonące dzielnice Francji, Niemiec, Szwecji i in.).

Polacy, nauczmy się wreszcie asertywności! I to nie tylko werbalnej.



**Adam
Ciesielski**

Nohant bliżej Żelazowej Woli

We francuskim Nohant trwa 57. Festiwal Chopinowski. To coroczne święto. Na co dzień jednak obecność Fryderyka Chopina w miejscu, gdzie artysta był przez siedem lat i stworzył swoje czołowe dzieła, jest zaskakująco skromna. To ma się zmienić

dzięki współpracy tutejszego Domu George Sand z Domem Urodzenia Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli.

W 2010 r. przed merostwem w Nohant-Vic, 300 km od Paryża, odsłonięto popiersie Fryderyka Chopina ufundowane przez polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Był to pierwszy po 160 latach materialny ślad obecności kompozytora w miasteczku. Gdy wtedy tam przyjechałem, w samej rezydencji George Sand – poza skromnym portretem w pokoju na piętrze, który zajmował Chopin jako partner życiowy francuskiej powieściopisarki – nie było znaku po polskim twórcy. Część pamiątek i sprzętów po rozstaniu pary w 1847 r. usunęła sama gospodyni, resztę dokonał jej syn i dziedzic Maurice, chorobliwie zazdrosny o faworytów matki. Dziś o obecności Chopina obok wspomnianego wizerunku przypominają bilety wizytowe wskazujące przy stole w jadalni miejsca Fryderyka i jego siostry Ludwika oraz publikacje o kompozytorze i zakładki do książek z jego wizerunkiem w sklepiu z pamiątkami.

Korzystny zwrot wróży porozumienie podpisane świeżo w Nohant przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina oraz francuskie Centre des Monuments Nationaux, zarządzające dziś posiadłością.

„Czas na wspólne projekty Nohant i Żelazowej Woli, by ożywić te dwa wyjątkowe miejsca – powiedziała Marie Lavandier, prezydent Monuments Nationaux. – Chopin symbolicznie powraca do Domu George Sand, gdzie doświadczał przyjaźni, miłości i gdzie tak dopisywała mu wena. Także w Żelazowej Woli, w której splata się tyle wątków polskich i francuskich, warto pokazać historię uczucia dwojga głośnych artystów romantycznych”.

„W ogrodach Nohant trudno nie mieć wrażenia, że z okna na piętrze dochodzą dźwięki mazurków, walców, ballad, polonezów – zwierzył się Artur Szklener, dyrektor Instytutu Chopina. – A przecież droga z Żelazowej Woli do Nohant wcale nie była prosta. Przy narodzinach syna francuskiego gubernatora i polskiej ubogiej szlachcianki nikomu nie przeszło przez myśl, że zamieszka on w Nohant, które było tygłem życia artystycznego epoki, a zarazem miejscem, które najbardziej przypominało mu Polskę”.



Kondom na rozumie

Dzieci to samo zło! Kosztują mnóstwo nerwów i pieniędzy, utrudniają życie i szkodzą naszej planecie. Jak wyliczyli szwedzcy i kanadyjscy naukowcy z Uniwersytetu w Lund i Kolumbii Brytyjskiej, jedno auto wydziela rocznie do pięciu ton dwutlenku węgla, a jedno dziecko aż 117,7 ton. W związku z tym ziemscy patrioci połączyli się w ruch zwanym Birthstrike, po naszymu „strajk porodowy”, i apelują: każdy mieszkaniec globu może pomóc ratować klimat, wystarczy, że zrezygnuje z dzieci.

A czas nagli, bo lody się rozpuszczają na biegunach, poziom wód się podnosi, i wkrótce będą zalane całe połacie naszej ziemi. Wolontariusze Birthstrike uświadamiają ciemne masy, jak szkodliwa jest sama chęć posiadania dzieci. Jeśli ktoś chce je mieć, a zdaje sobie sprawę, jakie to zło te dzieci, musi tę chęć tłumić, co stresuje, męczy i czyni ludzi nieszczęśliwymi. Więc dla powszechnej szczęśliwości trzeba zacząć od eliminacji chęci, popularyzacji antykoncepcji i swobody wykrobywania, pardon, jak to się elegancko nazywa – dokonywania aborcji.

Wprawdzie posiadanie potomstwa należy do podstawowych praw człowieka, co przed laty ujęto w ósmej wykładni na konferencji ONZ w Kairze, ale jest coś takiego jak dobro ogółu i wyższa konieczność – niektóre kraje dawno już wprowadziły w ramach tzw. polityki ludnościowej zakaz płodzenia dzieci z surowymi

konsekwencjami dla tych, którzy go nie przestrzegają. Amerykańscy naukowcy z National Academy of Sciences też obliczyli, że gdyby obniżyć liczbę narodzin w krajach, gdzie ludzie rozmnażają się jak koty, gazy cieplarniane uległyby redukcji nawet o jedną piątą.

A u nas? U nas rząd PiS jak zwykle robi wbrew, zachęca do prokreacji, ba, nawet dodatki na każde dziecko podnosi z 500 do 800 złotych. Cóż za brak poczucia odpowiedzialności i solidarności! Na dodatek my, ogół Polaków, musimy za tę emisję gazów płacić en bloc do unijnej kasy! A przykłady dobre są, nawet tuż za Odrą. Prawie jedna czwarta Niemców urodzonych w latach 60. nie ma dzieci. Wedle Bayerischer Rundfunk jest to trend ogólnoswiatowy, co potwierdza globalna sondaż z udziałem 10 tys. różnojęzycznych respondentów, w którym aż 40 proc. młodych w wieku do 24 lat zapowiedziało, że ani myśli o dzieciach.

Nauczycielka liceum w Ratyzbony, Verena Brunschweiger, aktywistka ruchu Birthstrike, z niemiecką Gebärstreik, pani w wieku klimakteryjnym z kondomem na rozumie, przekonuje młodzież do bezdzietności, która... uratuje świat. Tylko dla kogo miałby być uratowany, skoro byłby to świat bez potomnych? 



**Piotr
Cywiński**

GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE PL

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

Michał Korsun prezentuje:
Gdy rozum śpi, budzi się Senyszyn



Wycinki z przeszłości

Letniewydanie „Kobiety w Świecie i Domu” z 1934 r. wśród licznych przepisów zamieściło propozycję przygotowania pianki poziomkowej albo malinowej. Oto ona:

„4 szklanki owoców, 5 białek, 1 dkg żelatyny białej, ½ dkg żelatyny czerwonej, 20 dkg cukru pudru. Przesławać owoce przez sito, włożyć powidelka do garnka kamiennego, dodać cukier, żelatynę wymoczoną w zimnej wodzie, odcisnąć i rozpuszczoną w możliwie najmniejszej ilości wrzątku. Dodać białka. Wstawić garnek w łód, ubijać trzepaczką, dopóki nie wytworzy się lekka, gęsta piana. Wtedy złożyć w formę wypłukaną zimną wodą i wysypaną cukrem. Zamrozić. Podawać wprost z lodu na ozdobnym półmisku przybraną pięknymi, świeżymi jagodami, z jakich jest zrobiona pianka”.
Smacznego!



(mk)

W pełni sezonu, czyli gonimy!



Leszek Długosz

Kiedy odwrócę się i przywołam tamtejsze (przecież i całego tamtego pokolenia) możliwości obywateli zgromadzonych w obozie demokracji ludowej... Ach, ironiczno-gorzkie westchnienie. No bo szczyty marzeń to wtedy były Bułgaria czy Jugosławia. I kiedy oto patrzę dziś na gości z całego świata zagarniających moje miasto i kiedy też dodam, do jakich to zakątków Ziemi wypuszczają się moi znajomi (zwłaszcza młodzież) – kolejne westchnienie się dobywa. I jeszcze dla dopełnienia: cóż to za problem? Portfel chrząka z zadowoleniem, paszport w kieszeni (bywa też, że niepotrzebny), samolot startuje, samochód czeka, turystyczna angielszczyzna do usług. Się porobiło! A jednak nieodparcie (dlaczego?) przychodzi mi na myśl ten mały wielki wierszyk „Jasności promieniste”, jeden z ostatnich wielkiego poety Czesława Miłosza. A szczególnie ten jego fragment: „Gonimy, dopóki żywi / Szczęśliwi i nieszczęśliwi / To wiemy, że bieg się skończy / I rozłączone się złączy / W jedno, tak jak być miało: / Dusza i biedne ciało”.

A z mojej szuflady wydobywa się drobiazg, który na okoliczność takiego podróżowania też się podpowiada.

„Zdarzyć się może”

Po latach

Znów znad albumu wzrok unosząc

Dalekie przywołując kraje

Wśród mórz Południa, wyspy śpiewające

Znowu słysząc

Z uśmiechem

(Komuś jeszcze przeznaczonym?)

Zdarzyć się może – pomyślisz:

Na malej tej uliczce

I tak całkiem blisko

Wtedy najbardziej...

Tam wtedy było wszystko

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Szczęśliwi „pracownicy”

Rewolucja cyfrowa utrudnia rozwiązanie problemów, które sama stworzyła. Dlaczego utrudnia? Gdyż jednym z jej owoców jest nieustanne zaciemnianie obrazu spraw. Ta rewolucja przyniosła nam świat ciągłego pośpiechu, przeciążania, nadmiaru informacji – w sumie chaosu. (Przy okazji polecamy książkę Maxa Fishera, właśnie wydaną po polsku: „W trybach chaosu: Jak media społecznościowe przeprogramowały nasze umysły i nasz świat”).

Żyjemy w warunkach ciągłego nadmiaru *informacji*, które wcale nie przekładają się na *wiedzę* pozwalającą na *rozumienie* świata. Ludzka zdolność do jasnego osądu spraw została nadwerężona jak chyba nigdy w dziejach naszego gatunku.

Rewolucja cyfrowa wepchnęła nas zatem w pułapkę: problemy stają się coraz trudniejsze, a nasze umiejętności ich ogarnięcia coraz słabsze, gdyż coraz trudniej jest nam uzyskać jasny ogląd spraw. Coraz trudniej jest też o porozumienie się między różnymi grupami społecznymi – a bez tego nie da się wprowadzać w życie środków zaradczych. Weźmy np. problem, który społeczeństwo znacznie bogatsze od naszego ma ze swoją młodzieżą.

NIE UCZĄ SIĘ ANI NIE PRACUJĄ

Niedawno Polska Agencja Prasowa za włoskim urzędem statystycznym podała, że prawie jedna piąta Włochów w wieku od 15 do 29 lat – czyli ok. 1,7 mln młodych osób – nie uczy się, nie pracuje ani nie uczestniczy w żadnych szkoleniach. W UE gorzej jest tylko w Rumunii. Odsetek włoskich młodych, którzy niczym się nie zajmują, przekracza uśrednioną o ponad 7 proc. W tle jest wysoka stopa bezrobocia we Włoszech, która w przypadku młodzieży wynosi 18 proc.

Ale bardziej niepokojące jest to, że dobrze ponad jedna trzecia młodzieży,



*Prawie jedna piąta Włochów
w wieku od 15 do 29 lat,
czyli ok. 1,7 mln młodych osób,
nie uczy się, nie pracuje ani
nie uczestniczy w żadnych
szkoleniach*

która niczym się nie zajmuje (629 tys.), wcale nie szuka pracy ani jej nie chce podjąć od zaraz. A 3,3 proc. twierdzi, że nie interesuje się pracą lub jej nie potrzebuje.

JEDNAK DLA KOGOŚ PRACUJĄ

Komentując te informacje, kolega zauważył, że to nieprawda, że nic nie robią: „Ciężko pracują, karmiąc danymi Big Tech”. Mają absorbujące zajęcie, które przysłania problem braku pracy. Zapewne wielu niezatrudnionych młodych – jeśli nie ogromna większość – dużą część doby spędza przed ekranami smartfonów, tabletów, komputerów. Grają, słuchają muzyki i podcastów, oglądają filmiki i filmy, czatują i postrajują (nie mylić z poszczeniem) oraz...

trollują. Zostawiają ślady cyfrowe, mnóstwo danych o sobie, swoim środowisku, swoich zainteresowaniach, a także problemach.

Na danych tworzonych przez młodych żeruje Big Tech i gospodarka się kręci. Powstają fortuny (np. firm produkujących gry komputerowe), rośnie kapitał umożliwiający ciągle innowacje.

Rodzice zapewniają młodym dobre lokum i sprzęt. Ba, państwo także pomaga finansowo. Czy nie należy traktować państwowych zasiłków jako dotacji dla Google’a, Microsoftu, Facebooka i całego tego towarzystwa, do którego można zaliczyć również chińskiego TikToka?

Tylko głupi szukałby zwykłej pracy, gdzie trzeba użerać się z szefami. Lepiej użerać się z rodzicami, co i tak jest naturalnym elementem interakcji w rodzinie, i wieść życie pełne (cyfrowych) emocji.

Ale dzięki takiej „pracy” pogłębiają się nierówności społeczne (na darmowym Facebooku wyrosły ogromne fortuny), zwiększają się asymetrie wiedzy (dane pozwalające personalizować reklamy) oraz władzy (modyfikowanie zachowań przez korekty algorytmów). A chaos w infosferze rośnie. W oceanie dezinformacji mętny ogląd ważnych spraw społecznych mają nie tylko wyborcy, lecz także politycy.

Taka nieciekawa sytuacja to coś więcej niż tylko teraźniejszość – to poważny problem na kolejne lata. Młodzi nie dostosowują się do zmieniającej się sytuacji gospodarczej, nie zarabiają, nie płacą podatków, a także nie nabywają niezbędnych zawodowych kompetencji. To także pogarsza potencjał ekonomiczny Włoch. Pamiętajmy przy tym, że nieświadome wspieranie bogatych korporacji technologicznych przez rodziny i państwa z wielu części świata pozostaje jak dotąd słabo rozeznany problem.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



Sprawdź, jak to jest zyskiwać VELOkrotnie

- do 600 zł zwrotu za zakupy kartą, telefonem lub BLIKIEM
- 8% w skali roku na nowe środki na koncie oszczędnościowym
- wygodna aplikacja mobilna

velobank.pl

W ramach promocji „Witaj w VeloBanku” – edycja 1/2023” wypłacimy Ci na konto oszczędnościowe VeloSkarbonka 10% wartości transakcji bezgotówkowych na VeloKoncie wykonanych kartą do konta lub BLIKIEM (z wyłączeniem Przelewu na telefon BLIK) – maksymalnie 100 zł w ciągu każdych kolejnych 30 dni od daty otwarcia VeloKonta i maksymalnie 600 zł podczas 180 dni okresu trwania promocji. Możesz przystąpić do promocji do 31.08.2023 r. Aby przystąpić do promocji, musisz mieć VeloKonto, VeloSkarbonkę, aktywne zgody marketingowe oraz nie mieć u nas konta od 31.10.2022 r. Szczegóły promocji w regulaminie.

Oprocentowanie stałe 8% w skali roku do 300 tys. zł oraz 6% w skali roku dla nadwyżki od 300 tys. zł do 400 tys. zł w Ofercie Specjalnej „Nowe środki na Elastycznym Koncie Oszczędnościowym” (edycja 6/2023) dotyczy nowych środków i obowiązuje przez 3 miesiące. Możesz skorzystać z oferty, jeśli do 17.07.2023 r. wpłacisz nowe środki na Elastyczne Konto Oszczędnościowe i wyrazisz dla nas zgody marketingowe. Szczegóły oferty, w tym definicja „nowych środków”, w regulaminie Oferty Specjalnej.

Regulaminy promocji/oferty i rachunków oraz szczegóły oferty VeloKonta, opłaty i prowizje udostępniamy na velobank.pl i w naszych placówkach. VeloKonto, VeloSkarbonka i Elastyczne Konto Oszczędnościowe to prowadzenie rachunków płatniczych. Bankowość mobilna (aplikacja VeloBank) to usługa bankowości elektronicznej. Produkty oferuje VeloBank S.A.



Z natury
DOBRA ENERGIA

Zamów **fotowoltaikę**
oraz **pompę ciepła**
z **bezpłatną wizją**
lokalną i zacznij
oszczędzać



Skorzystaj
z dofinansowania
Mój Prąd 5.0

Zadzwoń **555 555 505*** lub wejdź na **energa.pl**

*Koszt połączenia według stawek Twojego operatora